

Kwadratura trójkąta

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

MARCIN WOLSKI

Kwadratura Trójkąta

I NOC WYBORCZA

**Pastyłka stymulu przypominała w smaku stary
rzemień wygarbowany na długo przed wojną
herriańską. Stawiała jednak na nogi lepiej niż nocny
zefir wiejący krytą terasą pełną kwitnących
oleandrinów i teobiscusów.**

**Drobny mężczyzna w sztruksowej tunice, zdobnej
edylskim meandrem łapczywie zaczerpnął powietrza
jak ryba rzucona na brzeg. Dochodziła quarta. Słaba
poświata brzasku wykrawała na horyzoncie kontury
łagodnych wzniesień nazywanych Gajem**

**Florentyńskim. Gwiazdy przybladły. Zapowiadał się
piękny dzień. Ważny dzień.**

**Pod jaśniejącym niebem powoli wylaniał się kamienny
las campanilli i wież medialnych, majestatycznych
kopuł kryjących mercatoria, otoczone przez bure
gołoborza czternastowiecznych czynszowych insul
mieszkalnych. Bliżej hostelu zabudowa rozrzedzała się,
a światła fluiarów tonęły w cienistych szpalerach
drzew, by zniknąć zupełnie wśród parków i ogrodów.
Miejscami tylko rozbłyskały podświetlone łuki wiodące
do term i palestronów.**

Hostel "Asilium IV" wzniesiono na wyspie, pośrodku rzeki Zielonej, na terenie dawnego gaju poświęconego Junonie. Dzięki kapryswi architekta wyrastał samotnie pośród budowlanego plebsu i parkowych pawilonów, od wieków dających schronienie kupcom i nierządnicom. Mężczyzna popatrzył w dół. Na trójkątnym skwerze, z tyłu budynku, wśród zerwanych lampionów i tysięcy kolorowych ulotek i czapeczek pracowicie uwijały się śmieciarki. W głębi parku wokół bojowych rotonów kręcili się znudzeni vigilianci municypalni. Co jakiś czas spod frontowego portyku, gdzie klębiły się tłumy mediaferrów i czuwali najzagorzalsi sympatycy faksji "Błękitnych", a Quintusa Cedrusa w szczególności, napływały meldunki o nastroju spokoju, powagi i oczekiwania. Na terasę wyszedł sekuryta o twardych rysach ochroniarza z wyboru, omiół wzrokiem amatora świeżego powietrza, zatrzymując się na złotej plakietce identyfikacyjnej "Marek Ursin - consulantor". Jego dłoń wykonała gest mogący uchodzić za tradycyjne pozdrowienie, a także zastępować zwrot "Spieprzaj stąd, mały, ale już". Ursin jednak odpowiedział mu tylko uśmiechem. Po czym ruszył w głąb wielkim corridorem. Mijając cubiculę nr 1010 nie odmówił

sobie przyjemności zajrzenia do luksusowego wnętrza.

Zresztą drzwi były uchylone. Octavia spała. Jasne włosy, rozsypane na poduszce, tworzyły wokół jej głowy świetlisty krąg, a rozchylone usta i długie rzęsy nadawały jej twarzy ów fascynujący wyraz zdziwienia przypominający obrazy ultimiańskich mistrzów ubiegłego stulecia.

Stojąc w smudze światła Marek krótką chwilę wpatrywał się w uśpioną. "Zabrałeś mi ją, Jedyny, zabierz i grzeszne pragnienie" - szepnął bezgłośnie. I wyszedł.

Zaraz za zakrętem niedoświetlonego, wybitego skórą korytarza pęczeryk ciszy prysnął gwałtownie. Jeszcze parę schodków i konsulantor znalazł się na górnej galerii wielokondygnacyjnego perystylu. Okoliczne sale relaksowe tonące w roślinności, zamienione w pomieszczenie sztabowe, wypełniała nadzwyczajna krzątanina. Stukały menscomptery, brzęczały łączniki międzyprowincjonalne.

Całą północną ścianę zajmował ogromny panovid prezentujący świetlistą mapę Innej. W każdej chwili można było rozróżnić seledyn Zewnętrznego i Wewnętrznego Oceanu, amarant gigantycznej Ekumeny oraz intensywny cynober Wandalii. Wzrok

przykuwał jednak Archipelag, płonący setkami
światelek, ruchliwych, pulsujących, zmiennych. Na
każdej z wysp metropolitalnych Federacji
rozciągających się po obu stronach równika aż ku
zimnym dystryktom Południowego Lądolodu błyskały
w trzech rzędach cyferki zmieniające się w miarę
napływu wyników. Na samym szczycie panovida w
lewym górnym rogu wyświetlał się aktualny bilans -
sumy głosów oddane na jedno z trzech nazwisk:

LONGINUS, HERDATUS, CEDRUS

Ursin poszukał wzrokiem patrona. Nigdzie nie
dostrzegł charakterystycznej sylwetki Quintusa
Cedrusa. Jak z podziemi wyrósł natomiast
niezmordowany szef sztabu wyborczego - electorius
Rufo Ruffix, ryży, o włosach barbarzyńsko skręconych
i tubalnym głosie parweniusza...

- Gdzie się podziewałeś? - szczechnął na Marka. -

Quintus cię szuka.

- Gdzie jest?

- We frigidarium, szlifuje wystąpienie, jesteś mu
potrzebny. Aha, mamy już wyniki z Nowej Istrii.

- Przegraliśmy?

- Tak, ale zaledwie trzema tysiącami głosów. To i tak
dobrze. Jeszcze wczoraj w sondażach dawano tam

Herdatusowi przewagę dwustu tysięcy.

- A ten skurwiel Longinus?

- Jeśli nie zgarnie pięciu milionów z Ultimy, wypada z gry.

Marek pośpieszył za nim do frigidarium. Orzeźwiony

Cedrus wychodził właśnie z zimnego impluvium.

Szczupły, muskularny, jasnowłosy i chłopięcy - ot, młody bóg - ideał wyspiarskiego stylu życia. Mimo nieprzespanej nocy promieniał żywotnością i energią.

Z jego niebieskich oczu emanowała inteligencja i pewność siebie. Nawet rywale przyznawali, że Quintus jest bardzo przystojnym mężczyzną. Klasycznych rysów nie mogła oszpecić nawet głęboka szrama na czole.

Dwie najwyraźniej podniecone complementarki zbliżyły się z ręcznikami, ale on ignorował je niczym Jupiter poślednie nimfy.

- Słuchaj, czegoś nie rozumiem - mruknął do Ursina. -

Co mi tu napisali o fletni Arfusa... O co w tym chodzi?

Consulantor zmieszał się. Bajka o fałszywym fleciście uwodzącym swą grą zbójców należała do kanonu powiastek dla dzieci. Jak można było jej nie znać?

- Może to rzeczywiście zbyt górnolotne sformułowanie

- mruknął.

Od strony caldarium zbliżył się osobnik

przypominający rozmiarami mitycznego giganta.

**- Złożyłem się o 5 aureusów, że szef wygra na Ultimie -
rzekł - a wiadomości ciągle nie ma, chociaż Ultima już
dawno powinna nadawać wyniki.**

**- Mamy drobne uszkodzenia na łączach, Druzzusie -
powiedział z wyraźną niechęcią Ruffix.**

- A Zefiria? - zapytał Marek Ursin.

**- Nie chcę zapeszyć... Ale zaraz, już mamy Orelię. Na
mękę Syna! Niedobrze.**

**Na przenośnym wyświetlaczu pojawił się kontur Orelii
przypominającej rozkraczonogo avozaura i rzędy cyfr.**

Herdatus: 111 678, Longinus: 77 534, Cedrus: 21 213.

**- To niemożliwe - jęknął mały consulantor - przecież
wszystkie sondaże...**

Jednak po chwili cyferki przeskoczyły do przodu i za

trójką pojawił się jeszcze znak nul. Łaziebnice

zaklaskały, Ursin zacisnął dłonie. Tylko nie zapeszyć!

Zwycięstwo w Orelii było przewidywane właśnie w

takich porocjach.

- Wszystko za mało, na cierń z korony! Mało! -

**marudził Druzzus. Jak każdy eks-sportowiec lubił
sytuacje stuprocentowe.**

Informacje z Zefirii nie zmieniły dotychczasowej

kolejności. Wciąż prowadził Herdatus, na którego dotąd oddało swe głosy 42 550 333 mieszkańców Archipelagu. Longinus wprawdzie wystartował świetnie, wygrywając pewnie w stołecznej Florentynie, teraz jednak zajmował dopiero trzecie miejsce z wynikiem ledwie trzydziestu dziewięciu milionów.

Natomiast Cedrusowi do zwycięstwa nad głównym rywalem brakowało co najmniej ćwierć miliona głosów. Przesądzić miało społeczeństwo Ultimy.

Olbrzymiej, żyznej wyspy, prawie kontynentu, z blisko czternastoma milionami wyborców. Szanse Longinusa oceniano tam jako średnie. Sam przed półgodziną poinformował rywali, że w przypadku porażki przekaże całość swojego elektoratu zwycięzcy, zadowolając się funkcją ProNavigatora. Podobna procedura była zresztą przyjęta od lat.

Czas płynął. Na dolnym patio narastały emocje. Szczególnie podniecenie wykazywali młodzi aktywiści Błękitnych, dla których Quintus Cedrus uosabiał nadzieję. "3 razy P" - głosiło jego naczelne hasło wyborcze: postęp, porozumienie, pokój.

Konserwatysta Herdatus apelujący do tradycyjnych wartości Archipelagu nie ukrywał konfrontacyjnych zamierzeń: "Żadnych paktów z Ekumeną, żadnego

jednostronnego rozbrojenia. Stanowimy ostatnią linię oporu cywilizacji przed despotyzmem. Zniesienie obowiązkowej służby w legionach byłoby samobójstwem". Czyżby ten program miał wygrać?

Tymczasem cały panovid wypełniła twarz podnieconego sprawozdawcy:

- Wszystko wskazuje, że rywale idą leb w leb - wołał. -

Na Ultimie spływają dane z ostatnich parochii, ale... -

tu fala magnetycznych zakłóceń przerwała przekaz.

Wzrok zgromadzonych pobiegł ku mapie. Cyferki

wyświetlane w centralnym punkcie Ultimy

przeskakiwały jak szalone. Różnica między głosami

stronników "Niebieskich" (Cedrus) i "Żółtych"

(Herdatus) wahała się między czterystu a sześciuset

tysiącami. Przy czym dystans ciągle się zmniejszał.

Jednak w zacofanych rejonach górskich szanse

Cedrusa fachowcy oceniali jako małe. Ursin dostrzegł,

że jego szef ociera pot z czoła. Nie zauważył, kiedy

weszła Octavia. Była już ubrana. Zaciskała dłonie tak

kurczowo, że aż pobielały jej palce.

330 tysięcy głosów różnicy, 319, 215, 185, 147, znów

152. Teraz wszyscy wpatrywali się wyłącznie w punkt

ekranu, gdzie licznik wyświetlał różnicę. W napiętej

ciszy słychać było już tylko warkot wentylatorów. I

naraz rozległ się wysoki dźwięk obwieszczający

zakończenie głosowania. Ursin podniósł głowę. Cyfry

zniecieruchomiał:

Cedrus 48 013 122

Herdatus 47 988 125

Longinus 43 005 011

Raptowna wrzawa, oklaski, wiwaty. Ave, Cedrus!

Quintus szybkim krokiem wyszedł z term na galerię

obiegając patio. Wszystko pulsowało wokół niego, a

on doszedł do barierki obejmując Octavię. Ruffix, Ursin

i Druzzus stanęli nieco z tyłu... Stało się! Został

trzydziestym drugim SuperNavigatorem Archipelagu,

Pierwszym Konsulem, Wielkim Pontifexem, Szefem

Legionów i Czterech Flot. Demokratycznym

Zwierzchnikiem Federacji.

O 4.25, siódmego żeńca, Roku Pańskiego1504 tłum

gęsty jak zupa ultimijaska wypełnił cały kryty wirydarz

"Asilium IV". Kwietne stroje krajowych mediaferrów

mieszaly się z nakrochmalonymi togami

Wandalijczyków i przaśnymi uniformami

correspondansów z Ekumeny. Ruffix uwijał się w tej

cizbie jak pracowita pszczoła. Przesuwał, ustawiał,

ugniatając tłum niczym ciasto. Ursin z zazdrością

obserwował kolegę, usiłując dojść, skąd rudzielec
znajdował w sobie tyle sił, inwencji. Pracowali równo,
Marek był jednak tak zmęczony, że litery gratulacyjnej
bulli od przegranego Longinusa skakały mu przed
oczami, natomiast Ruffix wyglądał, jakby właśnie
wrócił z dwutygodniowych wczasów w Zefirii.

Wytrzymałość barbarzyńskiego materiału? Działanie
jakichś nieznanymi specyfików? Consulantor mimo
zażycia pastylki stymulującej rozpaczliwie walczył z
sennością. Naraz Druzzus odwołał go na bok.

- Mamy incydent! Są ranni.

Marek czuje, jak cała senność pryska zmieciona falą
gniewu. Tylko tego im brakowało! Czy rzeczywiście
zaangażowanie na szefa ochrony, wbrew Ruffixowi,
eks-mistrza Federacji w atletyce klasycznej było
najszcześniejszym posunięciem?! Pyta o szczegóły.

Naturalnie, "Wściekli"! Mimo ścisłej kontroli grupka

"Agressores", przedarła się przed hostel i usiłowała podpalić pojazdy... Oczywiście "Wściekli"
są zawsze przeciw wszystkim i wszystkiemu. Gdyby wygrał

Herdatus lub Longinus, teraz zapewne atakowaliby ich
kwatery.

- Czy ktoś zginął? - niepokoje się Ursin.

- Skończyło się na skaleczeniach, dwóch zabrała
salvatoria. Ważne, że naszym chłopakom udało się

zatrzymać najagresywniejszego z napastników, niejakiego Nerensa. Piątek myślał o przekazaniu napastnika w ręce vigilantów, ale gość zaczął gadać takie głupoty, że pomyślałem o tobie.

- Jakie głupoty?

- Że celowo dołączył do napastników tylko po to, aby trafić w nasze ręce. Chce osobiście przekazać coś Cedrusowi.

- Wymienił jakieś konkrety?

- Chce rozmawiać wyłącznie z Quintusem. "Jak nie - wrzeszczał - to pogadam z pismakami, a wtedy cały Archipelag się zatrzęsie". - Powiadomisz szefa?

- Najpierw sam pomówię z tym ptaszkiem. Po konferencji. Pilnujcie go dobrze.

- Jest na trzynastym, żadnego styku z postronnymi, poza tym jest zdrowo nabuzowany stymulami, posiedzi trochę, to skruszeje.

Druzzus oddała się swym charakterystycznym, lekko kołyszącym się krokiem morskiego wilka. Ursin wraca na salę. Wcale mu się nie uśmiecha przesłuchiwanie intruza. Na co dzień dość miał najróżniejszych deviantissimów i fabulantów usiłujących dopchać się

do Cedrusa. A jeszcze "Agressores". Już czwarty z kolei WielkiNavigator będzie miał kłopoty z "Wściekłymi".

Na szczęście grupki tych nawiedziców, tyle hałaśliwe co rozproszone, z absurdalnymi egalitarnymi hasłami i egzotycznymi doktrynami religijnymi nie znajdowały większego posłuchu w społeczeństwie dobrobytu. Przy stałych postępach relatywizmu i konsumpcjonizmu kogo tak naprawdę interesowały spory Trynitatystów i Unodeistów? Jak mawiał Klaudiusz Settens, "Co nas obchodzi, czy Bóg jest Jednym w Trzech Osobach, czy Trójcą stanowiącą Kolektywne Kierownictwo, skoro naukowo udowodniono, że go nie ma".

Z drugiej strony dość było wskazówek, że cała trynitatystyczna ideologia "Agressores" stanowi jedynie przykrywkę dla dywersyjnej roboty gerontokratów z Ekumeny. Przy zrównoważonych od blisko pół wieku siłach nuklearnych Ekumeny, Archipelagu i Wandalii, zdolnych po wielokroć zniszczyć się nawzajem, konflikt o hegemonię na Innej musiał z konieczności ograniczać się do działalności dywersyjnej i zmagania służb ekstraordynaryjnych. I tu głodna, ale hermetycznie zamknięta Ekumena miała znacznie większe możliwości rozgrywki z otwartym i sytym Archipelagiem. A szło ku jeszcze większej otwartości. Społeczeństwo Federacji wybrało nie twardego Herdatusa czy pragmatycznego Longinusa od

lat walczącego w Kurii o środki na obronę, a pięknego

jak auriga rydwana z reklamy stymulów Cedrusa.

- Jak w dniu elekcji zapatruje się Ekscelecja na

stosunki z imperium Ekumeny? - padło nagle pytanie

correspondansa "Poranka Akropolii". Ursin, który zna swego szefa lepiej niż niejedna libratorka, zauważa to

drgnięcie grdyki i minimalny błysk w oku.

- Decydując się na kontynuowanie naszej długoletniej

strategii równowagi uczynię wszystko, aby zmniejszać

dzielące nas nieufności, zbliżać oba narody, tak aby

zachowując swą tożsamość, stawały się bardziej

otwartymi na moralne i kulturowe wartości partnera.

- Pan wierzy w taką możliwość?! - przerywa legat

Florentyńskiego "Wieńca". - Wierzy pan w

koegzystencję nas, wyznawców Jedynego, z tymi

aliantami szatana?

- Przepraszam - correspondans ekumeński zrywa się z

miejsca - ale to my jesteśmy wyznawcami prawdziwego

Boga...

Narasta tumult. Zdezorientowany Cedrus milczy.

Błyskawicznie reaguje natomiast Ruffix przeraźliwie

dmąc w gwizdek. Nieszablonowy pomysł skutkuje.

Emocje cichną. A Quintus odpowiada okrągłymi

zdaniem, tak by i Archipelag był zadowolony, i

Ekumena cała.

- Mam pytanie - zwraca się niesłychanie spokojnie przedstawiciel agencji "Nowa Wandalia". - Trochę prywatne. Nie wszystko da się wyczytać z oficjalnych życiorysów. Kiedy ekscelencja wpadł po raz pierwszy na pomysł zostania Generalnym Navigatorem Federacji?

Ursin uśmiecha się - zna doskonale odpowiedź szefa.

"Półtora roku temu Kierownictwa Fakcji Błękitnych z Orelii, Nowej Istrii i Superiori zwróciły się do mnie z propozycją kandydowania..."

Tymczasem przy wejściu znów pojawia się Druzzus, gestami przywołując Marka.

Ten przeciska się przez tłum rejestrując jeszcze, że elekt recytuje ustaloną formułę po dłuższej, niepotrzebnej pauzie.

- Ten Narens dostał szału - szepce ochroniarz. - Moi ludzie chcieli mu dać coś do picia, ale zaczął krzyczeć, że nie da się sprzątnąć, że musi koniecznie, natychmiast spotkać się z Cedrussem. Pytam, o co chodzi? Ale nawymyślał mi tylko od wynajętych goryli.

"Ja - wołał - wychodzę z siebie, udaję deviantisimussa, aby do was dotrzeć i ostrzec Navigatora, a wy mnie potraficie tylko zamknąć. Muszę się z nim widzieć, i to

przed inauguracją, bo inaczej pokażę mediom moje notatki, a jego nic nie uratuje". Zaproponowałem, aby sprawę przekazał na piśmie, no to jak nie wybuchnie:

"Jakie mam gwarancje, że i ty nie jesteś w spisku?"

- Jesteś pewien, że użył słowa spisek?- pionowa

zmarszczka przekreśla czoło Ursina.

- Niczego nie jestem już pewien. Uspokoił się trochę, jak przypalilem mu zwija i obiecałem, że pogada z nim osobisty sekretarz Quintusa. Obiecałem, że będziemy za kwadrans.

Poczynając od szóstego poziomu hostel pogrążony był we śnie. Na opustoszałych galeriach nie uświadczylbyś żywej duszy. Wartownik przed drzwiami apartamentu 1311 zdążył już zasnąć. Druzzus potrząsnął nim i kazał otworzyć. Wchodzących uderzył podmuch porannego powietrza. Na wprost wejścia znajdowało się szeroko otwarte okno. Żaluzje podciągnięto. Poza tym dormitorium i pokój kąpielowy świeciły pustką. Przy wilgotnej wannie leżała przepocona tunika Narensa i kłęb ręczników. Druzzus zaglądał do szaf, Marek tymczasem dopadł framugi okiennej. Sześć kondygnacji niżej, na terasie do gry w piłkę, pokrywającym portyk konferencyjny, w płytkim impluvium służącym umywaniu nóg czerniało nagie

ciało z rozkrzyżowanymi kończynami.

- Zaiste dziwny sposób ucieczki, wziął kąpiel i wyskoczył na tamten świat? - zastanawiał się. - Na pewno nic nie słyszałeś, Gando? Wchodził tu ktoś? - zwrócił się do strażnika. Ten ciągle półprzytomny pokręcił głową.

- A dokąd prowadzi to przejście? - Ursin wskazał drzwiczki po lewej stronie.

- Do bieliźniarki, ale zamknęliśmy je.

Marek przekręcił klamkę, drzwi ustąpiły. Otwarte okazało się również następne przejście prowadzące na służbową galerię i do wind gospodarczych.

- Co o tym myślisz? - spytał Ursin.

- Facet wziął kąpiel i to w połączeniu ze stymulantami sprawiło, że do reszty pokielbało mu się w głowie, no i...

- Jesteś pewien?

- Niczego nie jestem pewien, zanim nie zbadam wszystkich aspektów sprawy. Gando, wezwij moich ludzi, dyskretnie. Niech doktor Darni zobaczy zwłoki, zdejmijcie odciski z klamek i framugi okna. Dowiedz się też - wskazał maleńkie oczko przy górnej listwie - czy obraz z tego pokoju był rejestrowany...

Ursin przeszedł się po pokoju, zajrzał do szuflad,

przetrząsnął ciuchy Narensa.

- Szukasz czegoś? - spytał Druzzus.

- Mówiłeś o jakichś papierach...

- Tak, kiedy klepał się po piersi, słyszałem ich szelest...

Ale obawiam się, że je spalił. Widzisz ten popiół na

popielniczce... - Urwał. - Tylko jak to zrobił?

Przetrząsnęliśmy jego ubranie, wiemy, że nie miał przy

sobie żadnej zapalarki. Chyba że ją połknął...

Równow z zakończeniem konferencji słońce zajrzało w

okna cubikulów "Asilium IV". Prowadząc elekta i jego małżonkę do sypialni Ursin zastanawiał się, czy

powiedzieć o wypadku? Postanowił jednak nie psuć im

nastroju w tym podniosłym dniu. Ruffix i przybyli

pretorianie zaprotokołowali incydent jako

samobójstwo, a Marek o niczym innym nie marzył

bardziej niż o śnie: "Łóżeczko, łóżeczko, łóżeczko" -

szeptaly wszystkie komórki jego ciała. Ale jak na złość

Morfeusz nie kwapił się z nadejściem.

- To ze zmęczenia - mrucał do siebie consulantor. -

Najważniejsze, że mamy sukces. Chociaż, jak miało go

nie być. Quintus zawsze był dzieckiem szczęścia. Nawet

jeśli od bardzo dawna był sierotą.

II CEDRUS SZCZĘŚCIARZ

Trzeci zmieńca Anno Domini 1482 przypadał w spoczynek, jak ze świecka nazywano Dzień Pański.

Wiosna tego roku na chłodnej wystawionej na borealne podmuchy Nowej Istrii spóźniała się, a w Góry Gadzie chyba w ogóle nie miała zamiaru zawitać. Szczęściem dzięki ocieplanemu wnętrzu pędnika viapretorianie, dyżurujący opodal krzyżówki dróg w Kanionie Wielkich Nietoperzy, nie mogli uskarżać się na warunki klimatyczne. Najwyżej na nudę. Szef dwuosobowego patrolu Balbo był już mocno zaawansowanym w latach vicepiątnikiem. Roku ledwie brakowało mu do statusu weterana, wyglądał jednak dużo poważniej. Ponoć zapytany przez wizytującego te górskie rejony prowincjała o wiek, odpowiedział rezolutnie: "Mam tyle, na ile wyglądam".

- Wykluczone, tak długo ludzie nie żyją - skomentował dygnitarz.

Tego dnia jednak Balbo nie miał ochoty na żarty. Bezustannie mżyło, z rzadka tylko poryw wiatru przeganiał chmury, wydobywając ze strug deszczu poszarpane piargi i przepaściste zleby. Miejsce, w którym vicepiątnik zwykł zasadzać się na amatorów straceńczej jazdy, cieszyło się złą sławą. Dopiero wzniesiona parę lat później viafasta miała zastąpić

krętą drogę skalną półką. Malowniczą w dzień
słoneczny, kiedy na zboczach kanionu można było
spotkać wygrzewające się wielkie ślamazarne
elefantozaury, i diablo niebezpieczną o takiej porze jak
ta. Jak na "spoczynek" ruch był słaby. Do południa
ukarał jedynie parkę smarkaczy, którzy całując się jak
opętani omal nie wypadli z drogi. O 12. 25 dowódca
ożywił się, szarpnął wtulonego w siedzenie pomocnika.

- Popatrz! Olimpion senatora!

- Też powód, żeby mnie budzić. Widziałem już go parę
razy. Za wodospadem mają taką rezydencję... -

ziewnął widząc, jak złocisty pojazd znika za zakrętem. -

Faktycznie wspaniała maszyna. Kilka tysięcy aureusów
jak nic...

- Tak, ale żebyś zobaczył pasażerów. Czarny auriga w
liberii. Żona w kapeluszu większym niż patelnia.

Synowie jak z reklamy środków odżywczych, a
córeczka...

- Zdrowa sempiterna - zgodził się viapretorianin. -

Obserwowałem ją w oglądniku. Aż ręce swędzą.

- A ja ci powiem, że nie zazdroszczę senatorowi

Cedrusowi. Ma wprowadzić wszystko - pieniądze,

władzę, rezydencję na Południu, ten dom w górach...

Ale czy taki człowiek może jeszcze o czymś marzyć?

- Zaproponuj mu, żeby się ze mną zamienił - prychnął pomocnik. Jego cynobrowe od notorycznego żucia ginny zęby wyszczerzyły się w złośliwym uśmiechu. - Poza tym i taki bogacz ma kłopoty, trzeba synków w życiu ustawić.

- To nie sprawi mu trudności.

- Córeczkę dobrze wydać za męża.

- Mało chętnych?

- No a żona, podobno pije i zażywa stymulanty...

- To kłopot żony, nie jego.

Wymianę zdań przerwał rozklekotany apolloniak usiłujący dość bezczelnie skrócić sobie drogę przez zamknięty szlak wiodący środkiem rezerwatu. Potem jeszcze jakiś szczeniak na raketce pogwałcił ograniczenie prędkości. Przekazali jego numery następnemu punktowi kontrolnemu. Pewne urozmaicenie do służby wniosła dopiero kobieta, właścicielka srebrzystej galerietty i olbrzymiej blond peruki sięgającej splotami do połowy ud.

- Strasznie zablądziłam - mówiła lekko sepleniąc. -

Skręciłam chyba w niewłaściwy rozjazd. A wzięłam mały zapas paliwa. Teraz mi się skończył. Moglibyście pomóc? -mówiąc niskim, gardłowym głosem

bezustannie przenosiła wzrok z vicepiątnika na jego

zastępcę. Taki wzrok był zdolny kruszyć kamienie.

Pomocnik pękł pierwszy.

- Mamy pewien zapas w zbiorniku, ewentualnie można utoczyć...

- Jak ja się panu odwdzięczę. Może... Zatsymam się dzisiaj na noc w cauponie "Na przełęczy". Mogłabym zaprosić tam pana na filiżankę naparu. Proszę o fonik za parę godzin.

Pomocnik przyjął zaproszenie, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zadzwoni, a gdyby nawet, to nie zastanie blondyny.

Dialog przerwał pisk hamulców, z wielkim impetem zahamował niewielki sportowy pędnik nadjeżdżający z naprzeciwka. Wyskoczył z niego kierowca gestykulując w podnieceniu.

- Okropny wypadek przy Czarnym Garbie! Wóz wypadł z szosy, płonie!!!

Popędzili tam jak najrychlej. Przy jedenastym zakręcie dostrzegli miejsce katastrofy. Na żwirze widać było ślady gwałtownego hamowania. Najprawdopodobniej kierowca z niewiadomego powodu zamiast skręcić na łuku w lewo postanowił jechać prosto i dopiero w ostatniej chwili zdecydował się na hamowanie. Czyżby auriga był pijany? Ślad hamowania ciągnął się przez

wąski pas pobocza. Dalej widać było wylamaną barierę.

Pędnik musiał wielokrotnie koziolkować po

rudoszarym zboczu piargu i teraz leżał na dnie parowu

na dachu niczym martwy chrabąszcz. Ogień już się

dopalał.

- Olimpion senatora Cedrusa! - wykrzyknął pomocnik i

przesadziwszy resztki bariery zaczął opuszczać się po

stromym zboczu. Tymczasem Balbo zwrócił się do

kierowcy, który zgłosił katastrofę:

- Widział pan, jak doszło do incydentu?

Przeczące kiwnięcie głową.

- A jakichś świadków pan nie widział?

- Nie, pusto jak wymiecione, w czasie całej drogi minęły

mnie ledwie dwa wozy, żadnego przechodnia. Jedynie

tam na dole, milę stąd - wskazał wijącą się wśród

zieleni wstęgę żwirowatej ścieżki - mignął mi zielony

dach jakiegoś wehikułu. Pewnie patrol rezerwowy.

- Mogli coś widzieć? - zainteresował się vicepiątnik.

Świadek wzruszył ramionami.

- Jakby dostrzegli, toby się zatrzymali. Zresztą z dołu

pewnie niczego nie widać.

Ostrożnie poczęli się w ślad za pomocnikiem

opuszczać w stronę dogasającego wraku olimpiona. Im

bliżej dna parowu, tym więcej widać było rozrzuconych

detali - odprysków szkła, kawałków metalu. Na jednym z krzaków wisiał strzep kapelusza senatorowej.

Nozdrza funkcjonariusza wyczuły mdły swąd spalonych ciał. Zbierało mu się na mdłości. Podeszedł bliżej. Ofiary musiały zginąć na miejscu, nie zauważył niczych prób wydostawania się z wnętrza. I naraz drgnął. Kilkanaście stóp od wraku dostrzegł ludzką rękę wystającą z krzaka ziębokrzewu.

- Tutaj! - krzyknął do pozostałych.

Młody mężczyzna w sportowym ubraniu leżał wbity twarzą w zarośla. Siła wyrzutu musiała być spora, pozbawiła go zarówno butów, jak kaftana. Rozchylając gałązki viapretorianin próbował wydobyć zmasakrowane ciało. Zalana krwią twarz przypominała maskę. Mimo to osiemnastoletni rekordzista gry w piłkę był zbyt znany, aby go nie rozpoznać.

- Pomóżcie mi go wyciągnąć! - Chwycili go za ręce i nogi. I wtedy usłyszeli jęk. Pomocnik omal nie upuścił ciała i począł wołać do salvatorianów, których ambulans właśnie pojawił się na drodze.

- Quintus Cedrus żyje!

Balbo obejrzał złotą bransoletę na przegubie chłopaka.

Krew Appolińska z ujemnym odczynnikiem. Rzadka grupa.

- Nie mamy takiej! - jęknął przybyły lekarz.

- Nie szkodzi, zabierzcie go do pędnika, a ja dzwonię do domu. Przypadkowo taką samą grupę ma mój syn - Marek Ursin.

Zaiste, czy może być coś mocniejszego nad więzy krwi.

Świat spadkobiercy fortuny Cedrusów i zakamarki, w których wegetowali Ursinowie, dzieliło wszystko.

Właściwie nie powinni się nawet spotkać. A przecież kiedy po długiej rekonwalescencji Quintus odzyskał zdrowie i poczęła wracać mu pamięć, zadbał o tych, którym zawdzięczał życie. Balbo dostał przeniesienie do Avillei, a jego synowi opłacono studia w najlepszym gimnazjone, tym samym, do którego po rocznej przerwie powrócił sam Cedrus. Dzielili ich cztery roczniki, w tym czasie niemal otchłań - Marek był jeszcze pokrytym trądzikiem wyrostkiem, Quintus młodym nobilem, zawracającym w głowach dziewczętom. Ale zawsze kiedy się spotykali, Cedrus traktował go z przyjaźnią. Nie dziw, że z czasem uznanie dla starszego kolegi przerodziło się w uwielbienie i takim pozostało. Doszło do tego, że gdy rozeszła się wieść, iż młody arystokrata ubiega się o przyjęcie do elitarnej Akademii Wielkiej Polityki, ale

szanse ma niewielkie, Ursin zapalił w jego intencji

kaganek w celli św. Felixa, patrona szczęściarzy.

Rokrocznie Akademia w Villa Superioris przyjmowała

dwudziestu jeden najwybitniejszych absolwentów ze

wszystkich uczelni Archipelagu. Po jednym z każdej

sfederowanej diecezji. Nie było wyjątków. Ani

pieniądze, ani pozycja społeczna nie dawały

preferencji. Trzeba było być rzeczywiście najlepszym...

Szanse Cedrusa osłabiał brak wpływowego ojca i

opóźnienie w nauce po długotrwałej rekonwalescencji.

Powszechnie plotkowano o chwilowych nawrotach

amnezji, wprawdzie coraz radszych, ale

dokuczliwych.

Oczywiście, karierę polityczną można było robić i bez

dyplomu AWP - mozolnie przepychać się w rejonowych

fakcjach, antyszambrować stopień po stopniu

zaliczając liktoraty i edylaty, aby uzyskać grubo po

sześćdziesiątce trybunat lub togę senatorską.

Natomiast absolwent AWP mógł zostać prefektem lub

cenzorem zaraz po trzydziestce, a koło czterdziestki

sięgnąć nawet po Navigatoriat.

Faworytem z Nowej Istrii był Julius Dexos - absolutny

prymus, a przy okazji charyzmatyczny lider

młodzieżowej korporacji. Quintus w najlepszym

przypadku mógł liczyć na drugą lokatę. Ale drugie czy
ostatnie miejsce w grze o wszystko nie miało
znaczenia. Na cóż więc mógł liczyć? Że rozdźwięki w
Radzie Pięciu Dziekanów doprowadzą do utracenia
kandydatury Dexosa? W końcu nieraz wymóg
jednomyślności spowodował utracenie faworyta i
awans kogoś mniej kontrowersyjnego. Choć
równocześnie po wielokroć chronił Archipelag przed
dopuszczeniem na szczyty ludzi zdolnych, ale
niezrównoważonych - histeryków, mitomanów czy
egoistów.

Trudno było jednak znaleźć u Dexosa słabe punkty.
Zresztą, gdyby nawet z jakiegoś powodu kandydatura
Juliusa upadła, i tak Quintus mógł spodziewać się veta
ze strony Vellona, sędziwego profesora Etyki
Politycznej, przed laty osobistego antagonisty jego
ojca. Stary filozof nie krył swej niechęci wobec
kandydata. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Może do
familijnych animozji dołączyła się intuicyjna fobia?
Modlitwy Ursina musiały jednak pomóc. Dwa dni
przed Sesją Rady Dziekanów 17 różyna 1484 roku
Helena, uroczą narzeczoną Dexosa, popełniła
samobójstwo, rzucając się do rzeki z mostu Apostołów.
Oszalały z bólu Julius, który nie potrafił pogodzić się z

zadziwiająco krótkim listem pożegnalnym "Odchodzę, wybacz. Helena", nie zjawił się nawet przed obliczem Rady. Resignatio per absentio. Trzeba trafu, że tego samego dnia w czasie burzy śnieżnej uległa katastrofie awionośnia profesora Etyki Politycznej, a on sam ciężko ranny zmarł po paru dniach. Sesję odroczone, zaś nowy szef Katedry Etyki Klaudiusz Settens nie miał już nic przeciwko poparciu Quintusa.

Dalsza kariera Cedrusa (Szczęściarza, jak z czasem zaczęto go nazywać) przebiegała błyskawicznie.

Wystrzelił w górę z energią Wielkiego Gejzera z Gadzich Gór. Mozolnie przebijający się przez życie Marek śledził karierę kolegi głównie za pośrednictwem gazet i oglądników. Raz w roku wysyłał powinszowanie z okazji Dnia św. Quintusa i otrzymywał podobny list, gdy obchodzono święto Marka Ewangelisty.

Okazji do ponownego spotkania dostarczył dopiero przed czterema laty zjazd koleżeński i połączony z nim charytatywny bal, bodajże na rzecz inwalidów wojny herriańskiej. Cedrus przybył bardzo spóźniony. Na jego ingres ustały tańce, a muzykanci zagrali "Z Bogiem, z Bogiem, miły bracie". Zaraz zaproszono go na podium. I, niestety, Quintus się nie popisał.

Powiedział parę banalnych frazesów i szybko skręcił do

popiny. Wyglądał na przemęczonego i błyskawicznie
wypił flaszkę winy. Zaraz potem urażony jakimś
przytykiem wdał się w awanturę, wreszcie w bójkę, z
której wybawił go Ursin. Po odesłaniu posiniaczonego
aurigi-polityka osobiście zaopiekował się przyjacielem.

W onym czasie Marek pracując jako librador mieszkał z
matką i dwiema ciotkami w pięciopokojowej
mansardzie nad księżnicą. Cedrus spędził na tym
poddaszu dużo więcej czasu niż zamierzał. Wpierw
dwa dni chorował, a następnie przyjął zaproszenie, by
zostać dłużej.

- Po raz pierwszy żyję normalnym życiem, poznaje, co
to rodzina - zwierzył się po paru dniach.

Dom Ursina był ciasny, ubogi, ale serdeczny. Stare
ciotki dogadzały Quintusowi jak mogły. A on czuł się
jak odkrywca nowego lądu. Rano biegł z Markiem na
nabrzeże, gdzie rybacy wyladowywali świeżo złowione
skarby morza, w niczym nie przypominające
amorficznych produktów z galeonów przetwórci. Stąd
krok tylko dzielił ich od macellum, targu, dla którego
ranek oznaczał porę przyływu. Koło południa
zapuszczali się w kręte uliczki opodal bazyliki, gdzie
rozkładali swoje kramy antykwariusze i woluminiści.
Dyskutowali z rozpolitykowaną młodzieżą na schodach

palladyńskich, przy czym Quintus w szarej tunice nie
zdradzał swych patrycjuszowskich paranteli. Czasem
po mocnym naporze w tratorii "U Węglarzy" zaglądali do pobliskiej palestronu, gdzie ze
śmiertelną powagą
rozstrzygano pozwy o kradzież melonów i szkalowanie
w sprzeczkach. Każdy dzień niósł kolejną dawkę
niezwykłej powszedniości. Wychowanek prywatnych
pedagogów i elitarnych gimnazjonów po raz pierwszy
chodził na podmiejskie zabawy, tor wrotkowy,
sztuczną ślizgawkę. Ursin, który też wziął urlop, czynił
wszystko, aby oderwać przyjaciela od dotychczasowych
spraw. Nie było to trudne, Cedrus, zda się, zapominał o
polityce. A kiedy jeszcze pojawiła się Octavia...
Tarapeum to niezwykle malownicza część Avillei,
właściwie osobne miasteczko uczone na
podobieństwo ptasich gniazd nadmorskich skałek.
Część zabudowań pochodzi z VI wieku, reszta
nawarstwiała się wraz z kolejnymi epokami (stolica
Nowej Istrii uniknęła szczęśliwie zniszczeń w czasach
wojen). Naprzeciw skał znajduje się płaska jak brzuch
flądry Wysepka Raków. Kiedyś było tam miejsce
straceń, później necropolia. Obecnie park - pomnik
przeszłości - opanowali bez reszty malarze. Quintus
udał się tam w poszukiwaniu jakiejś pamiątki ze

swojego istriańskiego epizodu, Marek mu towarzyszył.

I obaj równocześnie zobaczyli Octavię... Siedząc na składanej selli w ubabranych farbą pantalonach szybkimi pociągnięciami pędzla zdawała się wyrywać spod powierzchni płótna skały, kamieniczki, zameczek tarapejski. Barwna paleta, burza włosów, skąpane w popołudniowym słońcu, a na dodatek osobliwie szczupła sylwetka wystarczyły, żeby Ursin beznadziejnie się zakochał... A Cedrus?

Następny tydzień przepędzili w trójkę, Octavia zdawała się nie faworyzować nikogo. Ursin zastanawiał się nawet, czy nie walczyć o względy pięknej plastyczki. Rychło jednak, gdy tak wałęsali się po starej Avillei, zauważył, że między Quintusem i Octavią nawiązuje się dodatkowa więź. A którejs nocy urwali się przyjacielowi. Czy wówczas się kochali? Mały bibliotekarz nie prowadził dochodzenia. Cierpiał, aleu miał rezygnować. Cedrus nie.

Kiedy tydzień później senator odjeżdżał do stolicy, wezwany do Kurii na rozpoczynającą się debatę budżetową, wyglądał na odmienionego. Emanował energią i optymizmem. Ściskając ręce przyjaciół wyznał krótko:

- Nie macie pojęcia, jak mi pomogliście.

Ursin do tej pory nie potrafił powiedzieć, na czym polegał ów psychiczny dołek, z którego wyciągnął Quintusa. Rozpad pierwszego, prestiżowego małżeństwa? Znużenie polityką? W każdym razie sądził, że już więcej się nie spotkają. Podobnie przypuszczała Octavia, w której z dnia na dzień był bardziej zakochany... A jednak miesiąc później, po szalonej nocy, podczas której wyznał jej miłość i nie został odtrącony, nawet gdy całował ją nieśmiało między bibliotecznymi regałami, Octavia nic mu nie mówiąc pojechała do stolicy. Wkrótce w plotkarskich periodykach pojawiły się informacje na temat zaręczyn młodego senatora z prowincjonalną pięknnością. Pół roku później, a w kilka tygodni po ślubnej ceremonii Marek Ursin otrzymał zaproszenie ze sztabu "Błękitnych" na Superiorze. Akcje Cedrusa na politycznej bursie poszły wtedy bardzo w górę - pojawiające się w jego wystąpieniach akcenty społeczne i ekologiczne, głębokie zrozumienie ludzkich potrzeb jednały mu zwolenników w środowiskach dotąd podchodzących z rezerwą do programu "Błękitnych". Nominację ułatwiła także choroba jednego z konkurentów i zagadkowe wycofanie się kilku innych z rywalizacji.

Marek poleciał na Superiore i spotkał się z

przyjacielem.

- Kandyduję do Głównego Arbitriatu - wyznał mu

Quintus. - Potrzebuję konsultanta. Właściwie szefa sekretariatu.

- Ależ ja tego nigdy nie robiłem.

- Ja też nie byłem nigdy Arbitrem - zaśmiał się Cedrus.

-Powiem ci otwarcie, bardziej od prawej ręki

potrzebuję obok siebie przyjaciela.

I Ursin przyjął propozycję. Choć każde spotkanie z

Octavią przypominało sypanie soli w niezabliźnioną ranę.

Trzy miesiące później Quintus wszedł jak lodolamacz

do mocno zdziadziałego Kolegium Arbitrów, w

skomplikowanym systemie władz Federacji

sprawującego najwyższe funkcje kontrolne, ożywił tę

instytucję, rozprawił się z paroma skorumpowanymi

senatorami, toteż nikogo nie zdziwiło, gdy oświadczył,

że w najbliższych wyborach wystartuje na fotel

Navigatora. Marek poszedł za nim jak w dym.

- Na dwa księżycy Innej! Ależ to jest parada! - W

podniesionym głosie spikera orbitalnej foniki nie ma

cienia przesady. Rzeczywiście Pochód Dziękczynny

połączony z oficjalnym komunikatem Komisji

Elekcyjnej ma charakter ogromnej, spontanicznej

manifestacji. Główną itinerą florentyńską wali

kolorowy tłum. Weterani i młodzież, delegaci

tribusów, przedstawiciele miejskich bractw. Poczty

legionów i akademii. Rozpasane tancerki uliczne.

Święto!

Maszerują twardzi, ogorzali mieszkańcy Ultimy,

rozgadani i wiecznie weseli Equatorczycy. Tuż zaraz

kroczą, pełni pierwotnej godności, odziani w

historyczne stroje autochtoni z Nowej Istrii, Orelianie

na autorydwanach, wreszcie marynarze z

siedemdziesięciu wysepek bogatej w legendy Zefirii.

Dwadzieścia jeden wspólnot składających się na

fenomen Archipelagu. Wielość w Jedności!

Manifestacji nie przeszkadza wzrastający upał. Zresztą

Florentyna, wzniesiona dwa tysiące łokci nad

poziomem morza, nawet w miesiącach letnich cieszy

się znośniejszym klimatem, niż by to wynikało z jej

szerokości geograficznej.

Z pokładu wiroplatu prowadzący maszynę Druzzus

oraz siedzący obok Ursin śledzą przebieg defilady

podążającej do świątyni Jedynego, gdzie Elekt

tradycyjnie miał wnieść modlitwę dziękczynną.

Oczywiście dawny element religijny ceremonii utracił pierwotny sens. Od pół wieku Navigatorzy byli agnostykami, a mieszkańcy traktowali święto jako okazję do zabawy, zakupów lub zawarcia nowych znajomości.

- Cóż za bajzel!- mruczy szef ochrony do swego pasażera. - A co tu będzie za dwa tygodnie podczas oficjalnej inauguracji? Urobimy ręce po łokcie.

- Tu siedemnastka, tu siedemnastka! Na rogu Zielonej i Wergiliego zatrzymaliśmy mały kontrpochód uzbrojony w butelki z zapalaczem, co robić? - dobiega z fonika, którym ludzie Druzzusa podsłuchują łączność pretorianów, vigilantów municypalnych oraz sekurytów FOI (Federacyjnego Officjum Inwigilacji).

- Izolować, nie używać ostrej amunicji - słyhać głos viceperfectimusa - i za skarby nie dopuszczać tych oszołomów z wizyjników.

Wiropląt to przy okazji dobre miejsce, gdzie obaj przyjaciele mogą porozmawiać bez świadków.

Podsłuchując i wierząc, że sami nie są podsłuchiwni.

Druzzus nadal draży temat martwego trynitatysty.

- Obawiam się, że mamy do czynienia z precyzyjnym morderstwem - szepce.

- Na jakiej podstawie, Fabio, braku zapalniczki?

Czytałem oficjalny raport. Na szybie i futrynie

znaleziono wyłącznie odciski palców Narensa. Na ciele

nie miał żadnych obrażeń poza powstałymi od

uderzenia o dno impluvium. Żadnych podejrzanych

ukłuć... Dawka stymulantu też nie była śmiertelna...

- Najważniejszą informację dottor Darni przekazał mi

ustnie. Wiesz, co było prawdziwą przyczyną śmierci

faceta?

- Uderzenie?

- Bynajmniej. Roztrzaskał się już martwy. W jego

płucach znaleziono wodę.

- To zrozumiałe. Leżał przecież w tym brodziku.

- Znaleziono wodę z perfumowaną pianą pochodzącą z

hostelowej łazienki, Marku. Ktoś utopił Narensa w

wannie, wytarł ciało i wyrzucił przez okno dotknąwszy

upřednio jego dłonią do klamki i framugi...

- A nagranie? Powinno być przecież nagranie

obraznikowe.

- I to jest właśnie najciekawsze, na 15 minut przed

naszym wejściem do pokoju samoczynnie przetarł się

kabel zasilający nagrywarkę...

- To znaczy...?

- To znaczy, że Narens został zgładzony profesjonalnie,

że morderców było paru. Że mieli swobodę poruszania

się w strefie Pierwszej, słowem, że są to nasi ludzie.

- O Jedyny!

- To jeszcze bardziej komplikuje sprawę.

Zamordowano go w ściśle strzeżonym gmachu, wśród

personelu, który był sprawdzany. Nawet obsługę

"Asilium IV" akceptowaliśmy na te dni wspólnie z

Ruffixem. Nikt z zewnątrz nie wiedział nawet o

zatrzymaniu faceta. Zresztą mediaferranci, goście i

wolontariusze nie mieli na te piętra dostępu.

- Więc co z tym zrobimy?

- Po pierwsze, nikomu ani słowa. Trzymamy się wersji

samobójczej. Przypuszczam, że z ponad tysiąca osób

obecnych wtedy w hostelu koło setki mogło mieć

dostęp do tamtej kondygnacji. Sporo!

- Ale chyba poinformujemy elekta?

- Na razie nikogo. Zbyt wielu ludzi kręci się koło

Quintusa dzień i noc. Jego rozmowy są nagrywane, nie

możemy wykluczyć podsłuchów.

- A ten twój dottor Darni jest pewny?

- Ręczę za niego. Służyliśmy razem na Herrii w

dziewięćdziesiątym trzecim. Uratował mi życie.

- Ktoś jednak musi zająć się śledztwem. Może jednak

FOI? To wygląda na grubszą sprawę. - W pamięci

Ursina odżywa obraz Arrianda, tego wiecznie

uśmiechniętego Navigatora, który zginął w zamachu bombowym w chwili, gdy tulił do siebie małą podniesioną z tłumu dziewczynkę. Mała była żywą bombą. Zdetonowano ją zdalnie. Do tej pory nie wyjaśniono kulisów tej śmierci. Choć gdyby nie ten zamach, prawdopodobnie fakcja "Czarnych" do dziś sprawowałaby władzę w Archipelagu.

- Mógłbym się tym zająć osobiście - Druzzus w zamyśleniu skubie rzadką brodę.

- Niemożliwe. Zbyt jesteś potrzebny Quintusowi na co dzień. Chyba że za parę dni obejmiesz kierownictwo Federacyjnego Oficjum Inwigilacyjnego.

- Nie fantazuj! Wiesz, że faworytem szefa jest Ruffix. A ten od miesiąca nie kryje się z chęcią objęcia funkcji prefektissimusa. Ale masz rację. Moja swoboda ruchów jest więcej niż ograniczona. Jeśli istnieje spisek wymierzony w Cedrusa, to jestem drugą najbardziej obserwowaną osobą w jego otoczeniu.

Może więc wydelegować kogoś z moich ludzi?

- Przydałby się ktoś zupełnie nieznan, samotny strzelec - głośno myśli Ursin. - Odważny, zawodowiec... oczywiście, godny zaufania.

- Tacy ludzie nie rodzą się na kamieniu! Wszyscy prywatni inwigilatorzy, jakich znam, to czereda

chciwych szmalu lachudrów.

- Czyli sytuacja jest bez wyjścia?

Na moment zapada cisza, wreszcie Druzzus wydusza z siebie.

- Był kiedyś człowiek. Ale...

- Nie żyje?

- Jakby nie żył. Definitywnie wycofał się z zawodu.

Opuścił służbę, zatarł ślady. Nawet nie mam pojęcia, gdzie go szukać... Chociaż... Gdyby dottor Darni zechciał... Ten trzymał się z nim najbliżej.

- Nasz sympatyczny dottorek? Nie wiedziałem, że posiada takie kontakty.

- Kiedyś było nas trzydziestu. Jeśli wciąż Leontias żyje, pozostało trzech.

Wiropląt gwałtownie skręca, aby ominąć jedną z trzydziestu sześciu wież bazyliki, która przypomina urodzinowy tort. Autorydwan elekta dotarł właśnie na miejsce.

- Lądujemy - oznajmia Druzzus, odwraca głowę i spogląda prosto w oczy Ursina. - Dobra, wyślę dottorka, ale powiedz, Marku, na jakiej podstawie możemy mieć zaufanie do siebie?

- Nie powinniśmy- uśmiecha się consulantor. - Komuś jednak zaufać trzeba.

III WŁAŚCIWY CZŁOWIEK

Położona na skraju Archipelagu Orelia Południowa jest wyspą górzystą i w wielu regionach zachowała sporo pierwotnego charakteru. Millowe kaskady potoków spadających wprost do morza sąsiadują ze strzaskanymi kolumnami dawnych świątyń.

(Trzęsienia ziemi w tych rejonach Morza

Wewnętrznego zdarzały się częściej niż wojny).

Oddalenie od centrum Federacji i klimat - gorący i wilgotny na wybrzeżu, surowy w interiorze - sprawiły, że wielki przemysł raczej stronił od Orelii. Stosunkowo późno odkryto ją też dla masowej turystyki. I chwała Bogu.

Wszelkie zmiany docierały tu ze znacznym opóźnieniem. Pogaństwo dotrwało aż do IX wieku, a wiele z jego elementów zachowało się w ludowych obrzędach i tajnych misteriach. Powiadano, że w orelskim interiorze trwa przekazywana z pokolenia na pokolenie tajna wiedza wieszczków - heruspików, zaś w leśnych ustroniach kontynuują swoje kultury kryptowestalki.

Oczywiście, Lido Orelia jest dzisiaj wielkim uprzemysłowionym miastem. Posiada spory port, lotnisko i mnóstwo nowoczesnych hosteli. Jednak

trochę dalej od Zatoki Czterech Wiatrów, tam, gdzie wielopoziomowe viafasty przechodzą w nieutwardzone dukty, zaczyna się kraj tajemniczy, surowy, intrygujący. Jednak przemierzający go dottor Darni nie szukał tam bynajmniej wrażeń turystycznych.

Misja, z którą wyprawił go Druzzus z Ursinem, miała być dyskretna. Zadbął więc o zmylenie ewentualnych szpiegów. Pod fałszywym nazwiskiem udał się na Superiore, stamtąd, zmieniwszy kolor włosów i szkła kontaktowe, prawie pustym avionem dotarł do skwarnej Bianciny Equatoriańskiej, skąd wynajęty za małe pieniądze klimatyzowany szybkopław dostarczył go na położoną po drugiej stronie równika Orelię. Tam rozpoczął swoje poszukiwania. Uważał, że nie zaniedbał niczego. Doświadczenia wyniesione z kampanii herriańskiej nie zostały zapomniane. Zmiana nazwiska, charakteryzacje powinny wystarczyć. Nic zresztą nie wskazywało, że mógł być śledzony.

Chociaż... Od niedawna zaczął zauważać pierwsze symptomy starzenia się. Umiłowanie wygod stawało się silniejsze niż żądza sukcesu. Nawyki przeważały nad potrzebą zmiany. Nie miał ani dawnego refleksu, ani poprzedniego pociągu do hazardu. Jeśli więc wybrał się na Orelię, uczynił to w imię długoletniej

przyjaźni z Druzzusem i z lojalności wobec Cedrusa.

Owego wieczora, 10 żeńca, w gaju szpilkowym
pokrywającym wysokie partie wyspy, na kilku
zwalonych kolumnach przysiadła grupka młodzieży,
mimo współczesnych strojów przypominającej
bardziej Bractwo Muz niż klasę rozparzonych
nastolatków. Siedmiu chłopców, w wieku na oko od
czternastu do siedemnastu lat, siedziało kręgiem
wokół mężczyzny o sportowej sylwetce i mocno
posiwiałych skroniach. Z przygasającego ogniska
dolatywał zapach piezonego mięsiwa i świeżych offli
wyjętych z improwizowanego pieca, za który posłużyły
resztki świątynnego tympanonu. Najwyraźniej uczta
nie miała wyłącznie duchowego charakteru. Opis grupy
byłby niepełny bez rusalki, która usadowiła się nieco
wyżej na powalonym architrawie. Z elektryczną
formingą w ręku, którą trącała sporadycznie, jakby w
zamyśleniu, zdawała się być postacią nie z tego świata.
Nie uczestniczyła w rozmowach, choć co chwilę któryś
z chłopców zerkał w jej stronę. Ona zaś odrzucając co
jakiś czas grzywę kasztanowych włosów, rzucała
spojrzenie na nauczyciela. Potem znów brzdąkała
cicho, rozlewnie.

Chwile dzieliły słoneczną tarczę od zniknięcia w

Oceanie. Każdy znający historię mógłby w takim momencie przypomnieć sobie pochodzącą z trzeciego wieku relację Hippolita z Chios, który wędrując z Aleppo do Damaszku, zaskoczony przez piaskową burzę, wessany został w piaskowy wir, aż świadomość utracił... A potem, gdy po, jak mu się zdawało, paru uderzeniach pulsuniósł głowę, zobaczył to samo, co dziś mogła widzieć młodzież przy ognisku: górę w kształcie siodła, kaskadę Mnemosyny, opadającą dwustułokciowym wodnym warkoczem w dolinę.

Grzebień lasu...

- Pomyliłem drogę - pomyślał Hippolit. - Dokąd trafilem?

Kwiaty pachniały oszalamiająco, a przecież były inne niż wszystkie, które znał dotąd. W swoim długim życiu przemierzył liczne szlaki od Nowej Kartaginy po Baktię i od egipskich Teb po krańce Bosphoranum.

Szpilkowe drzewa tylko na pierwszy rzut oka przypominały cyprysy, a wielkie stwory, zaiste demony zmierzchu kołujące nad skałami, o ogromnych zębatach dziobach, przywodziły na myśl raczej mityczne harpie niż największe znane orły. A potem na ścieżkę wszedł ogromny, na szczęście dobroduszny gad, o rozmiarach bazyliki w Efezie... Wreszcie

roziskrzyło się nocne niebo. I wtedy kupiec, z
żeglarstwem dobrze zaznajomiony, próżno szukając
Wielkiego i Małego Wozu, Lwa, Niedźwiadka, Psiej
Gwiazdy lub któregośkolwiek z charakterystycznych
stworów Zodiaku, pojął, iż stał się igraszką w ręku
nieznanej mu mocy. Wzgórza, na których się ocknął,
nie przynależały do Ziemi. Nie były też Niebem,
Tartarem ani Polami Elizejskimi. Były Inną.
Przy ognisku mówiono właśnie o podstawowej
zagadce ich egzystencji. Nikt z młodych nie wątpił w
prawdziwość legend o Wielkim Transferze, kwestią
sporną było natomiast, kto zaludnił planetę po drugiej
stronie Mlecznej Drogi, jak tego dokonał i po co?
Zdania wśród chłopców były na ten temat podzielone.
Szesnastoletni piegowaty grubasek w okularach
reprezentował niedowiarków, większość uważała, że
Panhomia jest to jeszcze jeden fantastyczny pomysł
Jedynego, pana Czasu i Przestrzeni roznoszącego życie
po całej Galaktyce.
- Sądzę, że nazywanie mocy, która dostarczyła tu
naszych przodków, nie ma najmniejszego sensu -
perorował piegus. - Od tysiąca lat owa Siła Sprawcza
nie daje znaku życia. Transfer ustał. Myślę, że Jedyne
nie miał z nim bezpośredniego związku. Już raczej

jakaś kosmiczna cywilizacja na znacznie wyższym stopniu rozwoju zdecydowała, żeby nas tu przenieść.

- Czemu zatem owa cywilizacja pozostaje w ukryciu?

Potrafisz to wytłumaczyć, Gurusie? - pyta pedagog. W

kosmatej kurtce z orelskiego wilka przypomina

bardziej myśliwego niż nauczyciela z prowincjonalnego

gimnazjum. - Nie ujawniła się podczas transferu, nie

udzieliła żadnych wskazówek naszym przodkom?

- A czy ogrodnik, który przesadza rośliny, tłumaczy się

ze swych motywów pomidorom? - nie ustępuje Gurus. -

Jeśli jest między nami przepaść cywilizacyjna, może

Przesadzający czeka po prostu na moment, gdy

dojrzejemy.

- Aby nas zerwać i pokrajać - wtrąca rosły dryblas

Sextus. - I wszyscy wybuchają śmiechem. Dziewczyna

uderza w struny. I po chwili nad łąką niesie się jej

śpiew czysty jak potok górski, a strofy Arystelona

sprzed tysiąca lat znakomicie przeistaczają się we

współczesną egzystencjalną balladę :

Nowe życie pod obcym słońcem

zaskakuje wciąż swoją innością

ale koniec tu też tylko końcem

miłość zaś jest tak samo miłością...

Nauczyciel nie przerywa. Sam nieraz zadawał sobie

pytanie - on, który całe życie poszukiwał prawdy - czy poszukiwana prawda absolutna to róg Amaltei, czy puszka Pandory? Czy ludzie o możliwościach bliskich bogom staną się lepsi, czy tylko bardziej niebezpieczni?

Ale cóż jest pewne? Sam uczył ich historii, która bardziej przypominała homerycki mit. Gdzieś tysiąc dwieście pięćdziesiąt lat temu na Innej poczęli zjawiać się ludzie. Uprowadzeni pojedynczo ze śródziemnomorskiego świata, Rzymianie, Grecy, barbarzyńcy... Wszyscy mieli wrażenie przebudzenia z bardzo krótkiego snu. Nie pamiętali Transferu, długo uważali swoją nową egzystencję za sen, a potem trafiali na innych ludzi, przystosowywali się do życia pod dwoma księżycami, w świecie równych dni i nocy, pełnym niezwykłych roślin i zwierząt. Podobnych, lecz odmiennych od ziemskich. Robili chleb z ziaren podobnych do zboża, pili wino z gron zbliżonych do winnych, namaszczali się tłuszczem z owoców przypominających oliwki. Ale jak twierdzili pamiętający Ziemię - nie mogły się one równać z prawdziwą pszenicą, winoroślą czy oliwą...

Ów niewytłumaczalny Transfer trwał dwieście pięćdziesiąt lat. Rok po roku implantowano na Inną stu mieszkańców z całego obszaru Imperium

**Romanum położonego gdzieś hen, o miliony lat
światlnych. Czy było przypadkiem, że kosmiczne
przesiedlanie zaczęło się, gdy Imperium stało u szczytu
potęgi, a ustało, gdy barbarzyńcy obrócili je w gruzy?**

**Kolejni przybysze mówili o postępującym upadku
miast i o sukcesach nauki Chrystusowej. Domorośli
filozofowie, a byli i tacy wśród przeniesionych,
twierdzili nawet, iż Bóg stworzył Inną jako Nową Arkę,
na której ludzkość miała przetrwać nowy potop...**

**Czemuż jednak ów Bóg przenosił nie tylko
sprawiedliwych, ale także złoczyńców, katolików i
heretyckich wyznawców Ariusza, czcicieli Mitry i Izydy,
Persów spod znaku Ahura Mazdy, a nawet Żydów, choć
tych przybyło tak mało, że z czasem się całkiem
rozplynęli.**

Pomieszanie panowało także w chronologii.

**Początkowo każdej z grup liczone czas od chwili
przybycia na Inną. Potem próbowano rachować od
początku świata jak Izraelici lub od założenia Rzymu.**

**W końcu pewien mnich, uczeń Dionizjusza Młodszeo,
który przybył tu w ostatnim roku Transferu, przekonał
Radę Gminy Florentyńskiej do chronologii od narodzin
Jezusa Chrystusa. "Bo tylko odliczając czas, który
minął od pierwszego przyjścia Pana, doczekać możemy**

drugiego". Tylko czy Chrystus zamierzał włączyć do

swego królestwa także Inną?

Nasi bogowie w domach ostali

Janus, Jupiter i setka Lar

I tylko pamięć jeszcze się pali

choć coraz mniejszy czujesz jej żar...

Dziewczyna urwała. Naraz długi nieruchomy cień

przykrył całą gromadkę. Nauczyciel odruchowo zmacał

rękojeść sztyletu wsuniętego między kamienie.

Właściciel cienia, mężczyzna w szarej podróżnej

paenuli z kapturem, szedł ku nim jak widmo na tle

zachodzącego słońca.

- Ave, Leontiasie! - powiedział unosząc prawicę.

- Dawno nikt mnie tak nie nazywał - mruknął pedagog.

-Prawie wszyscy, którzy znali to imię, nie żyją...

Zaraz... dottorek?- Tu poderwał się na równe nogi i

uścisnął gościa. Dottor Darni nie należał do

olbrzymów. Nie dziw, że zniknął prawie w ramionach

Leontiasa. Młodzież przyglądała mu się ciekawie.

Szczupłą twarz szcurka wydłużała mała szpiczasta

bródka.

- Trudno było mi ciebie znaleźć, Leo - rzekł przybysz. -

Wiedziałem, że musisz być w kontakcie ze starą

Sabiną, a ta udzieliła mi wskazówek.

- **Zadaleś sobie sporo trudu - w głosie nauczyciela**

zabrział niepokój. - Masz jakieś kłopoty?

- **Powiedzmy, że mój przyjaciel ma problemy i jesteś nam diablo potrzebny.**

Młodzież zaczęła się rozchodzić, dryblas usiłował otoczyć ramieniem balladzystkę, ale ta strząsnęła jego rękę jak zeschnięty pęd winnorostu.

- **A więc odmawiasz. Nie chcesz nawet poznać sprawy - w głosie Darniego brzmiała gorycz. Uniósł kielich pod światło i popatrzył przez czerwone wino na pochyloną nad stołem sylwetkę Leontiasa. Dzięki takiemu filtrowi nauczyciel wyglądał jak skąpany we krwi wojownik.**

- **Porzuciłem stare zabawki, przyjacielu. Wiesz, o ile łatwiej jest obciąć człowiekowi głowę niż nauczyć go myśleć?**

- **Rozumiem, obrazileś się na świat, bo ten ośmielił się cię rozczarować. Szkoda. Byleś najlepszy w szkole, podczas służby, wreszcie w Herrii. Pamiętam, jak rozpracowałeś siatkę Lonterra. A nasz zwiad w góry Dwóch Księżyców?...**

- **Szkoda, że nie zostałeś z nami później. Po Enteloi...**

- **Ewakuowano mnie. Byłem w szpitalu.**

- **Za to my brnęliśmy od klęski do klęski. Kompromisy**

wielkiej polityki! Niekompetencja Navigatoriatu.

Korupcja. Zdrada! Media wbijające nóż w plecy

weteranom! Trzeba było się cofać, ustępować,

paktować z diabłem. I wreszcie rzucić tych

nieszczęsnych Herriów na pastwę Ekumeny. Jak

wcześniej Lidów, Wenedów... A wszystko pod hasłami

izolacjonizmu i pokojowej koegzystencji. Tylu naszych

zginęło na marne, a w Herrii mają Czarne Inferno... A

ty chciałbyś, żebym pracował dla jakiegoś Navigatora?!

- Ależ Leo, czasy się zmieniły. Doszła do władzy nowa

generacja polityków. Quintus, chociaż pacyfista, to

równy gość.

- Życzę mu wszystkiego najlepszego. Ale niech każdy

robi swoje! Widziałeś moich chłopców. Najlepszy

gimnazjon by się ich nie powstydzil...

- Czy ty nie rozumiesz, Leo? Jacyś cholerni skurwysyni

montują spisek przeciw legalnie wybranemu elektowi.

Kroi się wielka zadyma, która może zburzyć pokój

nawet w twoim zakątku. Nie wiemy, kto za tym stoi:

Herdatus, wywiad Ekumeny, Wandalijczycy? Jeśli na

progu navigatury nie odkryjemy zagrożenia, co będzie

dalej. A rozpracować je może tylko ktoś taki jak ty.

Nieznany przeciwnikowi.

Leontias nie odpowiedział. Nalał następną porcję wina,

po czym uniósł kielich:

- Za naszą młodość!

- Nie rozumiem cię - westchnął Darni. - Akcja może być

arcyciekawa, dobrze płatna. Można naturalnie nie

kochać Cedrusa, ale na miły Bóg, pomyśl o Federacji.

Nasz wywiad donosi o rosnącej desperacji Ekumeny.

Przegrywają z nami wyścig technologiczny, kto wie, na

co mogą się poważyć?

- Mogę wypić zdrowia twojego Cedrusa - przerwał

nauczyciel. - To wszystko.

- Świetnie się tu urządziłeś. - Lekarz powiódł

przekrwionymi oczami po drewnianej chacie w stylu

staroorelskim. Alkohol plątał mu już trochę język i

rozpalał emocje. - Masz uczniów, posadę. Swoją drogą,

dziwne, że cię jeszcze z niej nie wyrzucili... W edukacji

obowiązuje utylitaryzm, a ty zmuszasz ich do myślenia.

- Daję sobie radę - uśmiechnął się pedagog.

- A ta dziewczyna? - Darni wskazał głową sypialnię. -

Ładniutka. Prowadzi ci dom?

- Dia nie jest służącą!

- A zatem - zarechotał lekarz. - Do czego ci służy,

figlarzu... ? - urwał, ponieważ dostrzegł złowieszczy

błysk w spojrzeniu Leontiasa. Który jednak zgasł

równie szybko, jak się pojawił.

- A zatem macie zagadkę kryminalną? - powiedział wolno. - To nie dla mnie. Jedyna prawdziwa zagadka brzmi: dokąd idziemy, skąd przybywamy?...

Znów pili w milczeniu. Gdy pierwociny blasku rozjaśniły mrok za oknem, Darni osunął się na stół i wówczas Leontias zapytał go:

- Pamiętasz Enteloi?

Jakże mógł nie pamiętać... Naraz znalazł się na powrót w parnym powietrzu przesyconym zapachem potu i ognia. Noc rozbłyskała świetlnymi smugami pocisków zapalających. Płonęła tubylcza szkoła, hospicjum, taberny. Ogień z kanonów przybliżał się coraz bardziej do ich polany. Darni zdrowo oberwał. Zaciskając pasek bezskutecznie usiłował zatamować krew tryskającą z rozerwanej tętnicy. Dwóch salvatorianów śpieszących mu na pomoc padło, koledzy ostrzeliwujący się z wiroplatu nie zamierzali ryzykować...

"Zdechnę tu, zdechnę albo dostanę się w ręce tych diabłów" - przemknęło Darniemu. I naraz z burzy ogniowej wypadł Leontias, który porzucił raketnicę, a zamiast niej taszczył na ręku małą tubylczą dziewczynkę. Ujrzał Darniego, nadludzkim wysiłkiem zarzucił go sobie na drugie ramię i dopadł startującej wężki... Dottor stracił przytomność. Teraz go olśniło.

- To ona? Dia... ? Dla niej się wycofałeś!? - wybelkotal.

Leontias nie odpowiedział. Odprowadził dottora do zavezwanego fonicznie pędnika i oddał pod opiekę oczekującego aurigi.

- Bądź zdrów, zechce Jedyny, może kiedyś się spotkamy - rzucił na pożegnanie.

Potem wrócił do chaty, umył naczynia, uprzątnął resztki jedzenia. Miał iść spać, gdy rozległo się ciche skrobanie w okiennicę. Uchylił zapadkę. Błysnęły zapotniałe okulary Gurusu.

- Co tu jeszcze robisz?

- Sprawdzalem, czy nikt nie śledził dottora. Tak jak pan uczył.

- No i?

- Nikt za nim nie jechał, w miasteczku również nie widziano nikogo obcego.

- W porządku. Idź spać.

- Będę potrzebny jutro?

- Nie sędzę.

Okularki i piegowata twarz zniknęły. Nauczyciel zgasił światła i zajrzał do alkowy. Dia spała. Koc zsunął się z jej nagiego ciała, godnego służyć za model najpierwszym rzeźbiarzom ze Złotego Wieku. Usta miała pełne, trochę kapryśne, włosy gęste, prawdziwą

burzą kłębiące się wokół głowy, a piersi drobne,
boskie... Leontias nakrył ją kocem i wyszedł. Nie
zauważył, jak otwierają się i patrzą za nim migdałowe,
tajemnicze oczy Herrianki.

IV GORAĄCE SPOTKANIE

Fala piekielnych upałów ogarniała Equatorię zwykle z
początkiem różyna. W połowie żeńca skwar
przemieniał tę część Archipelagu w przedsionek piekła.
Pustoszały plaże i deptaki. Autochtoni kryli się w głębi
betonowych cavern, turyści szukali wytchnienia w
stronach bardziej umiarkowanych. Przez całe wieki
uważano, że życie w tej części Innej jest zgoła
niemożliwe. W bezchmurne południe temperatura
potrafiła sięgnąć 950 stopni skali Bardosa. Niekiedy na
pustyni przekraczała poziom nawet wrzenia wody.
Noce były łagodniejsze, zaledwie 400 stopni. Ale i tak
nad wodą unosiły się nieustanne opary i lepko było jak
w sudarium.

Inna w odróżnieniu od Starej Ziemi posiada
wyprostowaną oś obrotu. Teoretycznie powinno to
pozbawiać ją pór roku. W istocie ów mankament
rekompensuje z naddatkiem elipsoidalny kształt orbity
wokół Większego Słońca. Sprawia on, że perihelium
dostarcza lata, natomiast w czasie apohelium znaczną

część planety nawiedza zima. Mroźne fronty

przesuwają się ku zwrotnikom - a wraz z nimi familie

patrycjuszy migrują w cieplejsze rejony. Za to w strefie

biegunów okrągły rok panują straszliwe mrozy,

osiągając niekiedy minus 800 stopni - brak tam w

ogóle dobroczynnej pory cieplej...

W ogóle życie na Innej jest trudniejsze niż w

pocziwym Układzie Słonecznym.

Wyobraźmy sobie ostre sezonowe wiatry, dmące

wzdłuż południków i sprzeczne wpływy dwu

Księżyców, z których jeden - Ormuzd - porusza się nad

półkulą północną, a Aryman nad południową, w

dodatku z różnymi prędkościami i w przeciwnych

kierunkach. Powoduje to okresowe spiętrzenia wód w

pasie równikowym oraz pływy sięgające 50 stóp,

zmiatające przed sobą wszystko.

Najlepsze warunki do życia znajdują się w połowie

drogi między równikiem a biegunami - tam niuanse

pogodowe bywają najmniejsze, tam też rozpościerają

się główne metropolie Wandalii, Ekumeny i

Archipelagu. Za to rejon równika w przeważającej

części wypełnia Ocean Wewnętrzny, przez żeglarzy

nazywany w swej części centralnej Morzem Wrzątku.

Equatorię na stałe zasiedlono stosunkowo późno,

dopiero pod koniec XIV wieku powstały tam sezonowe kąpieliska i zimowe rezydencje. Na dobre jednak w krąg cywilizacji włączyły ją industrializacja i wynalazek klimatermi.

Dottor Darni zacumował wynajętego szybkopława na końcu krytego mola Bianciny Equatorskiej. Automat wczepił cumę w magnetyczną paszczę elektropacholka.

Hermetyczny rękaw połączył kabinę z korytarzem.

Otworzyły się drzwi. Jednak zamiast chłodnego powietrza do wnętrza wtargnęła fala porażającego gorąca. Tylko tego brakuje, awaria! Nic dziwnego, że port w Biancinie wyglądał na wyludniony. Siedemset stopni wymiotło ludzi skuteczniej niż epidemia. W cieniu poszukały schronienia zwierzęta. Nawet ryby pochowały się w głębsze rejony akwenu. A do południa pozostały jeszcze dwie godziny. Dottor poczuł, jak z wszystkich porów tryska pot, mimo to przemierzył całe molo docierając do Officjum, gdzie miał oddać szybkopława.

- Jest tu kto? - zawołał od progu.

Odpowiedziała mu cisza. Na kontuarze w tablinum właściciela, od którego wynajął "Trytona", zobaczył kartkę: "Awaria klimatermi. Jesteśmy w zimnej cavernie. Kontakt foniczny". Sięgnął po fonikon, ale i

on nie działał. Dottor odczuł niepokój. Nie podobał mu się ten martwy port, puste tablinum i brak łączności. Mała zielona strzałka wskazywała drogę do zimnicy, jak popularnie nazywano schron przeciwupalowy istniejący w każdym equatoriańskim domu. Jednak nie kwapił się ruszać schodami w mrok. Wyciągnął i odbezpieczył sześciostrzałowego króciaka. Potem na kartce skreślił kilka słów do armatora: "Wypluwam jeszcze na parę godzin. O miejscu zakotwiczenia »Trytona« zawiadomię. Należność prześlę systemem menscompteryjnym". Podpisał się nazwiskiem z fałszywych dokumentów nr 3, a potem ostrożnie ruszył z powrotem. Odrzucił pokusę udania się do pogrążonego w upale miasta, zwłaszcza przy perspektywie pokonywania 245 schodków.

- Czy mogli mnie namierzyć? - zastanawiał się rozglądając dookoła. - Kto i w jaki sposób? O wyprawie wiedzieli jedynie Druzzus, Ursin i metresa Julia. A może sam Sclavus był cały czas pod obserwacją...?

Sclavus - Słowianin, cognomen, czyli przydomek Leontiasa, wiązał się z jego barbarzyńskim pochodzeniem. Mała grupka Słowian, która u schyłku epoki Transferu pojawiła się na północno-zachodnich skrawkach Ekumeny, dość długo zachowywała swą

odrębność jako Sojusz Wenedyjski, aż wreszcie wojny
w XIV wieku spowodowały wchłonięcie dzielnego ludu
przez grecką despotię. Wielu, w tym dziadkowie
Sclavusa wyemigrowało, reszta wegetowała pod
ekumeńskim butem, pasując, wedle określeń samego
tyrana, do greckiego imperium jak siodło do dojnej
mlecznicy i podrywając się w niezliczonych
insurekcjach, bez wyjątku topionych w morzu krwi.

Ani na molo, ani w rękawie wiodącym do szybkopława
nikt nie zaatakował Darniego. Ostatni etap pokonał
dosłownie paroma susami, z ulgą włączył klimatermię,

odczepił "Trytona" i bezzwłocznie wypłynął z przystani na wody Białej Zatoki. Pośpiech
sprawił, że na torze

wodnym wypełnianym kłębami lepkiej pary omal nie

zderzył się z płaską krytą łodzią dwupływakową, aż

pilotujący ją puciołowaty nastolatek w ciemnych

okularach pokazał mu przez szybę płaskiej kabiny

obraźliwy gest. Wyszedszy na odkryte morze Darni

wyświetlił na szybie mapę Equatorii. Wybór drogi

zaabsorbował go do tego stopnia, że obecność intruza

odkrył dopiero, gdy uczył na szyi chłodne dotknięcie

noża.

- Żadnych gwałtownych ruchów - powiedział gość za
plecami.

- Mamy do ciebie kilka pytań, dottorku - dorzucił inny, równie niewidoczny, z głębi kabiny. - Nie odwracaj się!

Muskularna łapa wprawnie wysuwała króciaka zatkniętego przez Darniego za cingulum.

- Ładna zabaweczka, służbowa czy prywatna? - gwizdnął nożownik.

- Musisz odpowiedzieć nam na parę pytań - rzucił drugi z napastników, sądząc z władczego tonu ważniejszy.

- Ależ panowie, musiała zajść jakaś pomyłka - zaczął płaczliwie Darni. - Jestem naukowcem, badaczem małży...

- Dottorze Darni, nie udawaj idioty - przerwał starszy siccaro. - Wykręty tylko pogarszają twoją sytuację.

Dottor, pragnąc zyskać na czasie, wyraził zapewnienie o gotowości jak najdalej posuniętej współpracy, błagając jednocześnie o dobre traktowanie. Delikatnie przeniósł ciężar na prawą nogę... jednak natychmiast uczył mocniejsze uklucie sztyletu.

- Żadnych numerów! Powiedziałem!

- Skoro mamy rozmawiać, czy mógłbym usiąść?

Zgodzili się, podsunęli mu sellę, ale nadal nie pozwolili mu się odwrócić. Miał teraz jednak na wysokości oczu małe lusterko w postaci wypolerowanej burty czółna awaryjnego. Mógł obejrzeć prześladowców. Nożownik

stał wprawdzie zbyt blisko, więc nie widział jego
twarży, za to jego szef, który przysiadł na szafce
nawigacyjnej, prezentował się w całej okazałości.

Chudy, smagły, o twarzy pokrytej gęstym,
zmierzwionym zarostem - Wandalijczyk, ani chybi, a
może Pers!

- Powiedzmy, że udzielię interesujących was informacji,
musiałbym mieć jednak gwarancje... - zaczął Darni.

- Jeśli chcesz żyć, nie stawiaj warunków! - Perso-
Wandal splunął na podłogę.

- Nie będę gadał z nożem gotowym rozerwać mi krtań
przy lekkim bujnięciu szybkoława - upierał się dottor.

-Czym ryzykujecie, przecież zabraliście mi broń.

- Zrób, jak powiedział - warknął starszy siccaro i
niechętny chłód na szyi znikł. - Po kogo cię wysłano?

- Miałem przeprowadzić poufne rozmowy w sprawie
przyszłych nominacji w prowincjach - zaczął.

- Czyżby? Z kim w takim razie rozmawiałeś na Orelii?

Nie byłeś w fakcjoni ani termach kurulnych?

- Nie jestem upoważniony do zdradzania szczegółów...

- My cię upoważniamy! Mów! Jaki to ma związek z
samobójstwem terrorysty Narensa?

Niedobrze, wiedzą wszystko - zmartwił się dottor.

Tymczasem jego stopa delikatnie manewrująca pod

stolikiem natrafiła na kabel głównego zasilania i owinęła go wokół kostki. Według instrukcji gwałtowne wyrwanie przewodu musiałoby spowodować automatyczne wyłączenie "całej wstecz" z awaryjnego zasilania.

- Chyba rozumiesz pytanie. Z kim Druzzus kazał ci się skontaktować w Orelii?

A więc nie wiedzieli o Leontiasie, dobrze - ucieszył się dottor, a potem targnął kablem.

"Tryton" niczym ściągnięty wędzidłem koń stanął dęba. Darni, przewidując to zawczasu, zaparł się o tablicę licznikową. Napastnicy tej możliwości nie mieli.

Nożownik przefrunął ponad stołem zatrzymując się dopiero na pancernej szybie. Nieprzyjemnie chrupnął łamany nos. Wandalo-Pers niczym worek cebuli poturlał się po podłodze i uwiązał głową w szafce z gaśnicami. Nie wypuścił wprawdzie broni, ale dottor nadepnął dłoń siccara i odebrał mu króciaka.

- Sytuacja się zmieniła - zawołał cofając się ku drzwiom kabiny tak, aby mieć na widoku obu napastników. -

Teraz wy zaspokoicie moją ciekawość. Kto was wynajął?

Najemnik tylko zaklął gardłowo.

- Jesteście zawodowcami, to widać - ciągnął Darni. -

Pomysł, aby zaczekać na mnie na "Trytonie", był dość sprytny... - urwał. Zaniepokoił go dziwny

błysk w

oczach bandziora. Instyktownie uskoczył w bok. Cios elektryczną pałką mierzony w głowę trafił go w kark, ale i tak pozbawił przytomności.

- Patałachy - nowo przybyły, rosły blondyn o

wywiniętych wargach zwyrodniałego Kupidyna nie tail pogardy. - Ile razy mam was wyciągać z opalów?

Rozczarowujesz mnie, Flaccusie!

Śniady nie skomentował, nożownik natomiast

lamentował nad swoim zmasakrowanym nosem i złamaną ręką.

- Mam ocucić to ścierwo, Lucjuszu?- zapytał brunet wskazując dottora.

- Za dużo zachodu, to twardziel, i musielibyśmy nieźle się namęczyć. Poza tym wracał sam, co oznacza, że jego misja się nie powiodła. Załadujemy go do czółna i wypchniemy w morze bez wioseł. Nie ma szans przeżycia tego upału dłużej niż parę godzin.

Nieprzyjemna śmierć na patelni. Nieprzyjemna...

Tak uczynili. Ciągłe nieprzytomny Darni został umieszczony w odkrytej łodzi. Miał przed sobą parę godzin konania. Najemnicy przezornie wybrali teren płytkiej zatoki przylegającej do pustyni Equatorii, nie odwiedzanej o tej porze roku ani przez turystów, ani

przez rybaków. Wezwany wiropląt zabrał na pokład dwójkę siccarów, co do trzeciego zgodnie uznali, że ranny najemnik to balast, i spełni o wiele pożyteczniejszą rolę jako karma dla krabów trupojadów. Za to, zgodnie z zawodową etyką, jego część honorarium została natychmiast przesłana wdowie. Natomiast "Trytona" po zablokowaniu steru i ustawieniu silnika na "całą naprzód" skierowano wprost na łańcuch raf. Jeśli nawet ciało dottora zostanie odnalezione, dla wszystkich będzie jasne, że po katastrofie szybkoława usiłował się ewakuować czółnem, lecz wkrótce zmarł z żaru, pragnienia i wyczerpania.

*

Zetknięcie ze słonecznym żarem przypominało chluśnięcie wrzątku na twarz. Darni natychmiast odzyskał przytomność, nie poruszył się jednak, zanim nie ścichły silniki "Trytona". Wtedy dopiero otworzył oczy, widział świat niewyraźnie, lecz błyskawicznie pojął grozę sytuacji - na łódeczce nie miał ani skrawka cienia. Bez wiosel nie mógł się poruszać, a odległe o dobre 5 mill wybrzeże przerażało żółtymi diunami pustyni. Mógł oczywiście wskoczyć do wody o temperaturze zupy, co też niezwłocznie uczynił,

okręcając wokół głowy wilgotne pantalony. Ale co

przez to zyskiwał - dłuższe konanie?

Nie należał jednak do ludzi poddających się łatwo. Był

niezłym pływakiem i oszczędzając siły miał szansę

dotrzeć do lądu, a gdyby dotarł na brzeg nocą, mógłby

wspiąć się na wydmę i szukać świateł. Atoli już po

godzinie poczył tracić nadzieję, drobiny soli parzyły

oczy, przeżerały wysuszone usta. Jakby tego było mało,

naraz na wprost siebie ujrzał ciemny, szybko

poruszający się kształt.

- Ichtiozaur!- Zachłysnął się solanką, lecz nie poszedł

pod wodę... Wskutek ogromnego zasolenia wód

płytkiej zatoki utonięcie nie było wcale łatwą sprawą -

ale przy odrobinie wysiłku... Całkowicie opuściła go

wola życia. "Wybacz, Jedyny, moje grzechy" - pomyślał.

Otworzył usta. Czuł, jak słona woda wdziera się do jego

krtani, do płuc, paląc żywym ogniem. Ogarniała go

ciemność. I ogień. Skąd ogień? Znów był pod Enteloi. I

znów mocarne ramię unosiło go w górę na

powierzchnię.

- Dottorku, dottorku - zabrzmiał męski baryton. -

Wypluj tę wodę, bo inaczej Dia będzie ci musiała robić

sztuczne oddychanie.

Darni kaszlnął. Otworzył oczy. Znajdował się w

ciasnym, chłodnym wnętrzu. Leontias wyciskał z niego

ohydną słoną ciecz. Dia polewała słodką wodą z

zielonego węża i wilgotnym ręcznikiem usuwała sól.

Gurus, piegowate stworzenie w drucianych

okularkach, siedział przy sterze łodzi... Tylko czy była

to łódź? Nabierająca prędkości maszyna uniosła się

nad wodę. Jej pływaki okazały się skrzydłami

hydraviona. Omnivant! - to był legendarny omnivant.

Pojazd, który przecież nie istniał. Jego konstrukcji

zaniechano przed kilku laty, gdy zdominowana przez

pacyfistów Kuria zaczęła ostro oszczędzać na

zbrojeniach. A więc był we wnętrzu wehikułu

istniejącego tylko w imaginacjach projektantów.

Pojazdu poruszającego się po lądzie, wodzie, pod

wodą, a nawet w powietrzu. (Jak dowiedział się

później, wysoko wydajne baterie solarne pozwalały

przebywać mu bez zatrzymywania 1000 mil w nocy i

trzy razy tyle w dzień.)

Mimo nalegań dottora Leontias nigdy nie wyzna, jak

wszedł w posiadanie omnivanta i w jakim celu

nadzwyczajny pojazd miał służyć prostemu

nauczycielowi historii i literatury, który na zawsze

pożegnał się z działalnością w extraordynariacie.

Zdany na domysły Darni zastanawiał się nad

ewentualnym związkiem z głośnym terrorystycznym napadem na bazę "Cerera VII" na Superiorze przed trzema laty. Media spekulowały wówczas na temat skradzionego tam jakiegoś bojowego prototypu.

Gubiono się w domysłach, czy była to sprawka Wandalijczyków czy kryptonów Ekumeny... Później pojawił się oficjalny komunikat, że prototyp nigdy nie opuścił Archipelagu, szczątki podwodnego okrętu napastników oraz kilka nieidentyfikowalnych ciał znaleziono na plażach Orelia, zaś bezcenny ładunek spoczął na zawsze w głębinach. Któż jednak dokonał sabotażu? Extraordynariat lub FOI nie omieszkałyby się pochwalić...

Kiedy wreszcie Darni doszedł do siebie, zapytał Leontiasa, czemu najpierw mu odmówił współpracy, a potem brawurowo uratował mu życie?

- Ostrożność - odparł lakonicznie Sclavus, zwolniwszy Gursora z roli sternika i przyśpieszając lot.

- Chciałeś mnie sprawdzić?

- Nie ciebie. Tych, co mogli iść za tobą.

- I musiałeś wystawiać mnie na takie ryzyko?

- Musiałem, dzięki temu przeciwnik myśli, że zginąłeś, nikogo nie zwerbowałeś i w ogóle może być bardzo zadowolony z siebie.

- Wiesz, kto dał zlecenie tym siccarom?

- Jeszcze nie, ale bądź pewien, dowiem się...

Darni miał na końcu języka pytanie, jak Leontias godził

swoją niezwykłą ostrożność z zabieraniem na

niebezpieczną wyprawę dwójki małolatów, ale

Słowianin uprzedził kwestię.

- Musiałem ich wziąć ze sobą. To sieroty, nie miałbym

ich komu powierzyć. Zresztą po przybyciu do

Florentyny ograniczymy ryzyko do absolutnego

minimum.

V LEONTIAS SŁOWIANIN

W czasie kiedy lecący nisko nad powierzchnią Morza

Wrzątku omnivant unosił Darniego, Leontiasa i

dwójkę nastolatków - Dię i Gurusa - w stronę

nieuchronnego zderzenia z rzeczywistością, najemnicy

Lucjusz i Flaccus, zadowoleni z wykonanego zlecenia

wypoczywali w Rosadii położonej na północnym cyplu

Equatorii. Zwiedzali miejscowe lupanary, których

reklama głosiła, iż posiadają najlepszą klimatermię na

świecie, a zarazem najgorętsze dziwki na Innej.

Pozorna sprzeczność nie przeszkadzała klientom, a już

szczególnie Lucjuszowi i Flaccusowi, zwłaszcza że za

akrobatyczne wysiłki Equatorianek płacił portfel -

sierota po Darnim.

Leontias błyskawicznie rozgryzł tożsamość siccarów.

Na podstawie rysopisów sporządzonych przez doktora

Darniego, wchodząc za pomocą menscomptera do

zasobów FOI ustalił, że trzech lotrzy (istotnie rodem z

Wandalii) byli fachowcami od mokrej roboty,

zatrudnianymi swego czasu również przez służby

specjalne Archipelagu. Jednak od paru lat prowadzili

samodzielną działalność gospodarczą, specjalizując się

w porwaniach i morderstwach na zlecenie. Ale nikt

jakoś nie rozesłał za nimi listów gończych. Dawało to

do myślenia...

Tymczasem w stolicy Archipelagu pełną parą szły

przygotowania do inauguracji nowego

SuperNawigatora. Te dwa tygodnie są zawsze dla

elekta okresem szczególnie intensywnej pracy. W

krótkim czasie musi przejąć od swojego poprzednika

wiedzę o całości spraw Federacji. Powinien dokonać

objazdu wszystkich stowarzyszonych wysp,

porozmawiać z tysiącami kandydatów Fakcji

"Błękitnych" na czołowe stanowiska w państwie.

Wszak tylko jemu przysługiwało ostateczne

zatwierdzenie urzędników, spośród rzesz desygantów

samorządowych, wyłonionych poprzez diecezjalne

elekcje. W przygotowaniu ruchów kadrowych

szczególnie pomocny był Ruffix, natomiast na Ursina spadła całość prac związanych z Zaprzysiężeniem, czyli z Ceremonią Sermentacyjną.

Śledztwo w sprawie incydentu w hostelu Asilium oficjalnie zostało zamknięte. Ostateczna wersja przeznaczona dla mediów mówiła o nieszczęśliwym wypadnięciu przez okno jednego z gości hostelowych.

W poufnym raporcie, który dostał Cedrus, nie znalazło się wiele więcej; mówił on o jednym ze szczególnie hałaśliwych manifestantów, zatrzymanym w hostelu celem otrzeźwienia (był pod wpływem olbrzymiej dawki stymulantów), który próbując ucieczki w narkotycznym delirium pomylił okno z drzwiami.

Tylko Ursin wiedział, że rozwiązaniem zagadki miał się zająć przywieziony przez dottora Darni tajemniczy człowiek z Orelii, człowiek, który w opowieściach Druzzusa urastał niemal na mitycznego herosa.

Bywało, że wypuściwszy się z Ursinem na przejażdżkę na hipopozaurach (np. kiedy Cedrus odwiedzał gospodarstwa hodowlane dziękując agricolom za subsydia na kampanię elekcyjną) szef ochrony Cedrusa rozgadywał się i Ursin miał wrażenie, że były atleta miął się z powołaniem literackim. Zdaniem Druzzusa Leontias Słowianin należał do rzadkiego gatunku ludzi

przygody, których najłatwiej spotkać na kartach

powieści. Chociaż nic nie zapowiadało jego

awanturycznej kariery.

Wywodził się ze średniozamożnej ultimijskiej rodziny

słowiańskich emigrantów i wiele wskazywało, że

skończy jako kolejny w rodzinie księgowy czy

mierniczy. Wiecznie zaczytany w książkach, stroniący

od zajęć fizycznych, przezywany był przez kolegów

"elefantozaurem". Jedynie jego masa sprawiała, że

słowne zaczepki nie kończyły się cielesnym

prześladowaniem. Kiedy Leo miał 14 lat, zdarzył się

fakt, który odmienił wszystko.

- Pech chciał, że banda Pertesa - opowiada Ursinowi

Druzzus - po złupieniu Banku Thule obwarowała się w

domu Sclavusów biorąc całą rodzinę za zakładników.

Przypadek. Fatum. Ananke! Mnożąc żądania zabili

najpierw dwie siostry Leo, potem matkę. W czasie

spartaczonych szturmów sił pretoriańskich zginął

również stary Sclavus.

- A sam Leontias?

- Właściwie nie wiadomo, dlaczego Pertes zachował go

na deser. Igrał z nim, a z początku nawet dał mu broń i

śmiało się. "Słoniku, zabij mnie, a uratujesz

wszystkich". Ale Leontias, mól księzkowy, łagodny

idealista nie miał pojęcia, co to walka i zabijanie. No i zobaczył. I coś w nim pękło... Pertes, opowiadano, przekonany był, że ujdzie cało, jego banda miała związki z młodzieżową subkulturą helleników, ponoć tajnie wspieraną przez legaturę ekumeńską. Miała wedle prognoz od wewnątrz rozłożyć Federację. Wiesz doskonale, że w latach osiemdziesiątych, zanim nadszedł Navigatoriat Runnosa i zawieszono 19 paragraf Statutu Federacji, służby Greckiego Mocarstwa penetrowały zupełnie swobodnie nasz Archipelag, przenikając przez granice łatwiej niż woda przez rzeszoto... No i faktycznie, kiedy doszło do szturmu, ktoś uprzedził o szczegółach Pertesa, równocześnie podstawiono bandytom pędnik na tyłach insul. W efekcie piątka siccarów ulotniła się szybciej niż kamfora.

- Ale co z Leontiasem?

- Poznałem go wkrótce po tym zdarzeniu, mój wuj był trenerem w szkole walki. Wahał się, czy przyjąć safandulę. Ale później nie żałował. Mówił, mi że nie spotkał nikogo równie zawziętego w ćwiczeniach. Gdy Leo ukończył 17 lat, wstąpił do Gimnazjonu Sekurytów. Mimo że początkowo nie dawano mu szans, skończył jako prymus. Nie przyjął jednak ofiarowanego

stypendium w metropolii. Zniknął. W onym czasie

"List Gończy za Pertesem i jego kompanami",

ofiarujący za żywego lub umarłego herszta 100

aureusów i po dwudziestce za pozostałych, zdołał

zżółknąć na korytarzach cyrkułów. Słowianin powrócił

po roku. Dostarczył do cyrkułu obcięte uszy i kciuki

złoczyńców i wskazał marżnicę gdzie umieścił ich

ciała...

- Na Światłość Wiekuistą - jęknął Ursin.

Po tym incydencie dla części opinii Leo stał się wtedy

bohaterem. Ale rzecznicy humanitaryzmu i tolerancji,

jakich pełno w naszych mediach, okrzyknęli go

krwiożerczym potworem. Prywatnym mścicielem!

Osiągnęli skutek. Na całej Ultimie nie mógł znaleźć

pracy w zawodzie sekurity. Owszem, wielu przyjęłoby

go na prywatnego ochroniarza, ale jego to nie

interesowało. Studiował więc "pedagogiczne nonium"

dorabiając nocami noszeniem pak w mercatoriach.

Potem opuścił Ultimę i znalazł pracę w superiorskiej

vigilantii. Z hasłem "Zero tolerancji dla zbrodni" w ciągu trzech lat wyczyścił najbardziej
podejrzane

zakamarki Superiori i znów pozostał bez pracy.

- Jak to możliwe?

- W bezkompromisowym niszczeniu zła nie liczył się z

wplywowymi patrones ani z komesami facji, nie brał
łapówek. I tak została mu tylko armia. Tam się znów
spotkaliśmy. Z pierwszą falą ochotników popłynęliśmy
bronić Herrii, w której rewoltę podnieśli miejscowi
"hellenicy", a jak zwykle za wszystkim stała Ekumena.

Z naszego oddziału po dwóch sezonach w Czarnych
Górach zostaliśmy tylko ja, dottor Darni i on... Mężny
aż do szaleństwa nawet podczas odwrotu... Wiem, że
zdrada polityków podłamała go. Miał dość wojny,
zabijania, zwłaszcza że nie zmieniało to świata na
lepszego - a siły jasności na całej Innej ustępowały
potędze mroku. Wystąpił z Legii. Zatarł za sobą ślady.

Pod zmienionym nazwiskiem został nauczycielem, ja
jeden wiem, że osiedlił się w głębi Orelii...

- I sądzisz, że zechce zerwać ze stabilnym, bezpiecznym
życiem?

- Intuicja podpowiada mi, że tak. Ta sama intuicja,
która każe sprawę Narensa traktować znacznie
poważniej niż mogłoby się to wydawać...

*

Tymczasem od momentu uratowania doktora Darni z
objęć słonej śmierci nic nie szło według scenariusza,
który wymarzył sobie piegowaty Gurus. Nie było

szturmu omnivantem kwatery "Złych" (bo nie ustalono jeszcze, kto jest złym), nie doszło do

efektywnych

pościgów czy strzelaniny. W ciągu kilkudziesięciu godzin od opuszczenia Equatorii Leontias nikogo nie zabił, nie porwał, ba, nawet nie wdał się w żadne efektywne mordobicie. Zamaskowany liśćmi omnivant pozostawiono w jakiejś wiejskiej posiadłości pod opieką doktora Darniego, a Leo i jego młodzi współpracownicy wynajętym pędnikiem przybyli do Florentyny. Słowianin nie ukrywał się. Nie musiał. Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Jako pan Malachias, ojciec z dwójką dorastających dzieci, zameldował się w małym hosteliku i oddał zgoła mało interesującym sprawom, jak analizowanie kartotek przy pomocy menscomptera czy spotkania z różnymi nieciekawymi ludźmi w rodzaju pierdołowatego eks-sekuryty Gerona, o tak ziemistej cerze, że można by sadzić na niej ogórki, i głosie zniszczonym ginną i zwijami. Na dodatek Leo skierował Dię na jakieś lekcje tańca. No, to akurat dobre zadanie dla tej idiotki. Głupia gęś, traktowała Gurusa jak powietrze, za to wpatrywała się z cielecym zachwytem w Sclavusa, który jednak ignorował jej permanentną adorację.

- Czy ta puellka nie rozumie, że tylko Gurus jest jej szansą? - zżymał się chłopak. - Wprawdzie ze mnie nie

Adonis, ale mam 200 punktów inteligencji na 170

**możliwych, no i od Leontiasa jestem o ćwierć wieku
młodszy. - Jeszcze bardziej zdenerwowało go polecenie
zatrudnienia się w charakterze pucmistrza na
parkingu przy gościńcu "Pod Starym Etruskim".**

**Dopiero gdy zjawili się tam Lucjusz i Flaccus, krew w
Gurusie zagrała żywiej. Nie pojmował, skąd Leontias
wiedział, że tam się zjawia, nadto w jaki sposób udało
się ich wyprzedzić... Jako bardzo młody człowiek nie
miał pojęcia, że lupanary mogą zabrać człowiekowi
naprawdę wiele czasu.**

**Gurus miał nie spuszczać oczu z zajazdu i meldować,
kiedy tylko siccarzy będą go opuszczać, dostał
natomiast absolutny zakaz podglądania najemników w
pokojach. Przyjął to z żalem, uważał bowiem, widząc
częste wizyty krzykliwie ubranych niewiast, że
skracając dystans do inwigilowanych mógłby się
bardzo wiele nauczyć. Rychło Leontias zamontował
podsluch w ich fonikonie, więc jeśli któryś dzwonił, w
słuchawce w uchu Gurusy odzywał się brzęk. Jednak w
ciągu pierwszego dnia nie skontaktowali się z nikim,
kto mógłby być ich mocodawcą. Obaj zawodowcy
próżnowali i wydawali się dopiero oczekiwać nowych
propozycji.**

- I co sądzisz o tym wszystkim, chłopcze? - zapytał go

**późnym wieczorem Leo. - Jak wiem, wśród swych
licznych marzeń pragnąłeś zostać deduktorem?**

**- Należy ustalić, kto wynajął Flaccusa i Lucjusza -
odpowiada bez namysłu piegowaty grubasek.**

**- Zgoda, próbujemy to zrobić, ale to może potrwać, co
dalej?**

- Idźmy zatem tropem Narensa.

**- Całkiem słusznie, mój przyjaciel sekuryta Geron
udostępnił mi dossier tego młodego nieszczęśliwego
człowieka. Wiele tego nie ma. Syn czcigodnych
właścicieli nieruchomości, pół roku temu studiował
prawo na Akademii Florentyńskiej. Nadużywał
stymulantów, ale nie był uzależniony. Trzy miesiące
temu w autodansbudzie na Wzgórzu Cyklopów
nawiązał romans z niejaką Kaliopie, związaną z
"Agressores". Nie został formalnym członkiem ruchu.
Zginął, zanim przeszedł trynitacyjne wtajemniczenie.
To była ledwie jego druga demonstracja. Po pierwszej
spędził 48 hor w pudle... Zawieszony na Akademii. Nie
próbował się odwoływać... Czy coś cię w tym
curriculum vitae zastanawia?**

**- Co taki marny typek mógł wiedzieć aż tak ważnego, że
chciał się spotkać osobiście z elektem? I dlaczego**

zginął?

- Znów poprawne rozumowanie. Rzeczywiście, co mógł wiedzieć organizacyjny nowicjusz?

- Może coś podsłuchał przypadkiem. Może ci

"Agressores" planują zamach na Cedrusa?

- Nie mają na to dość sił. Poza tym w czyim interesie leżałoby zgładzenie Cedrusa? Ekumeny, Wandalii? -

Quintus jest człowiekiem środka. Opowiada się za pokojem, harmonijnym wzrostem gospodarczym.

Herdatausa popierały koła militarne, ale nawet

militaryści nie mają prawa obawiać się Quintusa.

Będzie elementem sprawnie działającego systemu, nie

władcą absolutnym. Poza tym wiemy, że morderca

działał w kręgu najbliższych współpracowników

kandydata - dokonał zbrodni, pozacierał ślady...

- Czyli może należy wykluczyć teorię zamachu. Może

Narens uzyskał informację o kimś z najbliższego

otoczenia elekta. Informację dla tego kogoś

niebezpieczną... Cenną dla potencjalnego szantażysty?

- Ciepło, ciepło, synu. Tylko dlaczego Narens

wspominał o spisku? Żeby zwrócić na siebie uwagę?

cdn.

+kwadratura 2+

POWIEŚĆ

kwadratura trójkąta (2)

VI KARTKI Z PODRĘCZNIKA HISTORII

Demokracja na Archipelagu nie miała łatwych początków, mimo że procesy historyczne przebiegały na Innej łagodniej niż na Ziemi. Planeta nie zaznała wędrówek ludów ani najazdów barbarzyńców. Transferowaną cywilizację antyku ominęły "mroki średniowiecza" i szaleństwa feudalnych wojen. Przybysze ze Starej Ziemi zderzyli się oczywiście z nieprzyjazną przyrodą, musieli toczyć walki z monstrualnymi gadami. Legendy z VI wieku obfitują w nieprawdopodobne opowieści, jak choćby ta o Brzaśku Smokobójcy, tajemniczym, na pół legendarnym wenedzkim wielkoludzie, który na tratwach przepłynął bez mała pół Innej walcząc z tigrozaurami i dziwnym karłowatym szczepem gadoptasim, pierwotnymi gospodarzami wandalijskiego wybrzeża. Jedynymi przed przybyciem człowieka ssakami Innej były niewielkie stekowce przypominające australijskie dziobaki... Znosiły one wprawdzie jaja, ale wyklute potomstwo karmiły mlekiem... Ileż trudu krzyżówek i selekcji zajęło wyhodowanie z nich dojnych mlecznic - zwanych przez lud świniokrowami. W efekcie

wielofunkcyjną mlecznicę można było wydoić, zjeść, a nawet usmażyć dzięki niej jajko sadzone.

Cywilizacja piechurów i żeglarzy wypełniała blisko dziesięć wczesnych wieków Innej. Pierwszych hipposaurów ośmielili się osiąść dopiero cyrkowcy. Brak dużych zwierząt pociągowych, przy niewielkiej liczbie rąk do pracy (garstki przybyszów tworzyły wspólnoty ludzi wolnych, bez niewolników i chłopów pańszczyźnianych), przyspieszył rozwój techniki. Przez pierwsze stulecia ludzie byli najmniej liczącym gatunkiem na Innej. Transfery, z małymi wyjątkami, dotyczyły pojedynczych istot. Oszołomieni metamorfozą świata przybysze tracili dni, miesiące, nieraz lata na odszukanie innych wygnańców z Ziemi i zrozumienie, co się im przytrafiło. Liryki Tetriarchosa z Samos są chyba najdramatyczniejszą rejestracją bezkresu samotności. Ów Grek porwany u schyłku III wieku z rodzinnej wyspy dopiero po siedmiu latach tułaczki trafił na ślady innych osadników, co jednak nie było tożsame z przyjęciem do wspólnoty.

Sam. Proch, pyłek. Najmniejsza z gwiazd.

Ziarenko bez pustyni. Kropla bez wody.

Ja? Gdzie moje lat siedemnaście?

Czy ich nie było?

O Bogowie! Wy też odeszliście!

**Matko, po co wydałaś mnie ze swego łona,
gdy tylko ja jeden mogę świadczyć, że byłaś?**

Lecz komu świadczyć? Obcemu niebu?

Zaiste Moja koine

pękla niczym żółwie jajo...

A każdy dzień ma serce gada.

Zimno w upale. Groza w pięknie.

Zaiste wybrałbym śmierć,

gdybym nie umarł już z rozpaczy.

Oddajcie mi świat, Bogowie. Kto ukradł mi mój świat?!

Mnóstwo było potem przeróbek epopei owego

kosmicznego Robinsona, który w dwudziestu pieśniach

opowiada o kolejnych stadiach przerażenia i nadziei,

rozpaczy i szaleństwa... Zwątpiwszy ostatecznie,

znajduje ślad ognia i skorupę glinianego dzbana. Szuka

dalej, przemierza ostępy. Lecz gdy wreszcie odnajduje

obozowisko Litencjusza z Ravenny, zostaje

potraktowany jak intruz. Odpędzony. W

siedemnastoosobowej grupce są ledwie dwie

pełnoletnie niewiasty. "Więcej mężów nam nie trza!" -

ryczy Litencjusz chłoszcząc amatora domowego

ogniska. Obolały poeta snuje się więc wokół

drewnianego castrum jak głodny padlinogad.

**Miesiącami. Czasem podchodzi bliżej i ponad
strumieniem śpiewa swe pieśni kobietom i
dziewczynom piorącym tam szaty. Aż pewnego dnia
dwunastoletnia Flora opuszcza wspólnotę, odchodzi z
siwiejącym poetą. Zakładają własną rodzinę, a potem
spotykają innych świeżych wyrzutków
czasoprzestrzeni...**

**Poemat kończy się pieśnią o założeniu Florentyny -
miasta kwiatów wyrosłego z miłości dwojga ludzi. O
dalszych losach greckiego wieszca nic nie wiadomo.
Podający się za jego prawnuka Bardejon, mistrz
epigramatu, tworzy nowolacinę.**

**Wedle obliczeń współczesnych demografów w ciągu
ponad dwustu lat Transferu na Inną dotarło około
dwudziestu tysięcy ludzi z basenu Morza
Śródziemnego: Rzymian i Greków, Egipcjan,
Numidyjczyków, Hunów, Iberów, Luzytanów,
Germanów i Parthów, Persów i Słowian. Zadziwiające,
jak wielu z nich przetrzymało szok przeniesienia i
zderzenia z nową, odmienną rzeczywistością. Zapewne
"niewidzialni przewoźnicy" musieli wybierać do swych celów jednostki o wyjątkowych
predyspozycjach
zdrowotnych i psychicznych. Przybysze, wedle
wnikliwych badań, charakteryzowali się nie tylko**

odwagą i siłą, ale każda ich fala sprawiała wrażenie celowo kompletowanej pod kątem przydatności dla rozwoju kolonii. Równomiernie przerzucano rolników i myśliwych, żeglarzy i rzemieślników, lecz - rzecz szczególna - w transferze brakowało kapłanów i zawodowych żołnierzy. Chociaż znalazłoby się dla nich zajęcie. Każda z zachowanych kronik zaczyna się od heroicznych opisów walk z potworami, mięsożernymi roślinami, dokuczliwymi insektami i tropikalnym żarem.

Wcześni prawodawcy głosili, że wygnanie jest karą Bogów i że przeminie. Mijały jednak lata i nie widać było kresu tej banicji ni szans powrotu na Ziemię.

Musiały zrodzić się kolejne generacje, nim ostatecznie pogodzone się z losem, rozpoznano i zaczęto doceniać zalety Innej.

Przybysze z czwartego i następnych wieków przeżywają znacznie mniejszy szok niż ich poprzednicy. Wręcz przeciwnie. Raj oczekujący na człowieka - zachwyca się w VI wieku Inną Maksym z Albionu, którego Transfer wyrwał wprost z niewolniczych okowów wiosłarza galery. Jest Dostatnio, przyjaźnie, ciepło - pisze w swej kronice - wszystko większe: drzewa, jaszczury, kwiaty i ludzkie serca. Bez nienawiści i złości.

Osadnicy utworzyli już wtedy małe osady. Ich mieszkańcy od pokoleń przebywający na Innej, pytani o narodowość, mówili o sobie "tutejsi". Pierwotne zagubienie przybyszów ustąpiło miejsca poczuciu swojskości, a wczesny lęk wygnańców coraz częściej zmieniał się w zachwyty wybranych. Leon Afrykańczyk - uczony chrześcijanin z Hippo Regius, dla którego przeskok był nieoczekiwanym wybawieniem z ogarniętej przez Wandalów Afryki, usiłował przedstawiać Inną jako obiecane przez Chrystusa królestwo Boże, a kolonistów jako "szczep wyznaczony". Nowy Izrael. I tę tendencję podtrzymują ostatni rozbitkowie z wraku Imperium Romanum.

Traktowanie nowej planety jako rajy miało logiczne podstawy. Na coraz bardziej cywilizowanej Innej żyło się spokojniej i bezpieczniej niż na Ziemi, doświadczanej wędrówką ludów. Rozwojowi nie przeszkadzała ani mozaika ras, ani różnice kulturowe czy religijne. Ortodoksi, arianie, dualiści spod sztandarów Maniego, wyznawcy Mitry i Izydy czy też sekretni czciciele nigdy nie zgasłego kultu Wielkiej Macierzy Bogów szanowali się nawzajem. Nie płonęły stosy (Na razie). Nie dochodziło do bratobójczych walk czy prześladowań. Na długo zanim dotarła wieść o

"Edykie Konstantyna", tu, po drugiej stronie Mlecznej Drogi, chrześcijaństwo cieszyło się pełnią swobód, a

jedyne pojedynki rozgrywały się w sferze słów i argumentów.

Błogosławię rozległość twych mórz

i wyspiarski świat zieloności,

falowanie lasów i wzgórz,

pod twym wielkim słońcem wolności -

pisał w VIII wieku PseudoDiadoch, wykładając w swym

podręczniku pięć odmienności Innej sprzyjających

umiarkowaniu obyczajów - rozległość, rzadkość

zaludnienia, łatwość życia, przyrodzoną swobodę i

brak większych różnic majątkowych.

Niektórzy nazywają wieki Transferu epoką

"antycznego efebata". Ludzie kolonizujący Inną, choć zróżnicowani intelektualnie, mieli w zasadzie równy

start. Każdy mógł się sprawdzić. Długowieczni i zdrowi

mieszkańcy wysp i kontynentów pielęgowali swoje

stare ideały i wierzenia bez towarzyszących im

patologii. Aż do końca Transferu brak wzmianek o

prostyucji, homoseksualizmie; zbrodnie zdarzały się

rzadko, podobnie było z kradzieżami.

Nawet nadciągający w dalszych falach migracyjnych

barbarzyńcy, zasiedlający głównie półkulę południową,

nie przejawiali zbyt dzikości czy agresywnych

zamiarów. Nowa Ziemia stała się domem dla

wszystkich.

Niektórzy krytycy uważają pracę PseudoDiadocha oraz

anonimowy zbiór opowieści "Dzieci Większego Słońca"

za apokryfy powstałe trzy stulecia później, mające na

celu gloryfikację Wieku Niewinności po to, aby tym

mroczniej potępiać Erę Pomieszania i Okrucieństw.

Nie ma na to jednak dowodów. Większość ludzi

współczesnych - poza zrelatywizowanymi elitami - woli

wierzyć, że prapoczątek był dziewiczy, nie splamiony

pierworodnym grzechem przemocy, jaka towarzyszyła

na Starej Ziemi odkrywaniu nowych lądów.

Chociaż... Idylliczny obraz mąci pochodząca z X wieku

"Powieść o Brittexie, przemyślnym księciu piratów", która wspólnie z "Fabułami Florentyńskimi" leży u

podstaw lingua neoromana. Niektórzy wprawdzie

uznają wyprawę Brittexa do granic Equatorii Minor za

zlepek wielu legend, a naukowcy do niedawna pragnęli

między bajki włożyć opowieści o antropozaurach,

inteligentnej rasie człekokształtnych jaszczurów -

"ludzi smoków", stanowiącej ukoronowanie ewolucji

na Innej. Zagładę miało im przynieść, na krótko przed

Transferem, uderzenie ogromnego bolidu i Wielki

Potop. Zdegenerowane niedobitki przetrwały ponoć

na Equatorii i im właśnie miał wydać bój Brittex z

trzydziestką śmiałków. Pisał kronikarz:

A gdy znaleźliśmy się na skraju gorących oparów bagnisk, trzęsawisk i skał różowych ukazały się ich nadwodne sadyby krokodylim jamom podobne, także ich gniazda nadrzewne, na których starzy samce siedzieli, niby paskudne demony, w płaszczach ze złożonych skrzydeł. Na wpół uśpieni, gapiąc się w przestrzeń przypatrywali się nam bez ciekawości, pogrążeni w marazmie jakowymś, właściwym dla rasy przez Jedynego przekłętą. Aż piątka naszych kamratów podpłynawszy czólnem porwała jedno gadzie dziecię świeżo z jaja wyklute i ubili samca z samicą stawiających odpór. Sternik, który w okolicy wcześniej był, odpłynąć radził, twierdząc, że owe gnuśne straszydła nocą zyskują moc i żądzę śmierci. I rzeczywiście. Ledwie miesiąc Ormuzd wzeszedł, noc pociemniała od smoczych skrzydeł, łapy ich poczęły ciskać glazy i włócznie, którym z najwyższym trudem opierały się nasze puklerze. Także zionęli ogniem z przytroczonych do żywota skrzynek, wrzeszcząc w swym paskudnym języku i żądając, jak tłumaczył sternik, iż byśmy oddalili się ostawiając ich sadyby w spokoju... Lecz gdy dzień nastał, mimo iż sam Brittex o

zmiłowanie dla paskudztw apelował, wyprawiliśmy się na ląd, siedziby ich palić i jaja tłuc, tak że nie ostał ni jeden czarci, pomiot, ni kamień na kamieniu, na chwałę Jedynego. Atoli obiecane go złota było tam jak na lekarstwo...

Opowieść tę uznawano za czystą fantastykę, aż łopaty archeologów odkryły na Mare Sablum zatopione w piaskach pustyni pałace i świątynie, a grobowce odnalezione w Smoczej Dolinie ujawniły nieprzebraną liczbę złotych ozdób, sprzętów i malowideł dowodzących, iż gdyby nie Potop, ludzie nie mieliby czego szukać na Innej.

Może więc Transfer był tylko podjętą przez Mózg Wszechświata próbą wypełnienia powstałej niszy ekologicznej? A w ogóle cóż taki Mózg mógł sobie przemyśliwać?

U początków Superiory, Ultimy, Wandalii czy Ekumeny napotykaemy historie myśliwych i rybaków, oraczy i rzemieślników, poetów i nauczycieli. Brak tam zdobywców i tyranów, kondotierów i siepaczy. Są pogromcy dinozaurów, nie ma ojcobójców. Wszelako pamiętajmy, że tkanka kolonizacji aż do IX wieku jest niesłychanie luźna. Poszczególne kręgi osiedleńcze wzrastają nie wiedząc zgoła nic, albo bardzo mało, o

swoich sąsiadach. Jednoczą się wolno, stopniowo wspomagają, uzupełniają. Oblicza się, że około roku sześćsetnego kosmiczni rozbitkowie wraz ze swoimi potomkami, rozsiani na ponad trzystu wyspach i dwóch kontynentach, liczyli około stu tysięcy. Przyrost naturalny, niehamowany przez wojny i epidemie, zwiększał populację bardzo szybko. Na szczególnie urodzajnych terenach mieszkańcy podwajali swą liczbę mniej więcej co pięćdziesiąt lat. Zachowane katastry pozwalają sądzić, że około 1000 roku Inną zamieszkiwało prawie dwadzieścia milionów. Tu i ówdzie robiło się ciasno.

W 968 roku nawiedza Superiorę klęska nieurodzaju. Dochodzi do samosądów nad młynarzami oskarżonymi o ukrywanie zboża. W 975 bunt plebsu obala władzę starych rodów we Florentynie. Na morzach wokół Ekumeny pojawiają się pierwsi piraci.

Do tej epoki koloniści zamieszkiwali przeważnie niewielkie miasteczka przypominające starożytne polis - na wyspach przeważał system republikański z często zmienianymi kolektywnymi władzami; na kontynencie, zwłaszcza na obszarze z dominującym żywiołem greckim, osady były rządzone przez dożywotnich basileusów obieralnych przez ogół

mieszkańców. Ówdzie stanowiska te stawały się dziedziczne.

Oczywiście musiały minąć stulecia, zanim powstała siatka powiązań globalnych. W roku 996 Aldon Śmiałek przekracza równik, docierając do brzegów Wandalii, na której wskutek separacji od reszty świata nastąpił cywilizacyjny regres i powrót do barbarzyństwa. W 1018 roku Marco Fabroni dokonuje opłynięcia Innej z zachodu na wschód. Rozpoczyna się eksploracja odkrywanych ziem przy zaostrzającej się rywalizacji poszczególnych ośrodków. Tworzą się pierwsze związki miast i kampanie żeglarskie, kierujące swe zainteresowanie zarówno ku nieprzyjaznym, chłodnym obszarom dalszej północy, jak i skwarnemu pasowi równika.

Misja kulturalna Kampanii Superiorskiej w Wandalii rychło zmienia się w próbę podboju. Statki handlowe przepoczwarzają się w okręty wojenne.

W XII wieku wojny pirackie stają się normalną praktyką. Rozpoczyna się coraz bardziej zajadła walka o podział kurczącego się świata. Wandalia, w której zwyciężył żywioł Parthów i skośnookich Hunów po przejściowym okresie zamętu przechodzi do ofensywy i wypiera romańskich kolonistów. W 1192

roku ich wódz Luail, przyjąwszy imię Zygryda

Jednoczyciela, rozgromia kohorty Kampanii Orelskiej i

kładzie podwaliny pod kontynentalne mocarstwo, z

nazwy tylko nawiązujące do germańskiej schedy.

Despotyczne i pełne ksenofobii, rychło odetnie się na

długie lata od reszty globu. Ale czy przestaje go

obserwować?

Tymczasem na Archipelagu w ciągu XII wieku tracą

znaczenie tradycyjne metropolie. Mniejsze, aktywne

wyspy, jak Superiora czy Minoryty, ustępują pola swym

niedawnym kolonom - Zefirii, Ultimie czy Nowej Istrii.

A w XIII wieku Florentyna z agresywnej kaperskiej

republiki przemienia się w bastion umiarkowania i

kultury, skarbnicę tradycji i dobrego smaku.

Równocześnie na obszarze języka greckiego, zwanego

Ekumena, mała kolonia Akropolia Aleksandryna

zrzuca podwójną zależność - od swojej założycielki

Aleksandrii Nowej oraz od pobierających haracz

satrapów neopartyjskich. W ciągu pięciu dekad

następujących po roku 1280 bezwzględni rabusie z

Akropolii podporządkowują sobie większość

północnego kontynentu, pochłaniając kolejne terytoria

z apetytem imperiosa. Pada zasobna Troada,

plonie Nowy Korinthos ze wspaniałą biblioteką i

Muzejonem. Z samej Meocji sto tysięcy niewolników ruszy zasiedlać północne rubieże Ekumeny. Mała, bitna Wenedia też nie może opierać się długo. W 1333 roku zagłada spotyka samą Nową Aleksandrię, a Filip Rechos wkłada na głowę popiątny diadem

Archibasileusa. Ogranicznikami imperium staną się dopiero piekielne pustynie południa i Góry Cyklopie, gdzie Ekumeńczycy zderzą się z Wandalijczykami, oraz Ocean Wewnętrzny - gwarant archipelagiańskiej wolności.

Rewolta 1435 roku zmieniająca tyranie w Hierarchat nie osłabi zaborczości Ekumeny. Przeciwnie, sen o światowej hegemonii zostanie wsparty obłądną doktryną.

Czas wojen, gdy morza spływają krwią, a ponad kontynentami przez całe dekady nie gasną luny pożarów, niszczy dotychczasowy sielski obraz Innej. Znika wielowiekowy umiar i tolerancja, tak jakby ukryte rezerwy Zła chciały nadrobić zaległości z epok Harmonii.

Pochodną centralizmu staje się ujednoczenie religii.

Kulty w Wandalii i Ekumenie nabierają charakteru państwowego. W Wandalii jest nim Klasyczny

Politeizm z Królem - Ziemskim Emisariuszem Boga, w

Ekumenie basileusi głoszą się protektorami Kościoła.

Na obszarze Archipelagu mozaika schizm, dzięki Szymonowi z Florentyny, który w 1299 roku zwołuje Sobór Uniwersalny Zachodu, stapia się w uniwersalny kult Jedyne, z zachowaniem regionalnych obrządków. Dopiero wiek później ujawni się schizma trynitatystów.

Dzięki kupieckiej praktyczności, uniwersalnemu kościołowi i talentom negocjatorów, a zarazem wobec podwójnego zagrożenia Wandalijsko-Ekumeńskiego Archipelag omija piekło wojen religijnych. Dominująca rola klasy średniej przy braku możnowładztwa, a nade wszystko postępujący rozwój techniczny (machina parowa pojawiła się tam już w połowie XIV wieku) sprzyjają racjonalizmowi i ideom optymalności.

Żeglarskie ludy cechuje chłodny rozsądek wsparty mocno zakorzenionymi ideałami wolności. Na żadnej z wysepek nie potrafi zapuścić korzeni tyrania. A tysiąclecie tradycji samorządowo-republikańskiej owocuje koncepcją Federacji. Wcześniej są kampanie kupieckie, traktaty dwustronne. Z początkiem XIV w. trwały sojusz zawiązują Zefiria i Orelia. Rychło dołącza Superiora. Wkrótce po przerażających wieściach o rzezi w Nowej Aleksandrii powstaje Unia Florentyńska

(1338) i po raz pierwszy połączone floty wybierają SuperNavigatora. Czy należy uznać za przypadek, że w tym samym roku znana znacznie wcześniej turbina parowa zostaje zastosowana na okręcie? W ciągu pięćdziesięciu lat wszystkie wolne wyspy wstępują do Federacji Równych. Nie ochroni to przed daniną krwi. Do połowy XV wieku wstrząsną Inną trzy wojny globalne, dwie toczone wspólnie z Ekumena przeciw Wandalii i ostatnia najkrwawsza z Wandalią przeciw Ekumenie. Żadna nie przynosi ostatecznego rozstrzygnięcia. Jedynymi wygranymi są producenci broni. W 1471 roku nad pustynną Hebbią z rozkazu Navigatora Arrianda pojawia się pierwszy nuklearny błysk. Przez chwilę wydaje się, że problem hegemonii na planecie został rozstrzygnięty. Wojskowi domagają się wykorzystania przewagi i zaprowadzenia wolności w zniewolonych imperiach. Aliści protesty intelektualistów i studentów, kampania mediów, wreszcie śmierć Arrianda w zamachu uniemożliwiają takie rozwiązanie. Pięć lat później głowicami nuklearnymi dysponuje już i Ekumena. A niedługo po niej Wandalia. Na Innej rozpoczyna się epoka równowagi strachu. I, nie licząc konfliktów peryferyjnych, długotrwały pokój na wyrost zwany

Wieczystym.

VII KONTAKTY STARE I NOWE

Z listą zaproszeń na ogrodową biesiadę, mającą się odbyć po ceremonii inauguracji, Marek Ursin pospieszył do letniej rezydencji Navigatorów w Castrum Goliatum, który ustępujący szef Federacji przekazał na potrzeby elekta. Był to uroczy zespół ogrodowy, ukryty w Gaju Florentyńskim, pełen sztucznych ruin, fontann, stawów i obiektów sportowych, wśród którym Navigatorzy podejmowali najznamienitszych gości.

Lecąc wiroplatem consulantor oglądał z góry przedmieścia Florentyny i dalsze przysiółki; kraj ludny, zasobny, spokojny. Trzydziesty drugi Navigator miał objąć Federację w dobie pełnego rozkwitu.

Ostatnie ćwierćwiecze było nadzwyczaj pomyślne.

Zwalczono epidemie i klęski głodu, zapewniono dostępność kultury, nędza ograniczyła się do wąskiego marginesu nieprzystosowanych. Od dziesięciu lat rozwijany program kosmiczny ożywił nadzieje, że kiedyś dojdzie do kontaktu ze Starą Ziemią...

Astronomom udało się nawet zlokalizować Układ Słoneczny. Światło, by tam dolecieć, potrzebowało ledwie kilkunastu milionów lat.

Żaden wróg zewnętrzny nie mógł zagrozić

Archipelagowi. Potężna flota gotowa zniszczyć każdego agresora i potencjał nuklearny stanowiły gwarancje globalnej równowagi. Pięć facji, zgodnie z tradycją stronnictw z hipodromu noszących znaki Błękitnych, Zielonych, Różowych, Żółtych i Czarnych, przestrzegało demokratycznych reguł gry. A sporą władzę wykonawczą Navigatora równoważyły kompetencje Kurii i Arbitriatu.

Czy zatem mógł być ktoś szczęśliwszy niż consulantor Quintusa Cedrusa?

Chyba jedynie sam Quintus Cedrus.

- Zdrzemnął się - powiedziała Octavia wychodząc na powitanie Ursina. - Bardzo dużo ostatnio pracuje. - Bez makijażu, w ogrodowym peplum wydawała się dużo starsza. Zauważył zmarszczki w kącikach oczu i pierwsze siwe pasemka we włosach. Na terasie stało parę wiklinowych foteli i obok jednego leżała przewrócona butelka. Nozdrza Marka poczuły słodką woń winissy. Czyżby Quintus znowu zaczął pić? Na Jedynego, czemu właśnie teraz? Owszem i wcześniej nachodziły go chandry. Bywało, zastygał wpatrując się bez ruchu w jeden punkt stołu, spojenie futryn, gwóźdź w ścianie.

- Masz jakiś problem? - pytał go parokrotnie Ursin.

Niezmenną odpowiedzią było przeczenie. Jakże chętnie Marek pogadałby na ten temat z Octavią. Ale nie potrafił się na to zdobyć. W ogóle rozmowa z nią przychodziła mu z trudem. Gdzieś pod sercem ropiał cierń, którego nie potrafiły usunąć lata.

- Powrócę za godzinę - obiecał. Nie zatrzymywała go, kiedy ruszył w głąb ogrodów.

Primmatrona zamknęła za sobą drzwi.

- Przybył Marek - powiedziała do męża.

- Wiem, niech zaczeka - odparł półleżąc nagi na pościeli, z kielichem w ręku i plikiem dokumentów.

Duży, piękny mężczyzna o ciele antycznego boga. Jej Mężczyzna. Jej Navigator. - Chodź do mnie, Octavio.

Mamy jeszcze coś do załatwienia.

- Daj spokój. Jesteś pijany - zaproponowała.

- Wyłącznie miłością do ciebie! - Porwał ją, pociągnął do łóżka. Akty państwowe, projekty legislacyjne, listy gratulacyjne poszły na bok albo pod spód (Jak np. projekt równouprawnienia dla małżeństw homoseksualnych.). Octavia nie opierała się długo. Zawsze mu ulegała. Lubiała zresztą tę brutalność, tę odrobinę męskiej przemocy. Wszedł w nią gwałtownie, można rzec, rozpaczliwie. Usiłując jak najszybciej

znaleźć się na wspólnej fali dotknęła wargami jego policzka. Był mokry i słony. Poczula dreszcz, bynajmniej nie rozkoszy. Z niewiadomego powodu najszczęśliwszy człowiek na Innej płakał.

- Wyrazy współczucia, Fabiusie - powiedział do wysiadającego z pędnika Druzzusa Ruffix, który najwyraźniej lubił być zwiastunem złych wieści. - Przed chwilą dostałem wiadomość wprost z FOI o zaginięciu twojego przyjaciela.

- Mojego przyjaciela?

- Dottora Darni. Zdaje się, że byłeś z nim bardzo zaprzyjaźniony. Wiemy już, że cztery dni temu pod przybranym nazwiskiem wynajął w Equatorskiej Biancinie elektryczny szybkopław "Tryton" i odpłynął w nieznanym kierunku. Miejscowe służby doniosły o znalezieniu wraku "Trytona", przy którym brakowało szalupy ratunkowej. Łódź się odnalazła, niestety, bez ciała... A propos, nie wiesz przypadkiem, czego dottorek szukał w tym gorącym zadupiu?

- Nie mam pojęcia. Wziął tydzień urlopu, miał jednak wrócić przed Inauguracją - odparł szef ochrony.

- Czy ten Darni miał jakąś rodzinę?

- Szczerze mówiąc, nic nie wiem o jego rodzinie.

- Dobrze, zajmijmy się tym sami...

Druzzus konsekwentnie nie miał zamiaru

wtajemniczać Ruffixa, toteż sucho podziękował za informacje. W officium zarządzającym Castrum

Goliatum dowiedział się, że Ursin przebywa w

wewnętrznych ogrodach. Szybko odnalazł go przy

"Gloriecie Arrianda" i obaj weszli w Aleję Fontann, gdzie huk wody uniemożliwił ewentualny podsłuch.

Wyraz twarzy superochroniarza nie zapowiadał

dobrych wieści.

- To tragedia. A więc nie wiemy nawet, czy Darni dotarli

do Słowianina - skomentował mały consulantor. - Czy

to mógł być nieszczęśliwy wypadek?

- Nie wierzę w wypadki - burknął olbrzym. - Mamy

następny dowód, że spisek istnieje, a zdrajcy potrafią

wyprzedzać nasze kroki.

- Kto wiedział, że dottor wyjeżdża?

- My dwaj i on - odpowiada Druzzus.

- Nikt więcej? Żadna complementarka, kierowca?...

- Powiedziałem, tylko my. Chyba że byliśmy śledzeni

lub podsłuchiwani.

- Przez kogo?!

- Nie mam pojęcia. Poczynilem jednak pewne kroki,

żeby to zbadać. Mam kumpla, prywatnego deductora

imieniem Dario... Wkręciłem go do naszych

rękodajnych. Pamiętasz, wczoraj przynosił ci kolację.

Bystry chłopak. Ma mieć oko na wszystkich. Ustalić, czy istnieje jakaś wewnętrzna inwigilacja. Pojutrze ma dzień wolny i zamierza dowiedzieć się czegoś więcej o Narensie.

- Sprawdziłem to nazwisko w menscompterach FOI - powiedział Marek. - Nic szczególnego o nim nie mają. Należał do "Wściekłych" dopiero od trzech miesięcy.

Żadna szyszka...

- Chyba sytuacja dojrzeła do powiadomienia

Quintusa, zrób to jednak tak, żeby nikt więcej nie mógł poznać naszych podejrzeń...

- Myślę o tym i szukam sposobnego momentu. W pawilonie elekta mogą być podsłuchy. Ale jutro po południu gramy razem w piłkę, więc może w termach pod natryskami...

- Do tego czasu Dario powinien już coś znaleźć. Miejmy nadzieję, że nasza demokracja przetrzyma jeszcze dobę

- Czy wszyscy tu poszaleli? O Terpsychoro, czas na emeryturę, na emeryturę?! - choreograf Liddon miota się po proscenium. - Co to ma być? Co to ma być? - woła histerycznie do swego asystenta.

- Obsada do obrazu numer pięć, mistrzu - belkoce zagadnięty. - Alegoria Federacyjnej Równości...

- Pytam się o te stroje, te ordynarne trykoty w kolorze zdechłych stekowców. Według scenariusza nimfy miały być nagie.

- Miały wyglądać jak nagie! - prostuje scenarzystka widowiska wychylając się z półmroku.

- Mnie jest obojętne, czy świecą gołymi, czy sztucznymi piersiami, ale musi to wyglądać wiarygodnie.

- Przepraszam - wtrąca się Ursin przypatrujący się próbie "Żywych obrazów" odsuwając się od choreografa. - To jest młodzież szkolna i w dodatku ma wystąpić publicznie...

- Ave, cenzuro! - szydzi Liddon. - Cóż za konserwatyzm? W gimnazjonach Superiory udało się przywrócić antyczny obyczaj, by sportowcy trenowali nago i koedukacyjnie. Ale rozumiem, stolica... Zresztą, na Bachusa, dajcie im po listku. W istocie rozebrana nastolatka to nic specjalnego! - Tu choreograf puszcza oko do małego konsulantora. Jest powszechnie wiadome, że słynny nauczyciel tańca preferuje drobnych mężczyzn, zadbanych, figlarnych i inteligentnych.

Ursin wycofuje się pośpiesznie. Nie po to tu przybył, by zawierać męskie przyjaźnie. Pasją Marka są nimfetki. No, może nie nimfetki - ale na pewno nie

staruchy. Zresztą jak dotąd, jego hobby ogranicza się do oglądania. Życie erotyczne Ursina jest ubogie jak step wandalijski. Nigdy nie wierzył w siebie i w dodatku miał pecha. Drobny, nerwowy, przeintelektualizowany, nie należał do gatunku mężczyzn działających na kobiety z mocą starego wina.

Był cienkuszem i wiedział to. Te nieliczne, którym uderzył do głowy, nazajutrz skarżyły się na kaca.

Oczywiście, wielu nieatrakcyjnych kurdupli potrafi nadrabiać swoje braki dowcipem, brawurą lub wytrwałością. Ursin, egoista, o kaśliwym humorze, płoszył niewiasty z odległości 20 łokci. Najbardziej jednak przeszkadzał mu kompleks niższości połączony z manią wielkości. Bał się tych kobiet, których najbardziej pożądał. Tymi, które mu się same narzucały, gardził. Pewnie dlatego nigdy się nie ożenił.

Nie interesowały go potencjalne kury domowe ani chore z ambicji intelektualistki. Chciał jedynej, niepowtarzalnej, wielkiej fascynacji. Drugiej Octavii, która nie wybrałaby Cedrusa...

Czego więc szukał wśród małoletnich artystek?

Złudzeń? Od pewnego czasu żył nadzieją, że w chwili zwycięstwa Cedrusa wszystko się zmieni. Jako konsulantor będzie wreszcie KIMŚ. Kimś, kogo

skinienie będzie się liczyć. KIMŚ, kto nie będzie musiał
osobiście wybierać się na łowy, ryzykując odmowę i
kolejne upokorzenie, albowiem dyżurny liktor załatwi
to za niego. "Chcesz, maleńka, zrobić karierę? Sam
Wielki Consulantor zainteresowany jest twoim
talentem..."

Inna sprawa, że onego popołudnia Marek był wielce
zdegustowany oglądanym materiałem ludzkim. Puellki
biorące udział w przeglądzie nie sprawiały wielkiego
wrażenia. Owszem, w dużej masie, na ulicy będzie to
wyglądać nieźle, ale z bliska...

Chyba marnuję czas? - pomyślał, kiedy naraz wrażenie
wbilo go w fotel. - O Jedyny! Czyżby sama różanopalca
Eos spłynęła na scenę!?

Nastolatka w stroju westalki jest szczupluteńka,
krucha, a jednocześnie doskonale proporcjonalna.

Ciało ma opalone, usta wydatne. Ogromne oczy
spoglądają śmiało. Mimo że w mroku łoży Ursin jest
praktycznie niewidzialny, czuje jakby puellka
przenikała go swymi źrenicami. Postanawia iść do niej
za kulisy. W teatralnym atrium nabywa kwiatek. I
czeka, aż dziewczyna przejdzie na stronę tancerek
zakwalifikowanych do udziału w paradzie.

Już idzie, właściwie płynie, stąpając krokiem

urodzonej tancerki, rozgląda się rezolutnie, bezczelnie.

I Ursin tchórzy, cofa się, kwiatek mu wypada z rąk...

Nie opuszcza jednak kulis pragnąc przyjrzeć się z

bliska tej oszalamiającej szyi, wydatnej pupce i

piersiom, nie wymagającym podtrzymywania przez

strofium, rajskim jabłkom podobnym, a widocznym w

głębokim wycięciu szaty. Tymczasem dziewczyna

zwalnia. Spojrzenia ich spotykają się. Marek robi krok

w tył nadziejąc się nieomal na stojącą hermę. A mała

westalka sunie wprost na niego. I cud! Jak w

najskrytszych marzeniach sennych. Ramiona szczuple

jak pędy orelskiej winorośli oplatają szyję Ursina, a

usta niczym płatki kwiatu przybliżają się do niego.

Ursin przymyka oczy. Czeką... Jednak zamiast

pocałunku słyszy słowa szeptane do ucha: "Chcę się z

panem zobaczyć jutro w południe przy fontannie

Amfitryty".

Kiedy otwiera oczy, puellki już nie ma. Pozostaje

zapach, wspomnienie przenikliwego dreszczu i

nadzieja, że jeszcze ją zobaczy.

Szok potrzebuje odreagowania. Zamiast wracać do

rezydencji, Marek jedzie do Mirry. Nie odwiedzał jej od

pół roku. Mirra to jedna ze starszych complementarek

z Arbitriatu Przyjaciółka. Można powiedzieć

"salvatornia seksualna". Pierwsza pomoc w przypadkach beznadziejnych. Bezpieczna, bo mężatka. Brał ją zwykle w tempie ekspresowym, opartą o pięciostopniowe dostawne schodki w sali rękopisów i druków ulotnych. W trakcie tego zabiegu głowa Mirry uderzała najczęściej w bogato iluminowane inkunabuły Samokryta, dotyczące obyczajów dawnych Archipelagian, a jej piersi kołysały się ponad zajmującymi dolne półki mapami Innej, niczym dzwony okrętowe flagowca "Chwała chwał"... W recenzjach Mirry Marek był zawsze wspaniały, męski, wielki. Dla niego krzyczała z rozkoszy (albo z uprzejmości) i płakała ze szczęścia lub z kurzu, który jak lupież sypał się z mądrości wspomnianego Samokryta. A potem rozmawiali chwilę i rozchodzili się. Ona do męża vigilianta, on do pustego domu... Tym razem również przyjęła go jak zawsze serdecznie, jakby widzieli się wczoraj, poczęstowała naparem i ciasteczkami własnego wypieku. Z przykrością zauważył, że od ostatniego spotkania znacznie przytyła. Potem dokonał się erotyczny rytuał, schodki, umysłowy kontakt z Samokrytem... Spazm i łzy. Po owym katharsis Ursin czuł się trochę podle, albowiem przez cały czas pod przymkniętymi powiekami

**zachował niewygasły obraz prześlicznej tancerki,
zdzierającej z siebie strój westalki.**

**Mieszkanie Ursina mieściło się w dawnym domku
rybackim opodal Wielkiego Stawu, nieco na uboczu
Castrum Goliatum. Marek pozostawił swój pędnik
auridze i ruszył alejką. Dwa księżycy dążące ku sobie
rozświeślały niebo tak mocno, że nie widać było
gwiazd, zaś cienie rzucone przez drzewa i krzewy
zdawały się mroczniejsze niż wczoraj. Mijając alejkę
prowadzącą ku wyniosłej gloriecie dostrzegł
zbiegowisko opodal stromych schodów pałatyńskich.**

**Na trawniku pulsowały światła wozów vigilianckich.
Podszedł bliżej. Wśród funkcjonariuszy kręcących się
wokół przykrytego białym całunem ciała dostrzegł
Druzzusa. Miał twarz bardzo posępną.**

- Co się stało, Fabio?

**- Nieszczęśliwy wypadek - mruknął. - Facet poślizgnął
się na schodkach, a ponieważ ręce miał zajęte tacą,
spadając skręcił sobie kark. - Tu odchylił róg płachty.**

**Wyszczерzone zęby i wytrzeszczone oczy zniekształcały
twarz. Nie na tyle, żeby nie rozpoznać rękodajnego
Daria. Ursin otworzył usta, ale Druzzus dotknął
palcem warg.**

Wzgórze Cyklozaurów, zanim stało się znanym

centrum grzesznych uciech, było przez parę wieków florentyńskim wysypiskiem śmieci. Dziś florentyńscy moralści ciskający gromy na ów wzgórek rui i porubstwa twierdzą, że sama lokalizacja dowodzi słuszności prawa, iż - "śmieć ciągnie do śmiecia". Wiek temu na terenach śmietniska założono ogrody publiczne i ustawiono wirnicę. Później napór miasta skurczył przestrzeń parku, gromadząc na pagórku prawdziwy kombinat teatrzyków i obraźni, domów schadzek i eroterm. Ostatnio szczególnie popularnymi stały się autodansbudy. Zapewniały one pełną anonimowość rozrywek, przybysze obojga płci odziani jedynie w maski, dobierali sobie partnerów pośród wesołego "polowania". Z obrotowych parkietów bezpośrednie przejścia prowadziły do "impluwiów zbiorowej rozkoszy" lub do indywidualnych izdebek, zwanych separatoriami.

Demokratyczny i w dodatku bezpłatny dobór seksualny ludzi wyzwolonych z przesądów okazał się wielkim zagrożeniem dla tradycyjnej prostytucji. Nie dziw, że bandyckie bractwa żyjące z nierządu sporo mamony utopiły przekupując senatorów i kuriantów walczących przeciw pierwszej poprawce do ustawy o moralności, legalizującej bezpłatne kurewstwo. Atoli najmodniejsi

współcześni psychoshamani dowodzili, iż anonimowe miłośnienie bez zobowiązań ma charakter terapeutyczny. Likwiduje napięcia i dostarcza ulgi lepszej niż stymulanty. Gdzieś indziej wierna na co dzień małżonka, kochający mąż i ojciec mogli oddać się chwili zapomnienia bez poczucia winy.

Licynia należała do nielicznej kategorii kobiet przebywających w autodansbudzie zawodowo.

Librettki, bo tak zwano tę kastę niewiast, nie brały od partnerów pieniędzy, miały jednak stałą prowizję od poicieli i orkiestrantów, boć wpływały na ruch w interesie. Stanowiły one pociechę dla nieśmiałych lub nieforemnych, na których nie zaczepiłaby oka wolna, przybyła na łowy niewiasta. Licynia miała wprawdzie najlepsze lata za sobą, ale czyniła wszystko dowodząc, że ma je ciągle przed. Przezroczyta tunika nie kryła obfitych kształtów jej ciała pokrytego delikatnym, jadalnym puszkim Erosa, który można było zmywać w basenie lub zlizywać wedle upodobania. Około nony panował jeszcze stan półzastoju w interesie. Muzyka z elektrofletni i cyberdrumli sączyła się leniwie, a na owalnej mozaice tanecznej przedstawiającej kopulację smoka z machiną parową nie pojawiło się dotąd równocześnie więcej niż dwie, trzy pary, ocierające się

o siebie w grze przedwstępnej.

Wejście mężczyzny w masce Minotaura sprawiło, że krew ruszyła żywiej w tętnicach Licynii. Przybysz przypominał Heraklesa w jego najlepszym okresie, a niewielki pas wokół bioder pozwalał się domyślać rozmiaru maczugi. Gość nie był młodzieniaszkiem, jednak emanował pewnością i wolą życia. Podobni faceci nieczęsto wpadali na Wzgórze Cyklozaurów, chyba że skłoniło ich do tego przedwczesne starzenie się lub wdowieństwo. Jeszcze bardziej zdumiała się, gdy poprosił ją do tańca. Prowadził tak pewnie, bez przedwczesnej poufalości, aż jej, starej zdezorientowanej, serce zaczęło łomotać niczym nastolatce. Usiłowała wtulić się w szeroką pierś, trzymał ją jednak na dystans. Z otworów byczej maski patrzyły oczy chłodne, obojętne, jakie widywała niekiedy u najemnych morderców.

Poczuła lęk.

Czego on tu szuka? Gra czy prowokuje? - zastanawiała się librettka. Po quarlinie wirowania sama zaproponowała przejście do separatorium.

- Dziękuję, wolalbym przejść się z tobą po świeżym powietrzu - odparł odsłaniając w uśmiechu równe, mocne zęby.

Zboczenie? - przemknęło Licynii, ale szybko odtrąciła

tę myśl. Facet nie wyglądał na dewianta. Przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma najmniejszych kłopotów z zaspokajaniem swoich popędów.

- To wbrew konwencji - szepnęła. - Tu się spotykamy, tu się miłośnimy, a potem się nie znamy.

- Uwielbiam łamanie konwencji - usłyszała w odpowiedzi.

Zaryzykowała - chronometry wskazywały prime, kiedy spotkali się na samym szczycie wzgórza przy skale Magów. Ale facet nie chciał miłości w plenerze. Chciał informacji. I nie ulegało wątpliwości, że w razie potrzeby potrafi ją wycisnąć.

Leontias cenił kobiety szczere i rozmowne. Strach i pieniądze zbliżyły Licynię do wspomnianego ideału. O Kaliope opowiadała dużo i chętnie.

- Fajna dziewczyna, przed trzema laty przybyła z jakiejś dziury w Zefirii. O Jedyny, jaki to był nieopierzony kurczak! Choć z temperamentem. Zamieszkała u mnie, bo moja poprzednia kumpela przeholowała ze stymulami. Wprowadzałam ją w tę robotę. Było w dechę. Żadnego wydzierania sobie facetów. A w poniedziałki wolne. I naraz, gdzieś rok temu, coś ją szurnęło, rzuciła robotę, przystała do tych trójczubych

idiotów. Może dla zbawienia duszy?

- Jakich idiotów?

- Nie znasz sekty "Agressores". Smętne kutasy! Nie wierzą w Jedyne i podpalają sklepy z dewocjonaliami. Dużo w tym bajeru, pozy, a nie wiadomo, o co naprawdę chodzi. Handlują stymulantami... werbują gówniarzy do sekty. Ja się od tego trzymam z daleka.

- A Kaliope?

- Po jakimś czasie wróciła. Chociaż już była inna... Nie łapaliśmy jednego wiatru. Zrobiła się taka cwana, wyrachowana. Polowała już wyłącznie na jeden typ facetów.

- Co masz na myśli?

- Dziani toganci - mruknęła.

Leontias znalazł termin, którym ludzie marginesu nazywali przedstawicieli warstwy urzędniczo-administracyjnej.

- Inna sprawa, że nie przychodziło jej to z trudem.

Faceci po czterdziestce, którzy zostawili w szatni togę z czerwonym paskiem, byli w jej rękach jak glina.

Najpierw miękli, a potem sztywnieli. Aż pojawił się Narek.

- Togant? - zapytał obojętnym tonem Sclavus.

- E tam, szczeniak z resztkami forsy, bo jego starzy

wstrzymali szmal dowiedziawszy się, że wypieprzono go z Akademii. Miał ładny uśmiech. Rozbrajający.

Kiedy przyszedł do budy po raz pierwszy, wyglądał jak psiak, który spędził całą noc na deszczu. Chyba

faktycznie nie miał gdzie się podziać. Nie jestem

specjalnie litościwa, ale akurat na mnie trafił. Miał

mamonę, więc wzięłam go do separatorium... Wie pan,

to był dziwny chłopak, nawet mnie nie tknął. Może był

po prostu zbyt zdenerwowany? Położyłam go spać,

rozwiesiłam jego łachy, żeby wyschły, i wróciłam do

roboty. Trzeba trafu, Kaliope potwornie się tego

wieczora naprała, coś jej odbiło, żeby pójść kimać do

mojego separatorium. Dopiero rano odkryli, że spali

we dwójkę. Twierdziła, że nic między nimi nie zaszło.

Może? Nie wiem... W każdym razie chłopak oszalał na

jej punkcie. Przyłaził co wieczór. Chyba uznał ją za coś

w rodzaju upadłego anioła. Zaślepiiony twierdził, że

miłość ją stąd wyzwoli. A przecież po dobroci tu tkwiła.

- A ona co na to?

- Dobrze się bawiła. Prowokowała. I kpila za plecami.

Aż chyba gdzieś po tygodniu tych igraszek, na sucho,

bo nawet nie dała się powąchać, wybuchła afera. Narek

pobił jej gościa.

- Jak to, pobił?

- No, wdarł się do separatorium i urządził klienta tak, że ten nieprędko zorientuje się, gdzie ma przód, a gdzie tył. Myślałam, wywalą Kaliopę z roboty. A tu nie.

Uszkodzony klient okazał się akurat poszukiwanym siccarem i vigilianci jeszcze podziękowali Narensowi za obywatelską postawę. A Kaliopę przestała kpić.

Chyba popatrzyła na chłopaka innymi oczami. W każdym razie zamieszkali z sobą i nie pojawili się już więcej w budzie. Parę razy spotkałam ich na mieście. Narek chodził uczesany jak trzyróg. Jak regularny trynitatysta. Ale podobno parę dni temu gliny załatwiły go na amen... Więcej nie wiem, Herkulesiku, ale co byś powiedział na maleńki numerek.

- Daj mi adres tej Kaliopie.

Kaliopie okazała się o wiele mniej skłonna do rozmowy niż jej koleżanka. Chcąc wejść do jej mieszkania Leo zadzwonił garścią aureusów, które jakoby był winien Narensowi. Jednak nawet ta propozycja nie zrobiła na librettce większego wrażenia. Usiłowała zatrzaskać drzwi. Na szczęście, wcześniej zdążył wcisnąć stopę. A gdy zaczęła wrzeszczeć, chwycił ją za gardło i skłonił do zdjęcia łańcucha.

- Brzydzą się przemocą wobec kobiet, mała -

powiedział - więc nie zmuszaj mnie, abym działał

wbrew dobremu wychowaniu.

Dysząc opadła na kanapę. Sclavus zlustrował cenaculę, składającą się z dwóch komnatek, alkowy, kuchni i łazienki, wszystkich jednak brudnych i zaniedbanych.

Podłogę w kuchni łatwiej byłoby zaorać niż umyć.

Szyba w drzwiach łazienkowych dość dawno rozbita, straszyla soplami ostrego szkła. Tylko książki piętrzące się w pryzmach wskazywały, że lokatorzy, choć abnegaci, należeli do intelektualistów.

- O co ci chodzi? Chcesz się zabawić? - pytała z lekką chrypką w głosie Kaliope. Choć zaniedbana, była uderzająco piękna. Ot, róża na gnoju...

- Potrzebuję informacji o Narensie - rzekł krótko

- On nie żyje... gliny wyrzuciły go przez okno hostelu - powiedziała z nieskrywanym bólem.

- Chcę wiedzieć o nim jak najwięcej - stwierdził. - Jaki był?

- W łóżku niezły - pogardliwie wygięła usta.

- Sekrety sypialniane interesują mnie najmniej, bardziej, w co go wpakowałaś?

- Ja? - W głosie librettki zabrzmiało szczere zaskoczenie. - To on za wszelką cenę chciał służyć

Trójcy!

- Rozumiem, przypadkowy ochotnik. Ty przecież

miałaś za zadanie przyciągać do organizacji ludzi
wpływowych, wyciągać od nich informacje, pieniądze...

- Nic nie mówiąc zacisnęła wargi, ale Słowianin
wydawał się tym nie przejmować. - Żeby było jasne, nie
interesują mnie trynitytyści, dogmaty religijne, handel
stymulantami czy nawet międzynarodowe powiązania.

- To są bezpodstawne oskarżenia sprzedajnych
pismaków. Jesteśmy niezależni.

- Dobra! Kupuję tę wersję...

- Więc co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego go zabito? Dlaczego upozorowano upadek z
okna, bezlitośnie topiąc go wcześniej w pełnej piany
wannie?

Poraziło ją. Zbladła, parę razy poruszyła wargami,
jakby nie mogąc znaleźć słów. Wreszcie wykrztusiła:

- Ty nie jesteś gliną! Kim ty w ogóle jesteś?

- Powiedzmy, przyjacielem Narka.

- Nigdy nie wspominał mi o tobie.

- Nie mówi się wszystkiego.

- Napijesz się może? - naraz jej głos złagodniał. Leo
skinął głową. Znalazła pod łóżkiem pół butelki
domowej winy i naląła do czarnej trzeciej świeżości.

- Nie piję sam - powiedział Leontias. Napelniła drugi
kubek. Ręce trzęsły się jej jak osobie silnie

uzależnionej od alkoholu.

Następna godzina nie wyjaśniła większości zagadek.

Kaliope wprawdzie przyznała, że pracowała dla grupki

"Wściekłych" dowodzonej przez niejakiego Januariego, faceta, którego charyzma szła w parze z nadzwyczajną

męską jurnością. Początkowo to starczało za całą

ideologię, reszty natchnienia dostarczała jej forsa, a

zagadnienie wyższości Trójcy Świętej nad Jedynym w

ogóle nie zaprzętało jej umysłu.

Co innego Narens, ten nie należał do flegmatyków,

łatwo zapalał się i jeszcze szybciej gasł. Tylko miłość do

Kaliope cały czas w nim rosła. Początkowo starała się

trzymać go jak najdalej sekty. Całe życie samotna, nie

chciała utracić jedyne go człowieka, który kochał ją

naprawdę. Niestety, Januariego zawsze chciał mieć

więcej ludzi (nie tylko kobiet, fizycznie znudził się

Kaliope po miesiącu), a Narek przyłgnął do niego z

zapalem neofity. Jak miała go chronić?

- Komu podlegał Januariego? - zapytał Leo.

- Nie wiem! - wzruszyła ramionami. - Nigdy o tym nie mówiliśmy. Twierdził, że ma dar łaski wprost od Ojca,

Matki i Syna.

- Inaczej zapytam. Czy w dniach poprzedzających ów

nieszczęsny napad na hostel zaobserwowałaś coś

szczególnego? Nie zauważyłaś jakiejś zmiany w

zachowaniu Nara?

Opróżniła kolejny kubek.

- Wiesz, że chyba tak... Chociaż wtedy uważałam to za normalne podniecenie przed akcją. Palił się do niej jak wóz z sianem. Mimo że Januario go odwoził, Narek nie ustępował.

- A wiesz, dlaczego tak zależało mu na tej akcji? -

Pokręciła głową. - Może pamiętasz moment, kiedy wstąpił w niego taki duch. Czy stało się to nagle?

- Męczysz mnie - westchnęła. - Nie wiem... Może przez ostatnie dwa, trzy dni był bardziej nerwowy niż zwykle...

- To znaczy od jakiego momentu? - intuicyjnie czuł, że libretka coś ukrywa, że słowa nie przechodzą jej przez gardło równie łatwo jak przedtem. Czyżby alkohol zamiast rozluźnić, spinał ją? - Dwa, trzy dni, mówisz. Czy coś się wtedy przydarzyło? Pamiętasz może jakieś niespodziewane spotkanie, incydenty?

- Nie pamiętam - odwróciła twarz. Nie ustępował. Ujął ją pod brodę.

- Posłuchaj, Kaliopie. Wiem, że Narens dowiedział się czegoś bardzo ważnego, że wziął udział w tej akcji tylko po to, aby spotkać się z Quintusem Cedrussem i

coś mu przekazać. Dlatego go zabito?

- Chcesz go pomścić? - oczy jej rozbłysły.

- W pewnym sensie tak, muszę jednak wiedzieć, gdzie szukać mordercy.

- To nie trynita... - urwała i chwiejnie podniosła się z łóża - powinieneś już iść.

- Dlaczego?

- Idź już! Chciałabym zostać sama. Muszę się zastanowić. Przypomnieć sobie...

- Może czekasz na kogoś?

- Skądże - zaprzeczyła skwapliwie. - Chcę tylko zebrać myśli. Jestem bardzo zmęczona. Może kiedy spotkamy się następnym razem...

- Dobrze - zgodził się. - Tylko pamiętaj, Kaliope. Nie mów nikomu o mojej wizycie. - Informacje to często ładunek niebezpieczniejszy od eksplozolu. Próbę ich przekazania twój chłopak Narens przyplacił życiem. W pierwszej chwili Marek Ursin nie poznał drobnej westalki. W szarej tunice stała przy fontannie karmiąc małego skrzydlatego avozaura, który ostrożnie swą zębatą paszczą wybierał okruchy z jej palców. Dopiero gdy odwróciła głowę i zobaczył migdałowe oczy, nie miał wątpliwości. Serce uderzyło mu mocniej.

- Jest pan - powiedziała - chodźmy więc. - Ujęła go za

rękę i pociągnęła w głąb pasażu Na dwa księżyce! Sen trwał. Na placyku Centurionów czekał wynajęty pędnik z przyciemnianymi szybami. Wsiedli. Ursin był tak napalony, że natychmiast chciał porwać dziewczynę w ramiona. Odsunęła go stanowczo. Drobne rączki potrafiły być silne i zdecydowane.

Zaczął prawić jej komplementy.

- Poczekaj - przerwała mu posyłając spojrzenie grzeczne, lecz chłodne.

- Dokąd jedziemy?

- Do celu.

Ruszyli raptownie. I strach naraz chwycił za gardło consulantora. A jeśli został porwany? Począł szukać bezprzewodowego fonikonu ukrytego w pantalonach, ale dłoń dziewczyny uwięziła jego rękę w swojej.

- Nie trzeba się bać - powiedziała i pocałowała go w rękę z manierą, z jaką w konserwatywnych gimnazjach adeptki zwykły witać mistrzów.

Auriga wysadził ich przed niewielkim gajem na przedmieściu. W głębi wznosiła się opuszczona rudera.

W jej stronę ruszyła dziewczyna. Ursin podreptał za nią, zadając sobie pytanie, w co się ładuje. Obok zrujnowanego perystylu znajdowało się funkcjonujące lavatorium, mała przewodniczka wskazała natrysk i

podala luźną szatę...

- Umyj się i przebierz, będę czekała w czwartej
cubiculi...

Posłuchał, a mydląc sobie pachy i resztę, próżno szukał
odpowiedzi na pytanie, co tu jest grane. Czy puellka
zamierzała podniecać go za pomocą strachu?

Cenaculę wypełniał półmrok, nie było w niej
oczekiwanego łoża, stały za to dwie koślawe selle. Na
jednej siedział jakiś mężczyzna. Ursin poczuł, jak serce
podchodzi mu do gardła... Chciał zawrócić. W szatach,
których się pozbył, został fonikon, paralizator...

- Witaj, Ursinie - powiedział dottor Darni. - Cieszę się
znów cię widząc. Dię zdążyłeś już chyba poznać - nasza
akcja się rozwija.

VIII MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I INNE DODATKI

Leontias powrócił na kwaterę krótko przed świtem.

Gurus chrapał w swej alkwie, natomiast Dia obudziła
się natychmiast.

- Gdzie byłeś? - jej czule nozdrza niczym chrapki
młodej sarenki zwietrzyły zmieszany zapach alkoholu z
ciężkimi perfumami Kaliope.

- Prowadzę śledztwo, maleńka - powiedział łagodnie -
a ty śpij.

Łzy zakręciły się w oczach Herrianki. Nie uszło to

uwagi Słowianina. Czyżby małństwo było zazdrosne? -

**pomyślał i cicho westchnął. Jeszcze przed dwoma laty
wyglądało, że nie będzie miał żadnych kłopotów z
wychowanicą. Dia była ślicznym mądrym dzieckiem, a
on pełnił obowiązki jej ojca. Nie skąpił jej pieśczoć i
nawet do głowy mu nie przyszło, że gdy usypiała z
głową na jego piersi, mogła myśleć o nim nie jak o
opiekunie sieroty, ale jak o mężczyźnie życia.**

**Aż pewnego dnia kiedy wszedł do łazienki i ujrzał ją
nagą, rozczesującą wspaniale włosy, raptownie zdał
sobie sprawę, że dziecko dorosło. Nic nie powiedział,
ale zdecydował, że będą spać w osobnych alkowach.**

**Wkrótce, ku jej wielkiemu niezadowoleniu, wysłał ją
do dwuletniej szkoły dla panien.**

**- Nie chcę tam jechać - protestowała. - Ty jesteś
najlepszym nauczycielem na świecie. Wystarczy, że
nauczysz mnie wszystkiego, co sam umiesz.**

- Nie potrafię wszystkiego.

- Daj choć jeden przykład.

- Nie umiem rodzić dzieci!

**Zaczerwieniła się i chwilowo skapitulowała. Nie
zamierzała zrezygnować z Leontiasa, ale postanowiła
rozkochanie go w sobie rozłożyć na raty. Pisywała do
niego listy pozornie poświęcone rozmaitym sprawom,**

ale tak przepojone czułością, że tylko głupiec mógł

składać to na karb pensjonarskiej egzaltacji.

Odpisywał jej sucho, choć wyczerpująco.

Nigdy mnie nie pokocha, nigdy! - płakała nieraz w poduszkę. Nie znaczy jednak, że nie miała poczucia

własnej wartości. Nieraz w ławatarni stała naga

przed lustrem i oglądając swe oblicze pytała: - Chyba

jestem ładna? -Zwierciadło skromnie milczało, ale

koleżanki twierdziły, że jest piękna. A podobny do

centaura Chirona nauczyciel greki komplementował ją

na każdej lekcji. Wreszcie raz, gdy kąpała się w

ogrodowym impluvium, dojrzała, jak częściowo skryty

w krzakach jeden ze starszawych custodów, obnażony

od pasa w dół wpatrywał się w nią wykonując

zadziwiające ruchy wielekroć dłużej niż uzasadniałaby

to potrzeba oddania moczu. Może miał bardzo chory

pęcherz?

Pod koniec sekundatu była już w pełni uświadomiona.

Nie tylko dzięki nudnym zajęciom z biologii. Nastal

okres, w którym koleżanki zwierzały się coraz częściej i

chętniej. Bella miała w mieście kochanka, który w

Dzień Pański podjeżdżał po nią odkrytą dianką i uwoził

do villi na lido, Lukrecja od trzech lat była zaręczona z

młodym wielmożą. Zachowała hymen, ale opowiadała,

iz podczas schadzek pieścili się nawzajem ustami długo i skutecznie. Mała Amelia miała doświadczenia dużo srozsze, od 12 roku życia, zanim wysłano ją do sekundatu, systematycznie chędożył ją własny ojciec, wzbudzając w dziewczynie przerażenie tym większe, że te grzeszne praktyki sprawiały jej przyjemność. Dia, choć nigdy się do tego nie przyznała, zazdrościła Amelii. Nocami śniło jej się, jak Leo pozbawia ją dziewictwa, biorąc ją wśród orelskich kniei, na omszałym kamieniu, jak zwykli ongiś deflorować swe branki herriańscy wojownicy. Ale Sclavus nie przejawiał takich zamiarów. Nie pokazał nawet po sobie, jak wielkie wrażenie wywarła na nim Dia, gdy po rocznej przerwie ujrzał ją dorosłą, cudnie ubraną podczas rozdania wieńców laurowych na koniec nauki...

Kiedy składał jej gratulacje, po raz pierwszy pocałowała go w usta. Cofnął się jak oparzony... I splonął!

- Dia!

- Kocham cię, Leo, i chcę być twoją kobietą -

powiedziała mu do ucha - od dziś.

- Dość - przerwał - bo będę ci musiał dać klapsa.

Jakże marzyła o tym klapsie. A gdyby jeszcze można

było go zamienić na różgi...

No i Leontias miał dylemat. W ciągu dwóch lat oddalenia tęsknił za Herrianką. Zdawał sobie sprawę, że czuje do niej coś więcej niż przywiązanie. Cóż więc stało na przeszkodzie? 20 lat różnicy wieku? Jako cieszący się powodzeniem jurny mężczyzna miewał w czasie swych kampanii i młodsze kochanki. Ale Dia nie mogła być tylko kochanką. Czuł ogrom jej miłości i oczekiwań. Mogła być jedynie żoną. A jednego, czego się naprawdę bał, to perspektywy założenia rodziny. Mimo upływu lat nie otrząsnął się z bólu po utracie najbliższych. Nie chciał nigdy przechodzić czegoś podobnego. Poza tym pragnął być uczciwy. Dia nie znała świata, nie znała innych mężczyzn. Nie dano jej szansy wyboru.

Trochę się mylił. Dziewictwo Dii co najmniej dwukrotnie było w opałach. Pierwszy raz za sprawą profesora greki, który pod koniec sekundatu zapraszał Herriankę na dodatkowe konsultacje. Zachowywał się powściągliwie, czytywał jej liryki Safony z Lesbos i Messunty z Nowej Istrii, lecz któregoś wieczoru, gdy naiwna dziewczyna dała się spoić ciężkim orelskim winem, wstąpił weń diabeł, pozbył się swoich szat, po czym obnażył ją i zaczął pieścić. Była półprzytomna, ale

usiłowała się bronić, choć nie bardzo mogła.

Wstażkami przywiązał ją do łoża. Dysząc ssał

brodawki jej piersi, potem lizał pępek, wreszcie

poszedł niżej, do "królestwa różowej cieśniny", jak pisała Messunta. Jego smoczy jęzor (ewidentnie

starogrecki) wdzierał się w dziewicze rubieże...

Męskość pedagoga była dużo mniej sprawna niż ozór,

dziwnie miękka gięła się na progu rajy... - Nie, nie! -

krzyczała Dia. I wówczas sama natura przyszła jej z

pomocą. Orelskie wino pomieszane z rodziną

niestrawionych ostryg, orzechów i fig zawróciło z

żołądka i kwaśnym wodospadem chlusnęło na

pedagoga zalewając go od stóp do głów. Jednocześnie

Herriance udało się oswobodzić jedną rękę. Porwała

wazon i cisnęła nim w okno. Wypadło z brzękiem...

- Na Jedynego! Cicho, już cicho, ja tylko żartowałem -

bełkotał niedoszły deflator.

Nie zadenuncjowała go, choć może powinna.

Postanowiła na przyszłość być ostrożniejsza. Choć nie

wszystko można przewidzieć. Najlepszego dowodu

dostarczył przypadek Sextusa. Rosły dryblas był

najprzystojniejszym z uczniów Leontiasa.

Podkochiwały się w nim wszystkie dziewczyny i gdyby

nie miłość do opiekuna, Dia powiększyłaby zapewne

grono adoratorek. Sextus miał na nią ochotę od pierwszego dnia po jej powrocie z sekundatu i bardzo drażnił go kompletny brak zainteresowania ze strony puellki. Najpierw usiłował ją zainteresować sobą, potem ukarać.

Jedną z ulubionych zabaw w Orelii była gra w kamyki. Rozpalała ona ducha hazardu, tym bardziej że była niedozwolona. Któregoś popołudnia Sextus namówił paru kolegów i zaproponował, żeby fantami była garderoba. Dia grała nieźle, więc przystała na te warunki nie zdając sobie sprawy, że chłopcy (z wyjątkiem niewtajemniczonego Gurusa) postanowili grać wszyscy przeciw niej. W pół godziny nie pozostało jej nic prócz opaski na biodrach...W oczach bladej ze wstydu Dii kręciły się łzy. I wtedy odezwał się piegowaty grubasek.

- Chłopaki, to nie jest uczciwe.

- Bohater się znalazł - zachichotał Sextus.

Ale okularnik śmiałym ruchem zdjął kurtkę i nakrył nią dziewczynę. Popatrzyła z wdzięcznością. Za takie spojrzenie można oddać życie.

- Nadużyliście jej zaufania, graliście nieuczciwie?

- Nie mieszaj się, lamago, bo oberwiesz! - zagroził prowodyr.

Stojąc naprzeciwko siebie wyglądali groteskowo.

Smukły, muskularny Sextus i Gurus czerwony z emocji, w drucianych okularkach "Buleczka na krzywych nogach". Chłopaki parsknęli śmiechem.

- Sam tego chciałeś. - Już pierwszy dobrze

wprowadzony cios powalił grubaska. Sextus zaśmiał się i zatarł ręce. Gurus jednak wstał. Zasłaniając twarz pięściami ruszył do ataku. I to starcie skończyło się szybko. Krew pociekła z rozbitego nosa Gurusa. Ale

kiedy Sextus odwrócił się w stronę Dii wołając

"Wytrzymaj mu nosek swoją przepaską!", ambitny

okularnik zaatakował bykiem. Dryblas odchylił się

równocześnie podstawiając mu nogę. Gurus runął

twarzą w kolczaste krzaki.

- Może spróbujesz ze mną - Dia nagle wstała,

odrzućwszy włosy w tył, przestała zasłaniać wspaniałe

piersi świeżo narodzonej Wenus. - Zagramy o

wszystko, kto pierwszy padnie, oddaje fanty i spełni

dowolne życzenie! - Śmiało, niczym zagniewana bogini

weszła między chłopaków. Jej oczy miały błyskawice.

Sextus zmieszał się.

- Nie wyglupiaj się, nie walczę z dziewczynami -

zaśmiał się pogardliwie. Cios stopą był precyzyjny i

błyskawiczny. - O rany!!! - Sextus zawył, trzymając się

za jądra padł na ziemię...

Dia nie zwracając na niego uwagi zaczęła się ubierać.

Potem pomogła wstać Gurusowi.

- Chodź, musimy cię opatrzeć.

**Nie miała pojęcia, że ze wszystkich dotychczasowych
zalotników Gurus pragnie jej najmocniej, a w snach
wyczynia z nią rzeczy, które Sextusowi nawet do głowy
by nie przyszły.**

**Odsypiającego nocne trudy Leontiasa obudził fonik z
zajazdu.**

**- Łapserdaki wychodzą z gośtnicy - meldował Gurus od
świtu trwający na stanowisku. - Przyjechał ktoś po nich
żółtym pędnikiem, jadą w stronę Nadrzecza przez
Via... - rzucił okiem na tabliczkę - ...Via Farinaria.**

**Parę zbirów dogonił dopiero w zaułku kilka kroków od
segmentowca Kaliope. Zostawiwszy Flaccusa na czujce
pod arkadą mercatorium naprzeciw frontowych okien
Kaliope, Lucjusz przesadził niski płotek i okrążywszy
segmentowiec ruszył do schodów awaryjnych. Leontias
zgarbił się i utykając ruszył skrajem portyku. Patrzył
pod nogi. Dotarł do Flaccusa pozornie nie zwracając na
niego uwagi i nagle wykonał błyskawiczny atak.**

**Kopniakiem wytrącił broń z ręki ukrytej w faldach
chlajny i przydeptał króciaka stopą. Równoczesny cios**

pięścią pozbawił siccarą oddechu. Następne uderzenie kantem dłoni odebrało mu przytomność. Słowianin pchnął nieprzytomnego między skrzynki z zieleniną i obiegł dom. Cubiculum Kaliope znajdowało się na pierwszym piętrze. Najemnik właśnie zewnętrznymi schodami dotarł do kuchennej lodżii, kiedy z uchylonych drzwi rozległ się strzał z pneumatyka.

Lucjusz zatrzymał się. Drugi strzał! Ciało przechyliło się przez barierkę i uderzyło w murawę...

Leontias nie tracił czasu. Dobiegł do ślepej ściany segmentowca. Ocenił wytrzymałość żardyniery, po której pięły się rdzawe róże ekumeńskie, podskoczył, rusztowanie ugięło się, ale wytrzymało. Z małpią zręcznością wspiął się na gzyms, ominąwszy narożnik wskoczył na mianę apartamentu. Tam odbezpieczył króciaka. Drzwi z miany były na szczęście uchylone.

Pchnął je kopniakiem i koziolkując wpadł do salonu.

Dzięki nocnej wizycie znał doskonale rozkład lokalu.

Dwóch mężczyzn nie spodziewało się ataku od tej strony, ich uwaga koncentrowała się na schodach głównych i wejściu awaryjnym.

- Rzućcie broń - huknął za ich plecami. Spotkał się ze zróżnicowanym odzewem. Drobniejszy z intruzów, z włosami uczesanymi w trzyróg odwrócił się raptownie

unosząc wielkokalibrowca. Strzał z króciaka rozrzucił

nieciekawą treść żołądka trynitatysty na przyzmy

książek. Drugi "Wściekły" okazał się rozsądniejszy.

Wolno opuścił broń i podniósł ręce.

Po komendzie "Odwróć się!" bez wahania wykonał

polecenie. Ukazała się szczupła twarz o słabym

zaroście i palającym wzroku. Leo znalazł ją z

menscomptera.

- Niech będzie pochwalona Święta Trójca, wielebny

Januario - powiedział. - Kaliope, sporo mi o tobie... -

Urwał i popatrzył w stronę alkowy. Spod zasuniętej

kotary wypływała leniwie ciemnoczerwona struga.

- Zdradziła Wiarę, musiała umrzeć - stwierdził

Januario beznamyślnie, jakby chodziło o działanie

matematyczne.

- A tamten? - gestem wskazał ciało Lucjusza pod

domem. - Czemu?...

- Niewłaściwy człowiek znalazł się w niewłaściwym

czasie w niewłaściwym miejscu - odparł i uprzedzając

dalsze pytania dorzucił: - Nie znam gościa. Szczerze

mówiąc, myślałem, że to ty.

- Kaliope cię wezwała?

- Dobrze kombinujesz. Napędziłeś jej niezłego stracha.

A tak przy okazji, czy mógłbym opuścić ręce, zaczynają

**mnie już mrowić palce? Zanim mnie zwiniesz,
przypominając mi naturalnie o moich prawach,
chciałbym porozumieć się z moim jurystą.**

**- Nie jestem gliną - wyjaśnił Sclavus. - Ustanawiam
własne prawa i jak trzeba, stosuję tryb doraźny.**

**- Samotny rycerz - skrzywił się trynitatysta. - To samo
gadała o tobie Kaliope. Nawet kłamczuchy czasem
mówią prawdę. Co chcesz ze mną zrobić?**

- Nic, jeśli otrzymam odpowiednie informacje.

- A jeśli nie?

**- Będzie mniej o jednego wielebnego lajdaka na tym
grzesznym świecie.**

- Pytaj zatem.

- Dlaczego zginął Narens?

**- Nie mam pojęcia, panie ciekawski! Jak babcię
kocham! Powiem więcej. Orientuję się, za czym
węszysz. Ta dziwka zrelacjonowała mi dość wiernie
waszą rozmowę. Idziesz złym tropem. Jaki mielibyśmy
interes likwidować chłopaka? Narens był u nas nowy,
nie znał nikogo poza mną, zero wtajemniczenia...**

Mówię ci, zmywajmy się, zanim wpadną tu vigilanci.

**- Na twoim miejscu nalegałbym na przedłużenie
rozmowy. Póki gadamy, żyjesz. Załóżmy, że ci wierzę,
powiedz tylko, rozmawiałeś z kimś jeszcze po foniku**

Kaliope?

- Tylko z nim - kiwnięciem głowy wskazał zabitego kolegę. - I powtarzam ci, źle szukasz. Nie mieliśmy najmniejszego powodu likwidować Narensa, zresztą jak? Kogo z naszych wpuszczono by do hostelu? Pomyśl o tym gościu z ulicy, jego obecność wskazuje, że ta dziwka zadzwoniła jeszcze do kogoś...

Nie spuszczać oczu z zabójcy Leontias wziął fonik i nacisnął wtórnik. Głucha cisza. Januario popatrzył na swój aparat niemo wiszący przy pasku. Jego oczy zdawały się mówić, "a widzisz...". Nie ulegało wątpliwości, Kaliope po rozmowie z Januarem zadzwoniła na jakiś numer z autokasowaczem wykluczającym ponowne połączenie - takie numery miało tylko FOI i parę utajnionych officjów.

- Nie domyślasz się, dlaczego Narens tak bardzo chciał uczestniczyć w akcji na hostel? - Słowianin kontynuował przesłuchanie. - Dlaczego oddał się w ręce sekurytów? Chciał przekazać nam coś, o czym się dowiedział? Co?

- Jeśli czegoś się dowiedział, to nie od nas - mruknął trynitatysta i naraz zmarszczył czoło. - Czekaj, Kaliope wspominała, że na parę dni przed naszą akcją vigilanci zwinęli Narka na dobę, siedział w Nadrzecznym

Komisariacie. Może tam coś skumał.. Wrócił trochę dziwny.

- Szkoda, że tak pośpieszyłeś się z dziewczyną, mogła wiedzieć więcej - mruknął Leo.

- To kwestia zasad i dyscypliny - Januario wrócił do pierwotnego tonu. - Rewolucja wymaga ofiar. Możesz mnie zabić. Po mnie przyjdą inni.

- Zostawię cię vigilantom, może któregoś nawrócisz... - powiedział Słowianin i urwał. Skrzypienie drewnianych schodów wskazywało, że ktoś jeszcze zmierza do apartamentu Kaliope.

Nakazując gestem Januariowi mówienie dalej

Leontias przylgnął plecami do ściany obok drzwi. Te, pchnięte gwałtownie, otworzyły się i do środka z wycelowaną bronią wkroczył oprzytomniały Flaccus.

Słowianin zaatakował go od tyłu i ciosem w kark z powrotem posłał w nirwanę. Moment wykorzystał

Januario. Jednym skokiem dopadł okna, przesadził

balkon, jakimś cudem wylądował jak żaba na czterech podgiętych kończynach i puścił się ku furtce.

- Stać, tu vigilantanci - rozległo się z głośnika. -

Trynitatysta nie zatrzymał się, tylko sięgnął po broń.

Niezwłocznie skosiły go serie vigilantanckich automatów.

Sclavus nie czekał dłużej. Pozostawiając

nieprzytomnego siccaro opuścił cenaculę włazem strychowym. Nie zmierzał uciekać dachami, wiedział, że cały quartal musi być otoczony. Mógł jedynie próbować przeczekać. W pralni natrafił na olbrzymią pralkę wirową wypełnioną do połowy bielizną. Leo wlaź do środka i nakrył się wilgotnymi ciuchami. Miał nadzieję, że nikt z lokatorów nie wpadnie na pomysł włączenia prania lub odwirowania.

IX KRAJ LAT DZIECINNYCH

Najwcześniejsze wspomnienia Gursora przypominają kompozycję światła i zapachów. Rozsłoneczniony ogród położony na skraju miasteczka, sklepik, w którym obok czekoladopodobnych krążków wydawanych na kartki staruszka ekspedientka częstowała go karmelkami, to wreszcie poczucie bezpieczeństwa i wzajemnej życzliwości, ojciec, matka, dziadek. Czy ktoś od zawsze zamieszkujący klatkę wie o tym, że żyje w klatce? Nim poszedł do szkoły, nie wiedział nawet, że jest synem zniewolonego narodu. A i potem nie powinien się tego domyślać. Wedle tego, co mówiły obraźniki, koine ekumeńska miała być przecież matką wszystkich narodów: Greków, Wenedów, Herrian i Bosporańczyków.

A przecież jak długo mógł nie zauważyć, że ludzie

znikali? Jednego wieczora jeszcze pili i śpiewali w ogródku, a następnego ranka mógł zobaczyć za płotem zupełnie nowych sąsiadów. Którejś nocy, miał wtedy już 10 lat, z domu naprzeciwko posłyszał krzyk straszny i ciche strzały z broni pneumatycznej. Przez szczelinę w żaluzji widział, jak do czarnego pędnika wrzucano podłużne worki.

- Co się stało z państwem Glaukonami? - spytał nazajutrz babci.

- Wyjechali - odpowiadała staruszka, ale dziwny śmieszny tik poruszał jej pomarszczoną twarz.

- Nie wiesz, co im robią? - zaśmiał się zapytany starszy chłopak z sąsiedztwa, Zeno syn Zenosa podefora z Szarej Straży, który jako jedyny z całej ulicy chępnym się zaciem zakazanej ginny. - Czyszczą...! Co, nigdy nie widziałeś, jak się tępi robactwo?

Gurus był wstrząśnięty. Znał dobrze aptekarza Glaukona, jego żonę Aspazję, a starsza z córek bardzo mu się podobała. W niczym nie przypominali insektów. Ta kwestia nie dawała mu spokoju, poszedł więc z nią do ojca... Ów śmiertelnie przeraził się pytaniem.

- Twój kolega żartował - mówił jękając się. - Państwo Glaukonowie zostali zatrzymani do wyjaśnienia w związku z podejrzeniem, że sprzedawali trucizny...

Do matki wolał się nie zwracać, wiecznie zapracowana i przemęczona (miał czwórkę rodzeństwa), oddana wyłącznie rodzinie, zdawała się nie zauważać świata zewnętrznego. Lepiej rozmawiało się z dziadkiem.

Stary marynarz znał mnóstwo zabawnych historii. I poziomem odwagi różnił się od swego zięcia. Owszem, zalecał ostrożność wobec obcych, ale zarazem unikał płaszczenia się przed władzą. Ani on, ani babcia nie chodzili do świątyni Arymana, a przeciwnie - palili w domu świeczki przed starą ikoną Matki Syna.

Wieczorami lubił opowiadać o dawnych czasach, kiedy Wenedia była jeszcze samodzielnym krajem wolnych żeglarzy i rzemieślników. Nie chciał mówić, w jaki sposób tamten złoty czas minął. - Kiedyś się dowiesz - obiecywał.

Pewnego dnia zamknięto sklepik na rogu, a niewidzialna ręka wymalowała na jego ścianie napis "śmierć spekulantom". Gurus w żaden sposób nie mógł wyobrazić sobie staruszki częstującej go cukierkami jako krwiożerczej spekulantki...

- Miała syna zdrajcę - poinformował go Zeno, syn Zenosa. - Wykryli siatkę w diecezjalnym strategiacie, działali na rzecz Archipelagu. Zbrodnicza hołota!

Gurusowi trudno było zrozumieć, dlaczego wina syna

obciążyla matkę. Naraz zaczął się bać o swoją rodzinę.

Jego strach nie uszedł uwadze Zena.

- Nie bój nic, wam nic nie grozi...

Długo nie wiedział dlaczego. Aż pewnego dnia jakaś dziewczyna w kłótni rzuciła mu w twarz: "Ty synu kapusia". I wtedy dotarło do niego. Zrozumiał, czemu jego ojciec nie ma przyjaciół, czemu, gdy wchodzi do taverny, cichną rozmowy, skąd się biorą wyższe niż u innych przydziały kartkowe. Czemu co dwa lata jeżdżą nad morze, a jego rodzice, mimo że z pochodzenia Wenedzi, są zapraszani na bale doroczne pod Portyk Arymana... Pharo Polinejkos był zawodowym delatorem!!! Gurus strasznie przeżył to odkrycie, chciał się nawet zabić. Tyle że wybrał śmierć głodową. Po paru godzinach zapłakanego na stryszku odnalazł dziadek. Długo nie mógł chłopca uspokoić. Wreszcie zapytał:

- Czy myślisz, że ludzie dobrowolnie wybierają sobie rolę? Twój tata znalazł się kiedyś w sytuacji bez wyjścia. Jak dorośniesz, sam ci powie. Mógł zginąć, narazić was wszystkich albo... Więc wziął ten krzyż. I idzie. Dla was. Dla nas.

Przez cały rok Gurus żył z tym cierniem w sercu. Całą energię poświęcił nauce. A raz w tygodniu wraz z

dziadkiem palił świeczki przed ikoną Matki Syna i modlił się.

Jeśli Pharo ludził się, że może ujść swemu przeznaczeniu, grubo się pomylił. Zimą 1500 roku wkrótce po śmierci babci Ananke weszła i w jego progi.

Gurus obudził się w środku nocy. Zdziwiły go podniesione głosy dochodzące z piwnicy. Siostry spały.

Starszych nie było. Ostrożnie zszedł po glinianych schodach. Klócono się ostro. Najdziwniejsze, że dziadek w sporze tworzył wspólny front z matką.

- Na co wy mnie namawiacie - mówił Pharo jękając się, prawie płacząc. - Chcę tylko was ocalić.

- Nie jestem pewny, czy ocalisz - kontrował dziadek. -

Jeśli żądają pełnych list Wenedów, znaczy planują deportacje, jak w osiemdziesiątym pierwszym. Całe

Lusticum wylądowało wtedy na lądolodzie Hiperborei,

mnie jakoś to ominęło, służyłem na morzu, ale nigdy

nie próbowałem wracać w rodzinne strony. Pamiętaj,

Pharo. Zrobisz brudną robotę, to wyślą cię ostatnim

transportem. Nie znasz ich?

- O Panno Mario - jęknęła matka, którą zawsze uważał

za zagorzałą sarymanistkę. - Co więc robić?!

- Uciekać. Mamy rodzinną przepustkę upoważniającą

do wyjazdu nad morze. Zdobęde świeży stempel.

- I co dalej, wpław na Archipelag? - pytał ojciec.

- Przed laty sam szykowałem się do takiej wyprawy. W jaskini mam ukrytą łódź. Wykorzystując zimowe prądy mamy pewne szanse dotarcia na wyspy...

- Sądzisz, tato, że nikt nie znalazł przez ćwierć wieku tej łodzi - wahała się matka.

- Nie zawadzi sprawdzić, Kseniu. Wyjedziemy legalnie, nie uda się, równie legalnie wrócimy.

- Ale moje zadanie? - jęknął ojciec. - Listy mają być gotowe za trzy dni. Nie dadzą zgody na wyjazd.

- Zawierz świętemu bałaganowi, który nie oszczędza nawet Szarej Straży, inny eforat decyduje o podróżach, inny o deportacjach.

- Zabiją nas.

I wtedy dziadek powiedział zdanie, którego Gurus

Pharonikos nigdy nie zapomni: "Są rzeczy dużo gorsze

od śmierci, kochani". Struchlały, zastanawiał się, jakie to rzeczy. I czy w związku z tym powinien modlić się do

Jedynego, Dziewicy Marii czy do Szatana?

Cóż mogło urodzić się ze strzępków różnych wiar i kultur przywiezionych przez transferowców?

Migrowały przecież wspomnienia, a nie święte księgi.

Te odtworzono dopiero w "Jednej Ewangelii" i

"Skróconym Testamencie". W okresie wczesnym dość

swobodnie mieszały się pierwociny chrześcijaństwa -
we wszystkich możliwych odmianach - ze szczątkami
politeizmu Rzymu i Grecji. Pojawił się i szybko
obumarł kult Izidy i Wielkiej Macierzy Bogów,
mitraizm i druidyzm. Na niżu ekumeńskim trochę
dłużej krzewił się zoroastryzm.

Jeśli ostatecznie na Archipelagu wiara w Jedyne
stała się motorem ludzkiej aktywności, bowiem w życiu
doczesnym szukano potwierdzenia niebieskich planów
wobec człowieka, w Ekumenie zrazu dominował
chrześcijański mistycyzm, z Bogiem rodem bardziej ze
Starego niż Nowego Testamentu. Fatalizm i rozwinięta
apokaliptyka okazała się bliższa sercom tamtejszych
chrześcijan. Tamże, w centralnych prowincjach, już w
VII wieku nastąpiło zaskakujące utożsamienie Boga
Ojca z perskim Ormuzdem, Szatanowi przypadła
niewdzięczna rola Arymana.

W VIII wieku myśliciele ekumeńscy spisali zasady
manichejskiego dualizmu. Świat realny był, ich
zdaniem, równorzędną sumą Dobra i Zła, zbiorową
kreacją Boga i Szatana. Ponieważ ich siły uznano za
wyrównane, człowiek został sprowadzony do roli
bezwolnej kostki w grze potęg. Mógł jedynie czekać na
wynik gigantycznej rozgrywki. Czyż zresztą sam exodus

z Ziemi nie stanowił potwierdzenia tezy o igraszkach

Mocy z człowiekiem zabawką?

Nieśmiałe próby dowartościowania ludzi

podejmowane w XI wieku przez humanistycznie

nastawionych mnichów z góry Taphos zostały

zdlawione podczas kampanii monachoklastów.

Oczywiście, oficjalnym kultem otaczano Pana Dobra.

Wobec Szatana jednak nie ukrywano objawów

szacunku. Aryman był istotą podłą, ale wpływową,

toteż pod podłogą każdej świątyni istniała mała krypta

dla antyofiar, gdzie każdy mógł diabłu zapalić ogarek i

pochwalić się złymi uczynkami. Z czasem

interpretatorzy nawet śmierć Chrystusa poczęli

przedstawiać nie jako dobrowolne odkupienie, lecz

sukces Arymana, pragnącego przeszkodzić w realizacji

Galaktycznego Królestwa. Zali fakt, że aż trzy dni

potrzebował Bóg na reanimację Syna, nie dowodził siły

Władcy Ciemności?

Nie nastrajało to ekumeńczyków optymistycznie. Jakże

ludzkie życie nie miało być koszmarem, jeśli nie można

było wykluczyć, iż u kresu Czasu na Sądzie

Ostatecznym przewagę może zyskać Szatan?

Satanizm nie jest w dziejach kultur zjawiskiem

rzadkim. Atoli sekta uformowana w górzystej Nikei

dość radykalnie różniła się od innych mrocznych kultów. W pierwszej połowie XIV wieku prorok Lizander Nikejski sformułował teorię Wielkiej Uzurpacji. Szatan Aryman nie stanowił wedle niej wcale kwintesencji Zła, był przedwiecznym Dobrem, tyle że wyzutyk z należnych mu praw przez Ormuzda. Biblię uznano dziełem zmanipulowanym. Naprawdę to Czarny stworzył wszechświat, a Biały odegrał w tym dziele jedynie rolę asystenta. I mimo pozorów dobroci Biały Partner był w istocie zgorzkniałym, zawistnym, chciwym pochlebstw starcem. Czarny, który stworzył mężczyznę, a na pewno kobietę, chciał obdarzyć ludzi nieśmiertelnością i wszechwiedzą, Biały wygnał ich z raj. Zadbał też, mimo walki Czarnego o dostęp człowieka do wiedzy absolutnej, o zagwarantowanie sobie monopolu informacyjnego (drzewo wiadomości Dobrego i Złego to pierwszy biocomputer encyklopedyczny). Aryman stworzył również pierwsze miasto dobrobytu, libertyńską Sodomę. Niestety, pruderyjny Ormuzd utopił ją w morzu ognia i siarki... Słowem: Czarny tworzył i wyzwał, Biały psuł i niewolił. Czymże bowiem było osławione Dziesięć Przykazań, jak nie pierwszym pozbawieniem człowieka wolności? Tak zwane Księgi Święte - twierdzili

arymaniści - zatarły wiele szczegółów dotyczących
ormuzdowego "zamachu stanu". Nadużywając ufności
partnera za pomocą nastawionych konformistycznie
demonów niższego rzędu, tzw. aniołów, Biały przejął
władze nad Kosmosem i obwołał się Panem wszelkiego
stworzenia. Jednocześnie przywłaszczył sobie wszelkie
dokonania Czarnego. Poszło mu tym łatwiej, że
wcześniejszymi manipulacjami genetycznymi nadał
ludziom kształty nie boskie, lecz małpie, ergo rogata,
koźlonoga sylwetka Arymana poczęła napawać ich
odrazą.

Zdaniem Lizandra transfer Wybranych na arkadyjską
Inną był pomysłem Arymana, który tam miał stworzyć
przyczółek Wielkiej Zmiany, dlatego akcję
przeprowadził anonimowo, a Ormuzd nie mógł jej do
końca kontrolować. Decydujący bój miał się rozpocząć
"gdy 666 dwakroć przeminie". Prosty rachunek
wskazywał na rok 1332 (arymanistom nie
przeszkadzało, że chronologia opierała się na dacie
narodzin Chrystusa). W każdym razie w dniu
perihelium, gdy słońce świeci najslabiej, spadł mrok
na wróża. Zaniewidział, jego oczy pokryły się czarnym
bielmem, ale otwarły się przed nim wrota prawdziwego
- arymanowego - świata wiecznego dobroczynnego

ognia. Nie ma dowodów historycznych na to zdarzenie, nie wiadomo nawet, czy Lizander istniał, czy też "6 czarnych ksiąg" jest kompilacją wielu wcześniejszych prac. Kultury satanistyczne istniały znacznie wcześniej, zaś sformalizowane komórki arymanistów pojawiły się dopiero w ćwierć wieku później.

A potem znalazł się Lizander II, lekarz, trochę mag, niektórzy utrzymują, że współpracownik tajnej policji. Nadał on arymanizmowi wymiar społeczny. Panowanie Ormuzda nazywał łańcuchem krzywd, kłamstw i wyzysku. Zwrócenie się do Arymana miało przynieść równość i wyzwolenie człowieka z niewoli ducha oraz pieniądza. Wizja ta pociągnęła intelektualistów i nędzarzy. Doskonale wykorzystywała bowiem ułomność natury ludzkiej, w której zawiść bywa silniejsza od solidarności.

Ekumena nie była krajem demokratycznym, toteż basileusowie będący zwierzchnikami Kościoła nie chcieli konkurenta Szatana. Lizander II po ledwie paru latach działalności został pojmany. Dowodów przestępczej działalności było aż nadto: herezja, opór wobec władzy, składanie ofiar z ludzi...

Egzekucję wyznaczono na 13 śniegula 1421 roku.

Ściągnęła ona blisko milion gapiów na Agorę Nikejską.

Po nieurodzajnym lecie i przegranych bojach na
froncie wandalijskim władca postawił na igrzyska.

Zachowało się wiele relacji z przebiegu ówczesnych
wypadków.

Tak opisał zdarzenie "Raport Anonima", który po
jakimś czasie ujrzał światło dzienne w prasie

Archipelagiańskiej:

Usadowiony na szczycie dziewięcioramiennego
kandelabra, miałem pod sobą morze głów, żywiol
wzburzony, nieobliczalny... Niczym białe bałwany
połyskiwały kapelusze kapłanów lub zieleniły się wyspy
mnisich zawojów. Agora Nikejska ma kształt
nieregularnego rombu. Od południa zamknięta
kaskadą Starych Pałaców z czerwonej cegły, z
pozostałych stron obramowana jest przez nowsze
insule czynszowe. W onym dniu nie brakowało tam
nikogo. Siwowłosi starcy mieszały się z dziatwą
szkolną, chlamidy arystokratów czerwieniły się jak
heliony wśród szarych chitonów demosu.

- Przypuszczales kiedykolwiek, że będziesz świadkiem
równie barbarzyńskiego widowiska?- zakrzyknął do
mnie Vito, reporter popołudniówki florentyńskiej,
uczepiony sąsiedniego ramienia ogromnego
kandelabra.

- Obawiam się, że nadając rozgłos egzekucji
niepotrzebnie stwarzają szatańskiego męczennika.

- Nie znasz Greków? To są duże, trochę zapóźnione
dzieci. Kochają takie igrzyska. Podobno już rozeszła się
plotka, że Aryman przybędzie osobiście uratować
swego emisariusza...

Rozległy się trombule i zaległa cisza - tak głęboka, że m
słyszeć mógł bębniące po wyniosłym pomoście kroki
skazańca i jego oprawców. Kilka kobiet osunęło się
zemdlonych. Lizander II już z samego wyglądu
przypominał Księcia Piekiel. Niski, garbaty, z
haczykowatym nosem, był jak maskary ze starej
bazyliki w Appolonii... Gdy rozglądał się wokół, ludzie
zasłaniali twarze. Jego palające oczy miały ponoć
straszliwą moc. Wierzano, że nawet mleko zsiadało się
w piersiach karmiących matek...

Spojrzenia nasze skrzyżowały się. Na moment uczulem
dojmujący chłód, docierający lodowatą klingą aż do
dwunastnicy. Gdyby nie zapobiegliwość, która kazała
przypiąć mi się pasami do kandelabra, mógłbym spaść
w tłum. Niebo onego ranka było przeraźliwie
niebieskie, bezchmurne. Odległa tarcza słoneczna
oświetlała miasto bez żaru.

Patrząc przez okuloskop widziałem, iż skazaniec

zachowywał się z godnością. Nie stawiał oporu. Wszedł na szafot krokiem człowieka absolutnie przekonanego o słuszności sprawy. Może spodziewał się łaski. Uniósł pięści wygrażając tłumowi, który zawył, potem rozgiął szponiaste palce i skierował je ku dołowi, jakby chcąc dobyć z głębin swego antyBoga...

Pierwszy wstrząs ledwie odczuliśmy. Nastąpiło krótkie stęknienie skorupy, tłum zakolysał się, była to jednak pierwsza fala. Za nią szły następne i następne, wyżej, mocniej, gwałtowniej. Nastąpiło pandemonium.

Kandelabr giął się jak trzcina miotana cyklonem. Moi sąsiedzi spadali na podobieństwo oliwek strącanych orkanem... A cóż działo się z tłumem? Wszyscy padli twarzami na bruk. Jednak cała powierzchnia nie tylko dygotała, jęły otwierać się w niej rozpadliny, więc gdy jedni chcieli przetrwać przytuleni do Matki Ziemi, drudzy tratowali ich próbując ujść jak najdalej. Z głuchym hukiem pękło wzgórze pałacowe, a powstała przepaść pochłonęła Monastyr Świętej Trójcy. Czekaając śmierci widziałem stuletnie insule rozsypujące się w pył jak zamki z piasku i rozpadającą się niczym makówkę kopułę świątyni pod wezwaniem Przeworności Pana. A potem wyrznięwszy łbem w jakiś wspornik straciłem przytomność.

Kiedy świadomość wróciła, niebo zasnuwały dymy.

Nadal wisiałem w mej uprzęży z pasów. Na

opustoszałym placu jak okiem sięgnąć leżały zwłoki

potratowanych. Czasem spod stosu ciał dolatywał jęk

lub przekleństwo. Wśród ruin krzatali się nieliczni

hoplici poszukujący żywych. Z rusztowania zostały

resztki. Martwy kat leżał z rękami zaciśniętymi wokół

topora i głową roztrzaskaną jakąś belką. Poszukałem

ciała Lizandra. Nie znalazłem. Dotarłem do skraju

ruin. Ze Starego Pałacu pozostały tylko pylony i brama

helleńska. W bocznej uliczce grupka holoty plądrowała

ocalałe mercatoria i składy.

I wydawało mi się, iż słyszę ponad ową agorą śmierci

tryumfujący chichot Szatana...

Trzęsienia ziemi nie należały w nomie nikejskim do

rzadkości. Polis leżała w pobliżu wielkiego

tektonicznego uskoku, okolica obfitowała w wulkany, a

w późniejszych czasach sejsmolodzy na podstawie

tablic tektonicznych dowiedli, że

prawdopodobieństwo wstrząsu tamtej zimy było więcej

niż duże. Sam diabeł jednak nie mógł wybrać lepszego

momentu. Wstrząs ziemi uruchomił serię wstrząsów

społecznych prowadzących do rozkładu

dotychczasowych zerodowanych więzi. Głód, wojna i

zdemobilizowane żoldactwo dokonały reszty.

**Wprawdzie Lizander II przepadł, tak jakby go ziemia
pochłonęła, ale jego wyznawcy otrzymali
niepodważalny dowód, że Aryman jest gotów śpieszyć
im z pomocą. Toteż początkowo nieliczna organizacja
poczęła się plenić szybciej niż szczurostekowce.**

**W dekadę po trzęsieniu głodowy bunt zmiotł
ostatniego basileusa. Władza po kilku kolejnych
przewrotach znalazła się na ulicy. Znaleźli się chętni,
którzy zdołali ją podnieść "W imię Prawdziwego Boga -
Szatana Dobroczyńcy Ucieleśnionej Sprawiedliwości".**

**Rewolta 1432 roku ogarnęła cały kontynent pogrążając
go w chaosie. Próżno doradcy Navigatora Orestiona
nalegali na interwencję. Próżno emigranci wenedyjscy,
którzy znali naturę Ekumeny, przestrzegali przed
imperium Zła. Przywódca Archipelagu wierzył, że sam
lud Ekumeny zdecyduje o sobie i wnet nastanie tam era
powszechnej szczęśliwości.**

**Jakże się mylił. Niczym robactwo po łagodnej zimie
wszędzie wyłoniły się ekspozytury tajnej organizacji.
Głosiły one syrenie obietnice równości, braterstwa,
dobrobytu. Chodziło o jedno - o władzę. Satanissmus
Nurites, a potem Periander odkryli dużo wcześniej, że
zorganizowana bezwzględna mniejszość poradzi sobie**

łacno ze zdezorientowaną większością. Grożąc znową Wandalii i Federacji uwiodła lud Ekumeny. Niektórzy mówią -nieszczęsny. Leontias uważał jednak, że nikt nie może zdjąć z ludu odpowiedzialności za szaleństwa jego tyranów. A Ekumeńczycy od zawsze przywykli do bicia spadającego na ich tyłki. Tym razem komfort polegał na tym, iż wmówiono im, że biczą się sami. Arymaniści nie ujawnili od razu swych totalitarnych zakusów. Skryli się za maską dobra ogółu, oficjalnie rozdzielili kult od życia prywatnego. Czas jakiś nadal działały więc stare świątynie i sądy. Nawet Wenedia cieszyła się pozorami autonomii. Realny był jedynie strach skrywający się za kamiennymi fasadami komendantur Szarej Straży. Kamiennymi jak twarze hierarchów. Ludowi pozostawała niepewność, nieufność i życie na pokaz. Albowiem Arymanowi nie wystarczała sama władza dzierzona przez hierarchat za pomocą Szarej Straży i milionów konfidentów. On żądał bezwzględnej entuzjastycznej miłości.

Z pamiętnika Gurusa

4 zmieńca AD 1500. Jedziemy nad morze. Dziewczyny piszczą zachwycone. Jedyne Dafne, moja siostra, jest smutna. Nie rozumie, dlaczego wyjeżdżamy tak nagle i czemu nie może powiedzieć o tym nikomu, nawet

swemu chłopakowi. Ma 16 lat i od miesiąca chodzi z

Zenem. Chciała się nawet wymknąć z domu, ale ją przyłapałem i cofnąłem.

Szynowiec odchodził tuż przed północą. Był strasznie zatłoczony, bałem się, że nas nie wpuszczą, ale ojciec pogadał z mundurowym i dostaliśmy cały cubik.

Paskudnie tu śmierdzi i chyba łażą robale, nie mogę spać. Czarna noc. Przelatujemy przez uśpione miasteczka, mosty nad rzekami. Dwa razy sprawdzano nam dokumenty. Ojciec dał każdemu z "szarych" po gąsiorze wina, więc nawet nie grzebali w rzeczach...

5 zmieńca. O świcie minęliśmy Wielką Przełęcz.

Dziewczyny spały, i dobrze, bo mijaliśmy dziwny transport. Usłyszałem, że zwalniamy, i zrobiłem szparę w zasłonie. To wbrew przepisom. Ale za to zobaczyłem.

Bydłęce prostopadłościanny i ludzi wokół nich załatwiających swe potrzeby w rowie pod strażą mężczyzn z repetoramami. Więźniowie byli podobni do mnie, rudawi... Wenedzi! Gdzie ich wiozą? Dlaczego?

6 zmieńca. Spałem aż do południa. Naraz wokół nas zrobiło się ciepło i jasno. Podnieśliśmy zasłony. Widać brzeg morza, fale łamiące się na skałach, na stokach pałacyki i hostele...Wysiadamy. Dostajemy pokój w "Pallas Atenie", dziadek idzie odszukać znajomego

rybaka, chce wypłynąć z nim niby na połów, by
sprawdzić, czy nikt nie odkrył łodzi. Muszą wypłynąć
jeszcze dziś, bo na jutro zapowiadane jest pogorszenie
pogody. Dziadek mówi, że to dobrze. Wróciwszy
opowiada, że nikt nie odkrył ukrytego wejścia do
jaskini z łodzią.

Ósmego. Sztorm rozszalał się na dobre. Zamknięto
kąpieliska i zniknęły łodzie patrolowe, do tej pory cały
czas krążące wzdłuż wybrzeża.

- To czyste szaleństwo - przekonywała mama. - Jeśli
nas nie zastrzelą, zostaniemy zatopieni.

- Bywałem w gorszych opalach - odpowiadał dziadek. -
orkan nam sprzyja. Wiatr wyniesie nas na skraj prądu,
a potem pomkniemy jak na saniach wiatrowych...

Dziewczynom powiedzieli, że idziemy na nocną
wycieczkę... Dafne chyba coś podejrzewała, bo znów
zaczęła protestować, ale tato zagroził jej, że oberwie,
więc ucichła. Mżyło. Jako nocni spacerowicze
mogliśmy wyglądać podejrzanie. Z drugiej strony w
taką pogodę nawet pies niechętnie fatygował się za
próg.

Idąc drogą wzdłuż morza ledwie dwa razy
dostrzeżliśmy światła pędnika, dziadek kazał wówczas
chować się nam w krzakach. Mówił, że to zabawa, ale

**dziewczyny nie uwierzyły i zaczęły płakać. Więc
powiedzieliśmy im prawdę. "Uciekamy, bo jesteśmy
Wenedami. Narodem nie kochanym przez Arymana.
Wiecznym buntownikiem. Jeśli zostaniemy, czeka nas
wywózka na łądolód".**

**- To bzdura, mówicie jak wrogowie, dziadek was
otumanił - wołała Dafne. - Kiedy wyjdę za Zena, nikt
nie tknie was nawet palcem. Zostaję. Nie zmusicie
mnie. Uuu!**

**Trzasnął policzek wymierzony przez dziadka. Poszła za
nami pochlipując. Trzy mniejsze dziewczynki
maszerowały cichutko.**

**Dwie mille za miastem okolica zrobiła się dzika,
niezamieszkana. Dziadek uważnie przyglądał się
drzewom i kamieniom i w pewnym momencie nakazał
skręcić. Zielska były wysokie po pas, kłudy i parzyły. Po
kilkudziesięciu krokach drogę przeciął pas zasieków ze
sztucznych cierni. Przestraszyłem się.**

**- Spokojnie - powiedział dziadek. - Druty nie są pod
napięciem, to szmelc. Poza tym mamy nożyce do
metal.**

**Huk przyboju stawał się coraz bliższy. Wyszliśmy na
ścieżkę idącą koroną skał. Podobno nie byliśmy daleko
celu. Naraz z oddali błysnęło światelko. Patrol.**

Przyłgnęliśmy ciałami do skał. Tata na wszelki wypadek położył dłoń na ustach Dafne... Nie pisnęła. Afegastów było dwóch, szli niedbale świecąc dookoła. Żuli ginę i chyba opowiadali sobie tłuste kawały, bo co rusz wybuchali śmiechem. Gdy nas minęli, dziadek wskazał naturalne stopnie prowadzące ku wodzie... - Nigdy po tym nie zejść - powiedziała mama. - Takie to śliskie...

- Nie przesadzaj, kamień jest porowaty. Poza tym mamy linę, ja pójdę pierwszy, zejść na sam dół i będę was asekurował. Gurus drugi...

Tak nas te przygotowania zaaferowały, że jasny snop światła w oczy i gardłowy głos: "Stać, ręce do góry!", były kompletnym zaskoczeniem. Afegaści ze straży przybrzeżnej zgasiwszy światła powrócili.

Mama i dziewczyny wybuchnęły płaczem, ojciec zaniemówił, nie stracił tylko rezonu dziadek znajdujący się już poniżej nas na półce skalnej... - Będziesz musiał zejść tu po mnie, łajdaku - zawołał. Afegasta zaskoczony taką bezczelnością wychylił się poza krawędź. Rozległ się krótki charkot i jego ciało runęło w dół z nożem wbitym w krtań. Dziadek okazał się naprawdę niezły... W tym momencie tato zaatakował drugiego z funkcjonariuszy - chwycił za

jego broń. Szamotali się, upadli na ziemię...

Chwyciłem kamień, ale bałem się trafić ojca. Rozległ się strzał... Jeden z walczących wstał na nogi. Afegasta repetował pneumatyka.

- Już po tobie, dywersancie - sapał.

Świsnął pneumatyczny pocisk. Mężczyzna zachwiał się i runął twarzą na skały.

Dziadek jak młodzieniaszek wyjrzał zza skały trzymając zdobyczną broń.

- Pharo, co z tobą, synu... Oberwaleś?

- W nogę... Ale to drobiazg. Kula nie uszkodziła tętnicy

- tata usiłował się podnieść.

- Ksenia, zrób mu opatrunek. A Gurus i dziewczynki niech schodzą...

Gdzieś dopiero w połowie drogi zorientowaliśmy się, że Dafne zniknęła. Z minuty na minutę nasza sytuacja robiła się coraz tragiczniejsza, fale zalewały nam twarze bryzgami o sile hippozauryjskich pejców, wiatr się wzmagał. Mama chciała szukać Dafne... Ale dziadek nie pozwolił.

- Ona wybrała. My nie mamy czasu. Afegaści mieli

foniki, mogli zawiadomić komendę. Śpieszmy się...

- Gdzie łódź?

- Tu - dziadek stuknął w skalną ścianę... - Umiesz

nurkować, Gurusie?

Potwierdziłem. Może na oko jestem niezdarny, ale pływam jak ryba. Dziadzio kazał mi wziąć wodoodporną latarkę i skoczyć w ślad za nim. Woda okazała się cieplejsza niż się spodziewałem. Dziadek zanurkował pierwszy, ja za nim. Dwie stopy poniżej linii wody otworzył się wąski kanał, który już po 10 stopach wprowadził nas do obszernej jaskini. W świetle latarek ujrzałem masywną łódź z lekkiego nierdzewnego metalu.

- Skąd to dziadek ma...?

Opowiedział krótko. Pracując w marynarce został odkomenderowany na przeszkolenie w straży wybrzeża. Jednego razu udało się im dopaść grupę przemytników. W trakcie zaciętej walki zginęli wszyscy, tak marynarze, jak i przestępcy. Dziadek jakimś cudem wyszedł bez szwanku. I nagle przyszło mu do głowy zamelinować tę łódź, na przyszłość.

Zwierzchnikom powiedziałby, że zatonała... Potem замуrował wejście do groty...

- Ale jak stąd wypłyniemy? To nie jest łódź podwodna?

Wydobył zza pazuchy dwa impregnowane zawiniątka. - Ładunki. Zdetonujemy fałszywą skałę. Teraz płyn, uprzedź rodzinę, żeby się cofnęli.

Ocean tak hałasował, że detonacja była prawie niesłyszalna. Po chwili otwartą rozpadliną wypłynął dziadek. W każdej chwili groziło zderzenie ze skałą, ale stary marynarz utrzymywał łódź z dala od raf.

Musieliśmy wskoczyć do wody i płynąć do łodzi. Dzięki korkowym pasom nawet dziewczynki dopłynęły bez szwanku. Dziadek i tata siedli przy wiosłach. Mamie przypadł w udziale ster.

Jako kapitańska córka posługiwała się nim nad wyraz zręcznie. Dopiero za pasem raf zderzyliśmy się z prawdziwym żywiołem. Fale miały wysokość kamienic i miotaly naszą łupiną jak korkiem. Dziadek jednak się nie przejmował. Co więcej, podniósł metalowy maszt, do którego przypiął żagiel uszyty przez mamę.

Poprzedni rozpadł się ze starości. Naraz łódka poczuła się jak hipposaurus tknięty ostrogą... Pomknęła na skrzydłach orkanu. Wiatr mieliśmy w plecy. Oddalając się od wybrzeża widzieliśmy koncentrację światła wokół miejsca naszej potyczki i reflektory, które usiłowały przebić się przez mrok i deszcz i odnaleźć nas na Oceanie.

9 zmieńca. Wstał ranek i wicher trochę osłabł. Nie było już widać wybrzeży. Chmury wisiały nisko, co wyraźnie cieszyło dziadka. Twierdził, że każda godzina zwiększa

nasze szanse. Ojciec cierpiał bardzo z powodu rany i ze względu na wszechobecną sól. Trzy moje siostrzyczki zielononiebieskie spały albo rzygały. Nie było jednak źle. Mieliśmy prowiant, aparat odsalający wodę i nadzieję.

10 zmieńca. W nocy tata zaczął gorączkować. Noga spuchła, a z rany dobywał się przykry zapach. Dziadek przestał wesoło pogwizdywać jak wprzódy. Mruczał coś o Wyspach Fok i że trzeba zmienić kurs, bo bez lekarstw tylko amputacja może uratować Pharona...

- Nie przejmujcie się mną - powtarzał Tata. - Jak daleko jest Wielki Prąd?

- Dzień, półtora. Jeśli wiatr się nie zmieni.

- Płyńcie ku niemu...

Było gdzieś koło nony, kiedy usłyszeliśmy ten dźwięk.

Zrazu brzmiało to jak cichutki terkot. Potem hałas

narastał. I naraz zobaczyliśmy go. Zwiadowczy

wiropłat z czerwonym trójzębem Arymana. Leciał

nisko nad wodą... Mogłem wręcz widzieć głowy pilota i

strzelca pokładowego.

- Będą chcieli nas wyłowić? - spytała mama.

- Nie sądzę - westchnął dziadek. - Zresztą nie mają dość

miejsca w kabinie

- Daj mi broń - powiedział stanowczo mój ojciec...

Dziadek podał mi pneumatyk. Wiropląt nadlatywał od

boku, widziałem, jak porusza się lufa repetora.

Dziadek też to zauważył. - Do wody! - wrzasnął

przeróżającym głosem. - Do wody! Nurkujcie!

Zagrzechotała seria. Pociski z piskiem cięły wodę,

waliły w burty. Tata, który pozostał na łodzi, odgryzał

się pojedynczymi strzałami. Kiedy ścichł ogień, a ja

miałem wrażenie, że rozerwie mi płuca, wypłynąłem.

Zobaczyłem mamę trzymającą się burty i małą Martę,

Dziadek holował ranną Chloe. Tata był wciąż na

pokładzie. Znowu ranny, rykoszet rozciął mi czoło.

- Trzymamy się, synu - zawołał. - Gdzie Agata?

Rozglądaliśmy się bezradnie.

Bojowa maszyna tymczasem zawracała. Znow rozległy

się piski pocisków. Ojciec strzelał rzadko, starannie.

Woda znów zamknęła się nade mną, czekałem

wieczność. Dwie wieczności... Nie mogę dłużej. Znow

haust powietrza. Nie słyhać było strzałów.

Popatrzyłem za wiropłatem. Leciał nierówno. Dymił.

Naraz rozległa się ogłuszająca detonacja i zamiast

maszyny zobaczyłem kłęb ognia.

- Dorwał go, tato - krzyknąłem. - Wygraliśmy!

Nie odpowiedział mi. Patrzył w przestrzeń szklistym

wzrokiem nie reagując ani na moje wołanie, ani na fale

zalewające tonącą łódź.

Za dużo na raz. Śmierć ojca, daremne poszukiwanie

Agaty i Chloe sprawiły, że dopiero po chwili

uświadomiłem sobie całą grozę sytuacji. Pozostała

czwórka, mimo że wyszła bez szwanku, znajdowała się

pośrodku ogromnego oceanu, bez łodzi, bez

prowiantu... bez nadziei. Dobry Boże, jakże pragnąłem,

żeby koszmar okazał się jedynie snem.

- Patrzcie - usłyszałem naraz głos dziadka... Niedaleko

miejsca, w którym zatonęły szczątki wiroplatu, kołysał

się duży żółty przedmiot. - To tratwka ratunkowa.

Musimy ją złapać, Gurusie. Szybko! Wiatr ją znosi... -

To mówiąc ruszył w stronę oddalającego się

pontonika. Popłynąłem w jego ślady. - Wrócimy po

was - obiecałem mamie, która ułożywszy się na wznak

holowała Marię. Mówiłem już, że pływam nieźle, ale

dogonienie tratwy przerastało moje możliwości.

Dystans zdawał się nie maleć, ramiona omdlewały mi z

wysiłku. Obok słyszałem świszczący oddech dziadka.

"Musimy" - powtarzał. Pozbył się ubrania i równymi

uderzeniami ramion rozgarniał wodę. Był świetny.

Łokieć za łokciem oddalał się ode mnie. Wreszcie

dotarł do tratwki. Znalazł przywiązane wiosło.

Znów zaczął się zbliżać. Potwornie zmęczony dotarłem

do żółtego skrawka nadziei.

- Hurra, dziadku, daj mi wiosło!

Ale dziadek już nie wiosłował. Był bardzo blady.

- Wygrywamy, Gurusie... - szepnął. - Odpocznij

chwilkę i wracaj po mamę i siostrę. Patrz na słońce.

Cały czas steruj na zachód. Tylko na zachód. Flaga na

maszt... naprzód, Wenedzi... - Więcej już nie

powiedział. Serce nie wytrzymało wysiłku. Miętko

osunął się w tak bliską mu wodną otchłań...

Dalsze wspomnienia Gurusa w sztywnym od soli i

wody morskiej notesie, który wraz z pisakiem jakoś

zachował się w kieszeni na piersi, nie mają dat

dziennych. Trójka dryfujących traci rachubę czasu. Są

głodni, spragnieni, tylko parę razy deszcz przynosi im

odrobinę ukojenia, piją własny mocz, raz pożerają na

surowo latającą rybę, którą zesłał im chyba sam

Stwórca...

Marta płacze coraz ciszej, wreszcie przestaje się

odzywać. Po jakimś czasie Gurusa zaczynają dręczyć

halucynacje. Zdaje mu się, co za niedorzeczność, że

jego matka niczym legendarny pelikan rani sobie rękę i

zmusza go, aby pił krople jej krwi... A dalej nie ma już

wspomnień ani zapisków, tylko otępienie, mrok na

zmianę z jaskrawością porażającego słońca... Aż po

**przebudzenie na pokładzie wynajętego szybkopława,
którym Leontias Słowianin i mała Dia wybrali się
podziwiać gody ichtiozaurów w miejscu, gdzie Wielki
Prąd Ekumeński tworzy centralny wir Wewnętrznego
Oceanu.**

X ŚLEDZTWO W TOKU

**Ekipa śledcza okazała się bandą leniwych rutyniarzy.
Zadowolona się oczywistą wersją porachunków
bandyckich, skutecznie zatarła wszelkie ślady w
cenaculi Kaliope, po czym zabrawszy ciała i
nieprzytomnego Flaccusa oddaliła się na zasłużony
odpoczynek, poprzestając na zabezpieczeniu lokalu.
Na strych zajrzał ledwie jeden vigilant, ale
obejrzawszy zaryglowane od wewnątrz okienka i
zamknięte na kłódkę wyjście na dach poprzestał na
kopnięciu przysadzistej pralki i powrócił na dół.
Sclavus odczekał jeszcze godzinę wewnątrz bębna
wśród nasiąkniętych wodą halek i majtek denatki, po
czym wylamał jedno z okienek i po dachach opuścił
niebezpieczny rewir. Był spóźniony - od godziny w
popinie "Jaja dinozaura" opodal Posterunku
Nadrzecznego winien czekać na niego informator, były
sekuryta Geron. Leo nie miał możliwości
skontaktowania się z Gurusem, pewnie dość**

zaniepokojonym, ani z Dią. Ciekaw był, czy dziewczyna

doprowadziła do spotkania Marka Ursina z dottorem

Darni. Seria rozmów z ulicznego fonikonu uspokoiła

go. Młodzież nie zawiodła. Za to w sali popiny, gęstej

od oparów alkoholu i palonej ginny, nie zastał Gerona.

Dziwne. Stary glina należał do punktualnych

perfekcjonistów. Wykonał jeszcze jeden fonik i podając

się za zastępcę procuratora uzyskał informację, że

podejrzany o udział w bandyckich porachunkach

Flaccus przebywa w carcerze, oczekując na

przesłuchanie początkowe...

W międzyczasie zwrócił uwagę na hałaśliwego

włóczęgę, który wkroczył do lokalu. Musiał być tu

znany i lubiany, pijący odpowiadali na jego

pozdrowienia, ktoś postawił mu kolejkę. Włóczęga

okazał się specjalistą od tzw. krótkotrwałego

garowania.

- Mam w krzyżu czujnik - chwalił się obwieś. - W

chłodne lub burzliwe noce wdaję się w awanturkę z

glinami i zaraz dostaję luksusowy nocleg za darmo.

Sclavus początkowo słuchał przechwałek kraszonych

dykteryjkami i stosownymi paragrafami z rosnącym

zaciekawieniem. Kontrolnie zapytał o wydarzenia z 3

żeńca. Trafił.

W tamto przedburzowe popołudnie zmieńca na fluiarze Cerery doszło do jednej z wielu burd, jakie stale wybuchały pośród różnych odłamów Agresores. Twardziele i Wyszywani w chwilach wolnych od walki z reżimem szlifowali kondycję ścierając się ze sobą.

Wyszywani nabijali się z kolorowych czubów, twardziele kpili z pocerowanej w kabalistyczne wzory skóry swych rywali. Włóczęga lubo nie-trynitatysta zadbał, aby dać się zwinąć razem z młodzieżą jako "aktywny podmiot naruszenia publicznego porządku".

Nie lubił burz ani opadów ciągłych, kiedy jego tekturowe pudło przestawało gwarantować dach nad głową. Tak, zapamiętał Narensa. Chłopak zupełnie nie pasował do naćpanego towarzystwa. Ot, taki "inteligencik jak pręcik". - Chyba pierwszy raz zatrzymany. Ale bardziej ciekawy niż przerażony.

Dopiero jak ten facet wykitował...

- Jaki facet? - Leo nie daje poznać po sobie poruszenia.

- Dziwny. Z jeszcze innej półki niż ta gówniażeria, hardziak koło czterdziestki, dobrze odżywiony, z ponurą gębą. Zgarnęli go podczas obławy na

"Agresores", bo miał broń i żadnych dokumentów. W ogóle nie chciał gadać. Już myślałem, głuchoniemy.

Gliny zagadują, on gęba na kłódkę, frajery pytają o

stymule - on nic. Chociaż mówić umiał. Przyuważyłem już w carcerze, jak szepnął coś najstarszemu z klawiszów, facet zmienił się na twarzy, kiwnął głową, jakby samego króla posłuchał. Choć wiele taka gęba zmienić się nie może, jak to u ogniopióra.

- Ogniopióra??

- Taki ma cognomiak, cała lewa strona mordy

ultrafiolet i skóra jak u padlinogada. Tego dnia

wieczorem doglądał przynoszenia żarcia. Sam skorupę

z kaszą milczkowi wręczył, skubany anioł śmierci. No i

parę minut potem małomównego straszne kurcze

chwyciły, pada na ziemię, krzyczy "otruli mnie"... Nim dowołali salvatorian, milczek kitę odwalil.

- Mówił coś więcej?

- Kiblowałem celę dalej, mało słyszałem, jak ten młody

nowicjusz próbował go ratować...

- Czy przypadkiem ów młodzieniec nie nazywał się

Narens?

- Chyba tak go klawisze wywoływali, no więc młodziak

zawłókl facia do kibla, zmusił do rzygania, ale to nic

milczkowi nie pomogło. Drgawki rzucały nim cały czas.

Tuż przed śmiercią rozdarł się głośniejsz wrzeszcząc:

"Janus, Janus!"

- Jesteś pewien? Janus - starorzymski bóg o dwóch

twarzach?

- Słuch mam jeszcze dobry i dlatego mogę żyć na ulicy.

Nikt mnie nie podejdzie. No więc powzywał tego

Janusa, pocharczał i to był już koniec pieśni.

- Czy ten człowiek mógł coś przekazać Narensowi?

- Może... w każdym razie aferka zrobiła na szczawiku

duże wrażenie. Całą noc spacerował w kółko po celi, aż

się w końcu chłopaki wkurzyli i potraktowali go

trepami...

- Zaraz, czy to znaczy, że nie byli sami?

- Oczywiście, garowało jeszcze tam paru kryminalnych.

- A jak inni carceranci zachowywali się, gdy milczek

konął? Nie pomagali, nie słuchali, co mówił?

- Pan to chyba nigdy w pierdłu nie był. Każdy odwrócił

się dupą na pryczy i udawał, że śpi. Wszystkich

przesłuchali, a potem puścili. Carcer nie gostnica.

Postawi pan jeszcze kolejkę?

Leo skrupulatnie zapamiętał rysopis milczka. Niski,

krótkoszyi, o płaskiej twarzy bez wyrazu i silnych

mięśniach, mógł być zarówno obcym najemnikiem, jak

i funkcjonariuszem podczas tajnej akcji... Po namyśle

wykluczył służby. Któż zabijałby własnego pracownika?

Co innego, agenta wyznaczonego do tajnej misji,

któremu pod żadnym pozorem nie wolno było dać się

złapać. Takie reguły obowiązywały w ekumeńskiej "szarej falandze" i u wandalijskich "rycerzy Walhalli".

Jeśli ktokolwiek wpadał w trakcie wykonywanego zadania, musiał umrzeć.

Nie ulegało wątpliwości, że milczek dysponował jakimś atutem, który skłonił ogniopióra do współpracy.

Pieniądze? Prawdopodobnie chciał, żeby go wydostano. Strażnik przekazał informację - komu?

Swoim przełożonym, kontaktowi wskazanemu przez milczka? W efekcie otrzymał polecenie otrucia więźnia lub przynajmniej umożliwienie takiej akcji... Co dalej?

Przed śmiercią milczek zwierzył się z czegoś Narensowi. Informacja wstrząsnęła młodzieńcem.

Postanowił zawiadomić elekta. Dlaczego właśnie jego?

W grę wchodził zamach. Może tylko szantaż? Do cholery! Jeśli w grę wchodził szantaż, to czy decyzji usunięcia Narensa nie mógł wydać sam dostojny

Quintus Cedrus?

Rozmowy z dottorem Darni przedłużyły się. Ursin musiał odwołać mecz z elektem.

- Kobieta - wyznał przez fonik Quintusowi - wybacz.

- Ech, figlarzu - usłyszał miękki głos Cedrusa. - Mam nadzieję jednak, że o zmiernych będziesz w formie, zamierzam pobić. Co powiesz na cztery

okrażenia...?

- Puchnę już na pierwszym, ale spróbuję.

- Wieczorem przekażę obraz sytuacji Navigatorowi -
obiecал żegnając się z Darnim, gdy Dia poinformowała
o czekającym pędniku, który miał go zabrać do

Castrum. - Wspólnie zdecydujemy, co robić dalej.

Powiedz Słowianinowi, że dostaniecie ludzi, ilu wam
będzie potrzeba, i wszelkie możliwe wsparcie.

- Zachowaj jednak jak najdalej posuniętą ostrożność -
podkreślał dottor. - O Słowianinie może wiedzieć tylko
Druzzus i Quintus. Nikt więcej.

Wracając Ursin wpadł jeszcze do swego tablinum, a
ponieważ nie było nowych spraw, wziął orzeźwiająca
kąpiel i pozwolił sobie na krótką drzemkę. Na quatrinę
przed octą, gdy kończył sznurować ciżmy do

wieczornego biegu, nieoczekiwanie zadzwoniła Dia.

- Kochany - powiedziała tak słodko, aż consultantora
przeszły dreszcze. - Musimy odwołać dzisiejsze
spotkanie...

- Spotkanie...? - Ursin jest dezorientowany. Nie
umawiali się przecież.

- Mój patron... pamiętasz, miałam dziś z nim
rozmawiać o naszej wspólnej wycieczce. Miałam mu
wszystko powiedzieć.

- Tak... ale.

- Nie mogę tego zrobić. Wydawało mi się, że
zrozumiem... Że jest ponad układzikami. Myliłam się.

Może mi zaszkodzić. Musimy się wstrzymać z decyzją.

Na razie. Zadzwoń wkrótce.

Marek ociera pot. Ręka trzymająca fonikon opada
ciężko, jakby aparacik ważył co najmniej cztery libry...

Pojął sens odwróconej informacji.

- Co im przyszło do głowy. Podejrzewają samego

Navigatora? Zwariowali?!!!

- Nikogo nie możemy wykluczyć z kręgu podejrzanych.

- Rozłączając się z Dią Leontias poczuł, że zaschło mu w
gardle. Zaczynał dopiero śledztwo, a już miał

wątpliwości, czy warto je zaczynać. A jeśli rzeczywiście
zmiesza tylko wodę, poruszając brudy? Od dawna elity

Federacji nie składały się ze świętych mężów.

Cenzuriat ongiś strzegący moralności rozwiązano.

Wszędy szerzyła się prywatna i korupcja. Nawet

szlachetny Arriand miał takie mrowie kochanek, że

Pałac Navigatorski zaczęto zwać Lupanarem. Nikt

jednak nie mógł zaprzeczyć, że Archipelagianie mogli

nadal decydować o swoim losie, mieszkać, gdzie chcą,

żyć, jak im się podoba i wybierać przywódców na miarę

czasów... Więc czy warto?

Kątem oka Leontias obserwował mężczyznę, który przysiadł opodal pieca do wypieku offli. Samotny facet, nie pijący, w szynku? Ciekawe. Sclavus nalał wina do dwóch pucharów i ruszył w stronę nieznanego.

Temu na moment oczy zadrgały jak u schwytanego szczura. Opanował się jednak błyskawicznie.

- Pan też sam? - zapytał Leo wyciągając puchar. - Może się razem napijemy?

- Z przyjemnością. - Nieznajomy uśmiechnął się dolną połową twarzy. - Właściwie to już wychodziłem. - Wypił wino jednym haustem i wstając dodał: - Dziękuję panu.

- Dążąc ku wyjściu nie odwrócił się ni razu, tylko lekki skręt głowy tuż przy drzwiach wskazywał, że spojrzał w lustro.

Sclavus nie tracił czasu. Szybko przebiegł gospodarczy corridor i wypadł na wąski perystyl otoczony siedmiopiętrowymi insulami. Dzięki uprzedniemu przestudiowaniu topografii okolicy wiedział, że za kolejnym patio znajduje się niewysoki mur. Przesadził go, potem przebiegł jeszcze parę schodów.

Nieznajomego nie było. Skręcił gdzieś? Bramy domostw robiły wrażenie zamkniętych na glucho.

Szmer za plecami. Zareagował błyskawicznie. Przypadł do ziemi czując koło ucha świst naboju z pneumatyka.

Padając, sam strzelił. Zwierzęcy skowyt. Ciało

napastnika osunęło się na ziemię...

"Za celnie strzelam" - Leontias zaklął cicho. - W

kieszeni trupa znalazł plakietę vigiliancką z

Posterunku Nadrzecznego. "Cholera, zabiłem glinę" -

przemknęło mu. Jedyłą pociechą było, że vigilant nie

zamierzał go śledzić, lecz zabić, a to dowodziło, że nie

był jedynie stróżem prawa.

Słowianin długo kluczył, zanim skierował się w stronę

swojej kryjówki. W hosteliku zastał komplet przyjaciół

- Dię, dottora Darni, Gurusa. W obrazniku leciały

wiadomości. Uwagę Leo przykuła informacja o topielcu

wyłowionym z rzeki Zielonej. Rzut oka wystarczył.

Zmarłym był Geron, były sekuryta...

- Robi się gorąco, co, wodzu? - zapytał Gurus.

Ranek przyniósł kolejną kłopotliwą wiadomość,

najemnik Flaccus za sprawą wysokiej kaucji wpłaconej

przez biuro adwokackie Tarantiona, jedną z

najbardziej liczących się firm prawniczych, już znalazł

się na wolności. Iudex elementaris dał wiarę

zeznanom Flaccusa, iż był jedynie samotnym

przechodniem, mercursem z Ultimy w podróży za

interesami, który zwabiony krzykami dochodzącymi z

cenaculi Kaliope pospieszył jej z pomocą. Wersję

potwierdzili vigilanci, którzy przybyli na miejsce po pierwszych strzałach. Zeznali zgodnie, że Flaccus wbiegł do mieszkania już po walce i jedynie spłoszył mordercę, który został zastrzelony podczas próby ucieczki. Na korzyść najemnika przemawiał brak broni (zabrał ją Leontias), zaś całość strzelaniny media określiły mianem typowych porachunków w kręgach półświatka.

- Trzeba zatem będzie porozmawiać z mecenasem Tarantionem i ustalić, kto kazał mu wyciągnąć siccarą z pudła - stwierdził Leo. - W tej chwili to nasz jedyny trop.

- Chętnie się tym zajmę - zaproponował dottor, którego nie podstrzygana broda zmieniła w ostatnich dniach nie do poznania...

cdn.

+kwadratura 3+

POWIEŚĆ

MARCIN WOLSKI

Kwadratura trójkąta (3)

XI DRUGA STRONA

Piętnastego żeńca, czy jak mawiano niegdyś w wigilię św. Chloe, nagły ruch na skrzyżowaniu Głównej Sztolni i Odos Arymaneos zwrócił uwagę nielicznych turystów

odwiedzających Dolną Akropolię, stolicę imperium ekumeńskiego. Tubylcy byli przyzwyczajeni. Grupki tumanantów snuły się leniwie, czekając na sekundę, to jest porę, w której otwierano stoiska z pastylkami stymulującymi. Kilometrowych kolejek nie zaskakiwały ani pancerne szybkogony, ani automatycznie spadające żaluzje w górnych oknach wychodzących na Aleję Arymana. Zaraz pojawiły się kohorty wrotkowych afegastów, zaganiające ludzi ku bramom i pasażom. W miejsce niezorganizowanych przechodniów pojawili się uczniowie z chorągiewkami w dłoniach i kobiety w ludowych strojach ekumeńskich, z dziećmi na rękach.

Wkrótce na Supel, jak nazywano centralny splot chodników i sztolni podziemnej stolicy, spłynęła lawina przejrzystych luxpędników, które nie zwalniając przemknęły chyżo pośród powiewającego i skandującego społeczeństwa, by zniknąć w przysadzistej gardzieli Areopagu. Człowiek spostrzegawczy i wysoki przy odrobienie szczęścia mógłby, wychyliwszy się ponad ramionami wrotkarzy, dostrzec siwowłosych starców siedzących we wnętrzu pędników, w towarzystwie heterarek i falangierów ochrony osobistej.

- Czy coś się stało? - Zabłąkany przybysz z Wandalii, nieświadom miejscowych obyczajów, szeptem zapytał zażyłą jejmość unieruchomioną obok niego.

- Normalnie. Wtornica.

- Nie rozumiem.

Wzruszyła ramionami i zamilkła. Obcy musiał być szpiegiem. Każdy swój wiedział, że o tej porze, w każdą drugą wtornicę miesiąca, do siedziby Starego Areopagu zjeżdżał się cały Oligarchat na swoje posiedzenie.

Nominalnie Ekumena była demokracją - rządziła nią Rada Dwustu i Zgromadzenie Demosu. Jak przed wiekami wybierało ono archontów, strategów i tesmotetów. Faktycznie jednak cała władza spoczywała w rękach dwunastu hierarchów, szefów Arymantei, która choć de iure nie istniała, swoimi tajnymi strukturami niczym dendrytami obejmowała cały organizm greckiego mocarstwa.

Wszechekumeńska Arymanteja, podobnie jak eforia nadzorująca "szarą straż" (również nie istniejącą formalnie, prawa i porządku mieli strzec tak zwani obrońcy ludowi), stanowiły jądro Ekumeny. Właściwie można powiedzieć: od 1435 roku były Ekumeną. Po trzech czwartych wieku tego władania Ekumeńczycy

byli przekonani, że ich los nigdy się nie zmieni. I przyjmowali to potulnie. Nie zbuntowali się nawet, kiedy groźba użycia broni nuklearnej skłoniła oligarchów do budowy Dolnej Akropolii. "Wojna, za sprawą zmowy złowieszczej Wandalii ze zdrażliwą Federacją - czekały multifoniki - może nastąpić w każdej chwili. Obywatele drążąc tunele i realizując ideę Lizandra, Nurriego i Periandra budujecie nam wszystkim świetlaną przyszłość. Kto nie kopie, jest wrogiem. Wrogów należy eliminować".

Czy ktoś jeszcze wierzył w podziemny raj, teraz, kiedy coraz częściej zaczynały się zapychać kanały wentylacyjne, a stałe przydziały aprowizacyjne malały? Nikt nie badał tej kwestii. Zresztą Ekumeńczycy nawet nie wyobrażali sobie, że może być inaczej.

Pasażer ostatniego luxpędnika Antygon Leartonik miał siedemdziesiąt cztery lata. Siwa grzywa opadająca misternymi splotami na ramiona nadawała mu charakter lwa. Twarz miał czerstwą, zdrową, tylko nos pełen krwistych żyłek zdradzał predylekcję do miejscowych win. Oczy małe, głęboko osadzone, ale chytreńkie zdradzały bezustanną czujność. Choć w hierarchii arymantejskiej był dopiero na trzecim miejscu, uważano go za najważniejszego. Numerem

pierwszym był stary Hipparch. Mimo swoich siedemdziesięciu dziewięciu lat wciąż dzierżył w dłoniach cugle armii. Tajną policją zarządzał Tajgenis (nr 4), stróżem prawa i kadr był Arystobulos (nr 2). A jednak to Antygona, noszącego skromny tytuł Archiwariusza, bano się najbardziej. Prawdopodobnie hierarchowie pamiętali, jak przed paroma laty złamał karierę młodemu Eumentesowi, który wskoczywszy na stolec archontabasileusa chciał, jak twierdził, wydobyć Ekumenę na światło dzienne.

Biedny Eumentes - powtarzał często w zaufanym gronie Leartonik. - Chcieć dobrze w złym momencie to gorzej niż chcieć źle w dobrym.

Jak zawsze między kolanami hierarchy spoczywała czarna teczka, esencja jego władzy. Imię władzy bowiem brzmiało: informacja. Tylko Antygon dysponował menscompterem z aktami wszystkich Ekumeńczyków. Z ich terażniejszością, przeszłością i (raczej) przyszłością.

Tylko trzy wartownie oddzielały reprezentacyjne pomieszczenia Areopagu, teoretycznie najwyższej władzy Ekumeny, od sali tajnych posiedzeń hierarchów arymantejskich. Niska komnata o kolebkowym sklepieniu, pokryta ciemną boazerią, z której zdążyły

**poschodzić złoceń, sprawiała przygnębiające
wrażenie.**

**Może dlatego, że jej kompletne wyposażenie
przeniesiono z Górnej Akropolii. Brunatna plama na
kamiennej posadzce, uznawana za naturalną żyłę
marmuru, nazbyt natrętnie przypominała rzeź z 11
bożydara 1459 roku, kiedy Periander likwidował swą
starą gwardię. Ileż straszliwych poleceń musiał
wysłuchać alabastrowy fonikon z obsydianową trąbką
wiszący przy sztucznym oknie. A samo okno z
wyświetlanym uroczym rustykalnym pejzażem, czyż
nie na nim zadżgano usiłującego ujść siepaczom
Learnesa?**

**Mimo doskonałej wentylacji w powietrzu stale unosiła
się specyficzna woń, której nikt nie potrafił właściwie
zdefiniować. Odór strachu, starości czy fascynujący
zapach władzy? Niejeden z wielkorządców w trybie
nagłym wezwany ze swojej satrapii, nomu czy fyli,
przechodząc przez niski rzeźbiony portal, żegnał się z
życiem. Drugie, zamaskowane i otwierane tylko od
środką wejście wiodło wyłącznie w dół... Gdybyż te
ściany umiały mówić?**

**Ani obsługa Areopagu, ani funkcjonariusze Szarej
Straży nie mieli dostępu do wewnętrznego kręgu. Jego**

personel składał się wyłącznie z rosłych falangierok.

O niestenografowanych obradach krążyły najróżniejsze plotki. Mówiono o popijawach i mordobiciach. Jednak wszyscy poza kręgiem od władz po lud musieli przyjmować, że Arymanteja mówi jednym głosem. Biedny Eumentes planował wprowadzić zmiany. Cóż, zanim do nich doszło, sam został zmieniony. Archonta pokonała tolerancja, o którą walczył. Nie przeprowadził czystki wzorem dawnych tyranów. Amnestionował skazańców, chciał poluzować bezduszne rygory...

Posiedzenie 15 żeńca rozpoczęło się w ponurej atmosferze. Raport grupy ekspertów, którzy zresztą bez wyjątku przepadli już w tajemniczych okolicznościach, głosił bez ogródek:

Podziemnej Akropolii grozi zagłada. Dawno naruszono bilans energetyczny. Dekapitalizuje się sprzęt.

Proporcje między populacją naziemną a podziemną uległy drastycznemu zachwianiu. Dzieci rodzące się w sztolniach są z pokolenia na pokolenie coraz słabsze.

Katastrofa jest kwestią miesięcy, a nie lat.

Właściwie nie trzeba było być ekspertem. Kryzys w Dolnej Akropolii widać było gołym okiem. Metropolia dusiła się. Planowe wyłączenia świateł w

mieszkaniach, awarie wind, nie funkcjonujące
prędkochodniki. O wentylacji lepiej nie mówić. Nie
pomagały apele o oszczędność i procesy szkodników.

Mnożyły się nielegalne próby ucieczki na
powierzchnię, mimo że i tam żyło się kiepsko.

Największą herezją okazały się wnioski ekspertów
proponujące stopniowe wyprowadzenie Akropolii na
powierzchnię. Szaleństwo? W dobie zaostrej się
walki ze spiskiem światowych hegemonów? Po 40
latach nieprzerwanych sukcesów w drażeniu sztolni?
Poza tym kto by za to zapłacił? A co z kontrolą ludzi w
dobie satelitarnych obrazników, co z aksjomatem, iż
mrok arymański jest piękniejszy od ormuzdowego
dnia? W pełnym, słonecznym blasku systemowi
groziłaby zagłada.

Tak więc hierarchom pozostawał kurs półprawd,
narzekań bąkanych półgłosem, miotania się od ściany
do ściany wśród wzajemnych intryg dwunastu bardzo
skłóconych ludzi: Tajgenis rywalizował z

Ksantyposem, Arystobulos nie konsultował swych
pomysłów z Hipparchem, oekonomikos Argon

Georgiasz napomykał o miękkim zmierzaniu ku
powierzchni, a Pauzanasz dbał tylko o swoich
totumfackich.

**- Strach pomyśleć, gdyby mnie zabrakło - wzdychał
nieraz Antygon Leartonik.**

**Tym razem awantura wybuchła, gdy dwóch młodszych
hierarchów zaatakowało Pauzanasza o
sprzeniewierzenie wielkich sum z funduszy
przeznaczonych na nowe stemple dla zapadających się
dzielnic. Nieporadnie próbował mediować Hipparch,
kiedy o głos poprosił Tajgenis.**

**- Milion talentów tu czy tam nie stanowi problemu, to
są sprawy drugorzędne w sytuacji zmasowanej agresji
wrogów. Ci są wszędzie. Złorzeczą Panu Podziemi,
spiskują, podkopują. Codziennie moje służby
zatrzymują nowych dywersantów i szpiegów
nasyłanych z Archipelagu.**

**- Szpiegów? - skrzywił się Georgiasz i mruknął do
Ksantypposa. - Cóż tu mieliby do roboty szpiedzy?
Technologicznie jesteśmy opóźnieni kilkadziesiąt lat w
stosunku do Federacji, zaś w wypadku próby
rozpętania wojny zginie cała Inna... Przecież doskonale
znamy źródła niezadowolenia...**

**- Daj spokój, mówisz jak Eumentes - syknął sąsiad. -
Patrzą na nas!**

**W istocie na moment wszyscy umilkli. Argonowi nie
zostało nic innego jak natychmiast zabrać głos.**

- Nie przeceniałbym roli szpiegów - rzekł. - Jeśli się rzeczywiście aktywizują, sprzyja im nasza bierność. I autentyczne kłopoty...

Learntonik skinął głową z uznaniem, lecz Tajgenis nie dał się zbić z tropu.

- Należy uderzyć prewencyjnie w potencjalnych siewców zamętu, pyskaczy i kandydatów na przywódców tłumu, mogących ujawnić się w przypadku niespodziewanych awarii technologicznych.

Których oczywiście nie będzie.

- Eksperci zapowiadają katastrofę w ciągu paru miesięcy - mruknął Hipparch.

- Łżą jak psy! Zanim zesłałem ich na poziom 1890, odwołali wszystko. Tak czy siak należy zlikwidować zagrożenia jak najszybciej. Przerazić, sparaliżować...

Nade wszystko zająć się zwolennikami

"powierzchniactwa" w naszych szeregach. Bo są tacy.

Zrobiło się cicho. Kątem oka Georgiasz zauważył, że

Ksantyppos błędnie (nigdy nie miał zbyt mocnych

nerwów). Argon zdawał sobie sprawę, że czwórka

"młodych hierarchów" (sam liczył ledwo 59 wiosen)

ustawicznie podejrzewana jest o eksperymentatorskie ciągoty.

- Nie myślę o naszym gronie - uśmiechnął się

**uspakajająco Tajgenis. - Tu jesteście sami swoi, ale
niemało w kierowniczych trybach Organizacji ludzi
niepewnych, dwulicowych, zainfekowanych przez
archipelagiańskie miazmaty. Dostyc dawno nie
przyprawdzalismy weryfikacji szeregow. Prawda?... -
zwrócił się do przewodniczącego.**

**Hipparch wypowiedział parę okrągłych banałów i zaraz
usiadł. Nawet wiecznie pijany Tulen musiał zauważyć,
że był to bardziej trup niż wódz narodu. Wybrany owej
dramatycznej nocy, gdy obalono Eumentesa, był
stanowczo za długo jak na szefa przejściowego. Inna
sprawa, że starcy umierali szybko tylko wtedy gdy
pojawiał się zdecydowany następcą. Lecz kto miałby
nim być?**

**Ultras Tajgenis? Arystobulos z ciasną duszyczką
urzędnika na miarę prowincjonalnego poborcjatu?
Efor od propagandy Ksantyppos, inteligentny, ale
tchórzliwy i gotowy zdradzić nawet samego siebie? No
bo chyba nie przeżarty do szpiku korupcją Pauzanasz?**

**A Antygon? Chytry stróż archiwów mógł być już
trzykroć pierwszym. Nigdy jednak nie zgłaszał swojej
kandydatury. Większą satysfakcję dawała mu funkcja
animatora marionetek niż niepewny zaszczyt
obciążony odpowiedzialnością. Któż przeniknie duszę**

polityka? Zwłaszcza że Leartonik chyba nie miał duszy.

Trwał w Organizacji od pięćdziesięciu lat - przeżył wojny i czystki, kopanie sztolni i procesy lat siedemdziesiątych. Stał przy Wielkim Periandrze, gdy ten rozpoczynał "Wielkie pogłębianie", przeżył noc 11 bożydara, gdy zginęło trzystu pięćdziesięciu strategów...

Uprzejmie prosi o głos. Dostaje go. Widzi, jak hierarchowie w napięciu wiszą mu wzrokiem na ustach...

- Nie należy się gorączkować - mówi dobrotliwym tonem zużytego Mefista. - Wszyscy mamy przecież na względzie wyłącznie dobro Ekumeny. I ty, miły Georgiaszu, i ty, czcigodny Tajgenisie. Prawdą jest, że należy działać. Lecz prawdą jest, iż kto działa rozważnie, dwakroć większy plon zbiera. Miecz, gdy raz opadnie, nie dolepi ściętej głowy.

- Ale konkretnie, co proponujesz? - wyrywa się Tajgenisowi, który zapomniał, jak bardzo Leartonik nie lubi tych, którzy mu przeszkadzają.

- Oczekajmy tydzień. Za tydzień będziemy mieli o połowę kłopotów mniej.

I siada pozostawiając wszystkich w niemym zdumieniu.

Argon Georgiasz bardzo się spieszył. Zaraz po obradach zamierzał złożyć wizytę w północnej destylatorni, gdzie grupa techników walczyła z awarią czwartej nitki wodociągu, a potem chciał wpaść jeszcze do siłowni. Atoli przy wyjściu zagroziła mu drogę krępa heterarka.

- Czcigodny Antygon pragnie z wami rozmawiać - rzekła głębokim altem.

- Ze mną? Dlaczego?

Kobieta w szarym chitonie, lamowanym złotą wstęgą, nie wdawała się w konwersację, tylko zaprowadziła go

do "konchy", jak nazywano małe ciasne pomieszczenie przypominające wnętrze muszli czy jajko

imperiozaura. Odczuwał niepokój, a zarazem czuł się

głupio - on, zwierzchnik wielotysięcznej kadry

industrialnej i milionów robotników czuł się wobec

Archiwariusza jak efeb wyrwany do odpowiedzi.

Antygon podał mu czarę wina i uważnie popatrzył, jak

młodszy hierarcha przelyka purpurowy płyn.

- Lubię cię - powiedział po chwili.

Argon omal się nie zachłysnął. Za czasów Periandra

taka wypowiedź mogła zapowiadać złowrogie

konsekwencje. Dyktator lubił zatrzymania swych

współpracowników w pięć minut po pocałunku pokoju

oraz egzekucje przy okazji urodzin lub zaślubin. Na

szczęście, czasy się zmieniły. Antygon był

przeciwnikiem fizycznej likwidacji dawnych kolegów.

Właśnie owej filozofii zawdzięczał życie Eumentes,

który po degradacji dożywał swoich dni na jakiejś

rajskiej, dobrze strzeżonej pustelni Południa.

- A wiesz, dlaczego cię lubię, Argonie Georgiaszu? Bo

jesteś pragmatykiem. Lubię cię, ponieważ będziesz

następnym Arcystrategiem.

- Ja?

- Ktoś musi. Hipparch starzeje się. A szczerze mówiąc,

nie widzę innej kandydatury.

Georgiasz nie krył zdumienia. Ileż razy Leartonik

sprzeciwiał się jego projektom, ileż razy dawał mu

dyskretnie do zrozumienia, że następny błąd może być

błędem ostatnim!...

- Czasy się zmieniają - powiedział sędziwy hierarcha. -

Ekumena też musi się zmienić. Rozumiał to Eumentes,

tylko przyszedł zbyt wcześnie. No i chciał zbyt wiele na

jeden raz.

Cóż dzieje się w duszy Georgiasza? Przez głowę

przelatują najrozmaitsze interpretacje. Cóż to jest, na

kopyta Arymana! Prowokacja? Sprawdzenie? A może

starcze szaleństwo? Za podobną wypowiedź normalny

obywatel dostałby wyrok dwudziestu pięciu lat

poślębiania sztolni!

**- Na najbliższym posiedzeniu zaproponuję twoją
nominację - obiecuje Antygon - i zapewniam cię,
zostanie przyjęta. Więcej, wzbudzi euforię. A wiesz
dlaczego? Bo pokażesz perspektywę wyjścia z tego
bałaganu...**

- Jak, na Hakate!?

**- Nie przerywaj, wiemy obaj, jak jest. A jest dużo
gorzej. Brak reform to koniec Ekumeny, reformy z
kolei to nasz koniec i w dodatku bez pewności, że koine
uda się zachować status globalnego mocarstwa. Gdzie
więc upatruję szansy? Tam... - Naciska przycisk i
przednia ściana konchy przemienia się we wklęsły
panovid z plastyczną mapą Archipelagu. - Tam SA
środki na naszą transformację, na wyjście z podziemi,
na powszechny dobrobyt. Fabryki pędników,
hurtownie z proszkami do prania, automaty z
napojami chłodzącymi i stymulantami, po prostu o
wyciągnięcie ręki. Wyspiarze oddadzą nam to wszystko
w zamian za pozostawienie ich przy życiu.**

**- Nie bardzo pojmuję. Próba podboju nawet
zniewieściałców zmobilizuje do walki. A wojna grozi
totalną zagładą! Teoria marchewki skrawanej obolami,**

która ongiś sprawdziła się w zajęciu Herrii, od lat

zawodzi, więc...

Starczy śmiech przerywa słowa Argona.

- Jakże słaba jest ludzka wyobraźnia. Wojna, zagłada?

Bywają rozwiązania dużo prostsze. Słyszaleś,

Georgiaszu, o planie numer 1?... Oczywiście, nie

mogłeś słyszeć. Nawet Tajgenis nie ma o nim pojęcia!

Ale dowie się. Niedługo. - W oczach Archiwariusza

pojawia się dziwny blask. - Prawie ćwierć wieku

czekałem na ten moment. Nikt ze współautorów planu

już nie żyje, ja doczekałem!

- Czego?

- Kiedyś dokonaliśmy interesującego zasiewu. Teraz

zbliżają się żniwa. Za tydzień rozpocznie się

upragniona akcja, najpóźniej za miesiąc będziemy

sprawowali kontrolę nad Federacją Archipelagiańską,

jej armią, bogactwami. Bez strat własnych. Z

minimalnym ryzykiem. Aryman zwycięży.

XII DYPLMACJA I ŁOWY

Im bliżej terminu zaprzysiężenia SuperNavigatora,

tym intensywniej spekulowano w obraznikach na

temat obsady najwyższych stanowisk w Federacji.

Obok Longinusa, którego pozycja jako Pronavigatora

była niepodważalna, pojawiła się grupa "probabili". W

ścisłej czołówce brylował brodaty Lucjusz Gnerus, były

legat w Wandalii przewidywany na Officium

Exteriorijne. Wedle tych samych spekulacji Ruffix

miał objąć Federacyjne Officjum Inwigilacyjne, Marka

Ursina typowano na cancellariusza, a Druzzusowi miała

przypaść prefektura połączonych legionów.

Pośród rozlicznych zajęć, rozmów kwalifikacyjnych z

kandydatami na najwyższe stanowiska i spotkaniami

dotyczącymi technicznej strony przejmowania władzy

spore wrażenie wywołało przyjęcie przez elekta legata

Ekumeny małego jowialnego człowieka o bystrym

spojrzeniu i szerokim uśmiechu, który mógł zmylić

każdego, kto nie zajmował się na co dzień kontrolą

tajnych służb despotycznego mocarstwa. Na pierwszy

rzut oka dyplomata sprawiał wrażenie osobnika

przezarteo do cna archipelagiańskim stylem życia.

Lubił wypić, znał tysiące żartów i anegdot i nie

opuszczał we Florentynie żadnej premiery teatralnej

czy gonitwy na hipodromie. Wedle oficjalnego

życiorysu był profesorem Wyższej Akademii

Kontaktów Międzyludzkich, de facto resortowej

uczelni dostarczającej najlepszych kadr dla Wywiadu

Zagranicznego.

W Castrum Goliatum funkcję auli reprezentacyjnej

spełniała dwupiętrowa biblioteka i tam Lucjusz Gnerus wprowadził gościa. Legat uściskał dłoń Cedrusa i uśmiechnął się jeszcze szerzej niż zwykle, aż do złotych siódemek.

- Proszę potraktować moją wizytę jako nieoficjalną - mówił - choć dla mnie, wyznam, Wasza Eksceleńcja jest już Navigatorem Waszej Wielkiej Federacji. Moje władze przekazują jak najserdeczniejsze gratulacje z powodu zwycięskiej elekcji. Pragniemy także wyrazić nasze najgłębsze pragnienie i wiarę, że pod waszymi rządami dojdzie wreszcie do zbliżenia między naszymi państwami, zaś różnice dzielące Ekumenę i Archipelag znikną bezpowrotnie. Wierzymy też, że oba supermocarstwa potrafią skłonić Wandalię do przyjęcia pokojowej drogi rozwoju i wspólnie uczynimy tę planetę bezpieczną. Tak dla nas, jak i dla was podstawowym dobrem jest człowiek. Znając waszą, czcigodny Cedrusie, szlachetność, mądrość i umiarkowanie oraz, podkreślmy to, wielkie kwalifikacje, moi rodacy z niezmiennie miłującej pokój Ekumeny mają nadzieję na nowy etap wzajemnych stosunków...

Dawno nie słyszano na Innej równie ciepłej wypowiedzi w ustach najzaciętszego wroga. Wizyta

przekroczyła ramy zwykłego protokołu. Legat zjadł z elektem śniadanie, opowiedział parę najnowszych anegdot z Dolnej Akropolii, zjadliwych i mocno niecenzuralnych (w stolicy Ekumeny za opowiadanie podobnych kawałów całkiem niedawno dostawało się dziesięć lat, a piątkę za samo słuchanie), po czym obaj rozegrali krótki mecz w piłkę, aby wreszcie przespacerować się brzegiem ogrodowego stawu.

Nowy styl konsultacji nie podobał się Druzzusowi ani Ursinowi. Nie mieli za grosz zaufania do ekumeńskiego dyplomaty, a samotny spacer zdenerwował ich bardziej niż ochroniarzy. Tym bardziej że Cedrus nie zgodził się na zainstalowanie żadnego czujnika czy nadajnika w swoim ubraniu lub na okalających ścieżkę drzewach.

Nawet Ruffix wyrażał obiekcje.

- Przechadzka z wrogiem, czy to nie zostanie źle odczytane przez nasze społeczeństwo?

W odróżnieniu od tryskającego humorem Greka Cedrus wydawał się niesłychanie spięty, wyczuwało się dziwną treść w stosunku do gościa, a podczas gry stracił kilka prostych piłek.

- Zachowuje się jak roślinożerne zwierzę wobec drapieżnika - przemknęło przez myśl Markowi. - O

czym, do czarta, oni rozmawiają?

Rzeka Zielona wije się między wzgórzami na kształt modrołuskiego węża. Tworzy pętle, zakola, rozdzwaja się, zostawiając miejsce wyspom, lub rozlewa w prawdziwe jeziora. Właściwie już poza miastem, na wyspie Cerery, rozpościera się kompleks niewysokich solidnych gmachów z żółtobrunatnego kamienia, krytych jaskrawą dachówką. Liczne drzewa nadają budynkom wygląd schludnego miasteczka akademickiego. Trudno o błędniejszą ocenę. W piwnicach budynków z napisami "archiwum", "biblioteka", "magazyn" znajduje się centrum FOI. Federacyjnego Oficjum Inwigilacyjnego. Instytucja ta, powstała po doświadczeniach lat siedemdziesiątych, podporządkowana bezpośrednio Navigatorowi, musi (wedle własnej opinii) spełniać rolę, którą w świecie zwierzęcym spełniają ścierwogady i zębate harpie, czyli uprzętać padlinę. Demokracje z natury są słabe, czasem, by się wzmocnić, potrzebują organizacji niedemokratycznych. Obecne FOI było jednak cieniem dawnej potęgi. Postępowi mediaferranci, urabiający opinię publiczną, parokrotnie byli bliscy wymuszenia likwidacji Firmy. Jak dotąd chroniła ją osoba senatora Markusa Marcellisa, od dwudziestu lat szefa FOI.

Fakcje u władzy się zmieniały, Marcellis trwał... Teraz jednak wszyscy uważali, że ambitny Ruffix przejmie bez wahania jego imperium.

Marcellis był przystojnym mężczyzną o zdecydowanie zarysowanym podbródku i może nadmiernie niskim czole. Miał jednak wystarczająco dobre mniemanie o sobie, by pozwalać pismakom dworować z fizjonomii.

Z całej postaci emanowała energia. Kiedy rankiem 16 żénca elekt Quintus Cedrus przybył do jego tablinum, mieszczącego się w niewielkim pałacyku, wpisanym w podkowę zabudowań, superszpieg nie okazał ani cienia podenerwowania. Cedrus był czwartym Navigatorem goszczącym w jego katakumbach.

Małą elegancką windą w kącie pokoju, wypełnionego starymi sztychami i mapami, zjechali na dół, wprost do malej, wyściełanej kosmatą tkaniną caverny, w której znajdował się menscompteryjny pulpit i rozliczne obrazniki.

Kątem oka Marcellis zauważył, jak Cedrus wsuwa do ust małą brunatną pastylkę. Nie uszły też jego uwagi kropelki potu perlącego się na czole i górnej wardze Elekta, pomimo doskonałej klimatermiki we wnętrzu.

No cóż, emocje Quintusa były absolutnie zrozumiałe.

Tajemnice FOI każdorazowo stanowiły dla elektów

kąsek, równie łakomy co samo stanowisko Navigatora.

- Rozumiem, że to pomieszczenie gwarantuje nam

pełną poufność? - zapytał pro forma Cedrus.

- Oczywiście - zapewnił prefectissimus.

- Chciałbym porozmawiać

- Przed czy po zwiedzaniu? - zapytał Marcellis.

- Powiedzmy, już teraz...

Dottor Darni ucharakteryzowany na bogatego

przemysłowca Scipo Follinusa odwiedził biuro

Mecenasa Tarantiona koło południa. Patrona nie

zastał, honory domu pełnił jego sekretarz, wyblakły

albinos o wodnistych oczach i cienkich rączkach

onanisty.

Darni (Follinus) nie ukrywał, że znalazł się w

poważnych tarapatach, z których wydobyć może go

jedynie geniusz Tarantiona. Zarazem dawał do

rozumienia, że koszty nie grają roli.

- Spróbuję załatwić spotkanie na jutrzejsze

popołudnie. Powiedzmy quatrina po oktawie - rzekł

wymoczek. Pod lukrem uprzejmości Darni wyczuł coś

przypominającego zapach gorzkich migdałów. - Proszę

podać swój kod foniczny, zadzwonię z potwierdzeniem.

Dottor przełknął ślinę. Nie mógł podać numeru foniku

do kryjówki Leontiasa.

- Jest pewien problem - rzekł wolno. - Właśnie
zmieniam hostel. Prawdopodobnie przeniosę się do
"Sybilli", ale chyba lepiej będzie, jeśli to ja do was zadzwonię.

Asystent nie polemizował. Z sąsiedniego pokoju
wysunęła się ciemnobrewa piękność, z gatunku
complementarek dla zamożnych, i uśmiechając się
odprowadziła dottora do windy. Darni odetchnął, gdy
znalazł się w wykładanej szyldkretem kabinie. Nie
podał mu się ten sekretarz. Ani jego niepokojąco
wyblakłe oczy, ani nerwowe ręce. Dottor miał własną
teorię na temat rąk jako klucza wiedzy o człowieku.
Jego własne dłonie zdradzały marzyciela i pechowca,
natomiast sękate łapska portiera otwierającego drzwi
mówiły o skłonności do uproszczeń.

- Pan Follinus? - sapnął odźwierny. - Właśnie dostałem
fonik z biura. Pan Mecenas właśnie powrócił i oczekuje
pana.

Oczywiście przyszedł dottorowi pomysł skoku ku
drzwiom, ale stał tam drugi, barczysty portier, o
jeszcze bardziej bezwzględnych rękach. Cofnął się więc
do kabiny.

W tablinum, które przed chwilą opuścił, do bladego
asystenta i complementarki Claudii dołączył Flaccus,
jego niedoszły egzekutor z Equatorii.

Samo obezwładnienie wracającego z pracy o poranku

"Ogniopióra" i wywiezienie go na podmiejskie

wysypiska nie sprawiło Leontiasowi większych

trudności, gorzej szło z wydobywaniem informacji.

Funkcjonariusz okazał się głuchy na bodźce

materialne. W końcu Leontias cisnął strażnika carceru

na stos śmieci, rozlał wokół pół bańki oleju pędnego,

a potem zaczął bawić się krześniczką...

Ogniopiór skwitował te zabiegi śmiechem:

- Gówno mi zrobisz! Potrzebujesz informacji i póki jej

nie dostaniesz, będziesz tańczył wokół mnie na dwóch

łapkach.

Leo wyraźnie wkurzony zamachnął się, chcąc

przyładować strażnikowi, ale pośliznął się na rozlanym

paliwie i runął jak długi. Klawisz nie zmarnował

szansy, nadepnął na dłoń uzbrojoną w króciaka i

wyrwał z niej broń.

- Role się zmieniły, bohaterze! - krzyknął i nacisnął

spust. Pneumatyk wydał dźwięk pękającej purchawki i

na piersi Sclavusa pojawiła się czerwona plama. Nogi

ugięły się pod nim i runął twarzą w odpadki. Ogniopiór

zarechotał. Czujnie rozejrzał się dookoła i wsiadł do

pędnika. Zakręcił... Motor jednak nie chciał zaskoczyć.

Czyżby było tam jakieś zabezpieczenie znane tylko

wtajemniczonym? Nieruchomy Leontias nie mógł już udzielić tej informacji. Klawisz postanowił oddalić się na piechotę. Puścił się w stronę wjazdu na wysypisko.

Lada chwila ktoś mógł się pojawić. Minąwszy rozwaloną bramę, nie zauważony przez nikogo, zaczął rozglądać się za jakimś środkiem lokomocji. Niestety, droga była pusta. Toteż z ogromną ulgą dostrzegł na skraju zagajnika fonokubik. Siedział w nim zajęty rozmową jakiś młody grubasek w okularkach.

Ogniópiór bezceremonialnie wyciągnął go z fonokubika.

- Spieprzaj, ale już! - warknął. Po czym zamknął za sobą hermetyczne drzwi i wybrał numer. Rozmowa trwała tylko chwilę. Potem klawisz ruszył w stronę miasta, a piegowaty chłopak wszedł do środka.

Odczekał, aż Ogniópiór zniknie za zakrętem, i spokojnie zabrał się do rozkręcania mównika...

Leo uniósł się z krzaków. Zrzucił kubrak poplamiony czerwoną farbą z kapsułki, którą w momencie wybuchu ślebaka rozgniół ręką. Ze wznesienia górującego nad wysypiskiem mógł obserwować dzięki luposkopowi Ogniópióra wsiadającego do pomarańczowego fonopędnika nr DCXXIX. Według późniejszych zeznań kierowcy pozostawił on swojego

pasażera w podziemiach garażu pod Wielkim

Macellum. Inna sprawa, że od tego momentu nikt

więcej nie widział starego klawisza.

Gurus wręczył Słowianinowi mały nagrywacz.

**- Chyba jest tu to, czego pan potrzebował... Ten
strażnik w ogóle nie liczył się z możliwością podsłuchu.**

Leo puścił odtwarzanie.

Efekt wybierania. Po długości impulsów dość łatwo

dało się ustalić numer. (Lokalny 679-22-354)

Głos męski: Zastąłem ciotkę Zytę?

Głos kobiety: Poszła do farmacji po stymule.

- Tu C-II-CXI.

- Łączę.

Inny głos męski: Co znowu? Miałeś tu nie dzwonić.

**- Awaryjna sytuacja. Jakiś facet usiłował wycisnąć ze
mnie wiadomości o Sabu...**

- Milcz! Powiedziałeś mu?

- W życiu.

- Dobrze. Co wie?

- Nic, chyba szuka po omacku.

- Czekaj. Przyjedzie po ciebie fonopędnik.

- Tak jest. Jestem w tej chwili... przy aparacie

MDCCLXI, ruszam wolno w stronę viafasty.

- W porządku.

Odłożenie słuchawki.

**Kiedy do popołudnia Darni nie dał znaku życia,
Leontias zaczął się poważnie niepokoić. Milczał
skupiony nad klawiaturą menscomptera. Dia z
Gurusem wymieniali tylko niespokojne spojrzenia
obawiając się mu przerwać.**

**- Pan uważa, że Darni wpadł? - odezwał się wreszcie
grubasek.**

**- Muszę się liczyć z taką ewentualnością. Jeżeli tak, to
polowanie rozpoczęte.**

- Jakie polowanie? - zapytała Dia.

- Ich na mnie i moje na nich.

- Na nas pewnie też zapolują - ucieszył się Gurus. -

Dostanę broń?

- Muszę was wycofać, bardzo mi pomogliście - uciał

Sclavus - ale teraz w bezpiecznym miejscu

pozostaniecie do końca operacji.

- Zostaniesz całkiem sam - w oczach Dia błysnęła łezka.

**- Nie raz już bywałem... Nie bójcie się, wszystko będzie
dobrze.**

- Nawet jeśli dottor wpadł, na pewno nas nie zdradzi!

To dzielny człowiek - powiedziała dziewczyna.

**- Małeńka, są specyfiki, które rozwiązują usta nawet
kamiennym lwom. Idziemy. Nie drzwiami, możemy już**

być obserwowani, wyjdziemy piwnicą...

Odstawienie młodych na podmiejską agricolę, gdzie wcześniej ukrył omnivanta, i powrót do Florentyny zabrały mu około dwóch godzin. Jeszcze dojeżdżając do miasta miał na wargach smak ust Dii i muśnicie jej drobnego jęczyczka, które zaparło mu dech. Po akcji będę musiał coś zrobić z tą dziewczyną... - postanowił.

Na razie, zamiast skierować się wprost do officium Tarantiona, wjechał na dwudzieste piąte piętro bliźniaczego wieżowca Towarzystwa Asekuracyjnego i z tej wysokości zlustrował apartamenty sąsiada. Nie uszło jego uwagi ani niewielkie lotnisko na dachu, ani kompleks wypoczynkowych term, ciągnący się od piętnastej do osiemnastej kondygnacji, czyli aż do officium mecenasa.

"Ekskluzywny Klub Apollona" - wyczytał w informatorze. "Tylko dla członków". Powoli przeszedł aleją obok głównego wejścia. Doliczył się dwóch portierów i co najmniej trzech ochroniarzy w cywilu. Zarejestrował w pamięci czujniki i wizyjniki.

Okrążywszy budynek znalazł się przy wjeździe do podziemnych parkingów. Funkcję cerberów spełniały czytniki impulsyjne. Nie miał czasu na organizowanie sobie karty członkowskiej Klubu Apollona. Ustawił się

więc opodał ślimaka, którym pędniki opuszczały podziemia. Stanął za zakrętem, w miejscu, gdzie szlaban automatycznie otwierał wyjazd. Nie czekał długo. Po minucie wspaniałym olimpionem nadjechał czerstwy staruszek o senatorskim wyglądzie. Gdy się zatrzymał, a wóz zasłonił go przed okiem wizyjnika, Sclavus bezceremonialnie szarpnął drzwiczki i wdarł się do środka.

- Podrzuci mnie pan do Pięciu Wzgórz? - zapytał, popierając swoją prośbę szturchnięciem króciaka.

Senator okazał się człowiekiem rozsądnym. Nie tylko zawiózł pasażera do najbliższego lasku, ale posunął swoją uprzejmość do tego stopnia, że użyczył mu swojego wozu, miejsca przy kierownicy, sam zadowolając się niezbyt luksusowym lokum w bagażniku. W rewanżu Sclavus ogłuszył go i skrępował naprawdę delikatnie.

Dzięki uprzywilejowanej karcie parkingowej, stanowiącej zarazem wejściówkę do Klubu Apollona nie miał najmniejszych trudności z dotarciem na szczyt wieżowca, tyle że zamiast wysiąść na jednym z poziomów termalnych, pojechał wprost na dziewiętnastkę.

- Nieczynne! - rzuciła opryskliwie czarnobrewa

complementarka, gdy usiłował przekroczyć drzwi officium Filipa Tarantiona. Uwodzicielski uśmiech Leontiasa zrobił na niej mniejsze wrażenie niż jajko pingwizaura na górze lodowej. - Personel nie anonsował mi żadnego klienta - rzekła pochylając się ku fonikowi wewnętrznemu...

- Normalnie spotykamy się z Filipem w termach... - słowa poparł machnięciem sportowej torby - ale dziś go tam nie zastałem.

Na lodowej górze z plaketką "Claudia" pojawiły się symptomy ocieplenia.

- Pan mecenas przebywa poza Florentyną... Wróci dopiero za dwa dni.

- A to przepraszam - Leontias chciał się wycofać, gdy tuż obok wyrósł abominacyjny blondyn o spoconych włosach przyklepionych do jajowatej czaszki.

- Chwileczkę, z kim mam przyjemność? - zapytał.

- To pan powinien się przedstawić, młody człowieku - warknął Leontias.

- Ammianus, asystent pana mecenas - skłonił się wymoczek. - A pan...?

- Nomina sunt odiosa. Mam dla Filipa pewną poufną informację - to mówiąc Sclavus postąpił ku masywnym drzwiom w głębi.

Jednak Ammianus zagroził drogę i wskazał inne

wejście obite gadzią skórą.

- Tu porozmawiamy. - Przepuścił gościa przodem i mrugnął do ciemnobrewej.

Tablinum wypełnione miniaturowymi mebelkami, z obitymi skórą ścianami, zdobionymi portrecikami i starymi sztychami sprawiało urocze wrażenie.

Leontias zauważył jeszcze jedno, szczelnie zamknięte drzwi prowadzące dalej. Sclavus, mimo że asystent wskazał fotel stojący tyłem do owych drzwi, zajął miejsce dokładnie po przeciwnej stronie. Obok postawił sportową torbę.

- Mam przekazać mecenasowi ostrzeżenie - rzekł.

- Ostrzeżenie? - blondyn przyglądził zlepione włosy. - Słucham...

- Jest to informacja wyłącznie dla Filipa.

- Zastępuję go we wszystkich kwestiach.

- Chodzi o osobnika nazwiskiem dottor Darni... używającego pseudonimu Follinus.

- Darni?... Follinus? Absolutnie nie przypominam sobie tego nazwiska...

W tym momencie otworzyły się drzwi na wprost.

- Łapy do góry! - z repeterem w ręku stanął w nich

Flaccus. Leo kątem oka dostrzegł w drzwiach z boku

Claudię uzbrojoną w króciaka. Uniósł dłonie w górę

gestem pełnym rezygnacji.

- Ładnie się traktuje przyjaciół - zaczął, ale wymoczek syknął tylko do Claudii przejmując od niej broń:

"Zrewiduj go".

Dziewczyna wprawnie przejechała dłońmi po ciele

Słowianina, sekundę dłużej niż trzeba zatrzymując się w rejonie krocza.

- Czysty - mruknęła. - Ma kartę klubową. Ale ja go nie znam.

- Zbadaj torbę - asystent wskazał pozostawiony pakunek.

- Nie radzę - uśmiechnął się Leo. Czarnobrewa zatrzymała się w pół kroku.

- Dlaczego?

- Ze względu na bombę! - odrzekł spokojnie. - Przy nieumiejętnym poruszeniu, zdetonuje.

- Załatwię skurwiela - zaproponował milczący dotąd Flaccus.

- To zginiesz za pięć pacierzy, mechanizm został już nastawiony - Sclavus ani przez chwilę nie przestał się uśmiechać. - Nie próbujcie też stąd wychodzić, zaminowałem waszą windę i schody awaryjne.

- Łzesz - powiedział blondyn, ale bez większego przekonania.

- Możecie zajrzeć do torby. Byle ostrożnie, bez potrząśnięcia.

- Zobacz, Claudio - Ammianus postanowił wyręczyć się dziewczyną.

- Jest tu jakiś cholerny mechanizm - powiedziała delikatnie rozchylając brzegi torby - z pulsującym światełkiem...

- Czy mógłbym teraz usiąść? - spytał Leontias. - Jestem trochę zmęczony. I może kolega raczyłby odłożyć to niebezpieczne narzędzie.

- Rozwalę ci łeb! - ryknął Flaccus.

- Akurat to mało konstruktywny sposób popełniania samobójstwa. Jeśli wy zaraz nie zaczniecie wypełniać moich poleceń, ładunek wybuchnie. Wyzwoli się toksyczny gaz thanatyn, który najpierw paraliżuje, potem zabija. Wybuch nastąpi - rzucił okiem na wiszący chronometr - za cztery pacierze. A tylko ja potrafię to wyłączyć. Więc jak chcesz strzelać...

- Strzelaj, Flaccusie! - zawołała Claudia. - On blefuje! Nikt nie idzie dobrowolnie na śmierć...

- Ależ ja nie zamierzam umierać! Jeśli zajrzałaś do torby, musiałaś widzieć pustą fiolkę, zażyłem antidotum, mój krwiobieg nie przyjmie trucizny...

Flaccus nadal nie opuszczał repetera, ale Ammianus

powstrzymał siccara.

- Chwileczkę. A jeśli mówi prawdę?

- Co za cholerny chojrak - wybuchnął Flaccus. - Nie wierzę mu!

- No to poczekajmy... - wtrącił się Leontias. Zostały niecałe cztery pacierze.

- Dobra, poczekajmy - ironicznie podchwyciła dziewczyna.

- Bardzo jestem ciekawy, ile dostał mecenas za wyniesienie się na trzy dni z biura i przyjęcie was na służbę? Sądząc po opaleniznie kolega Flaccus jeszcze niedawno musiał być w tropikach, obstawiałbym Equatorię. Wiedzieliście, że ktoś was rozpracowuje, dlatego uwalniając Flaccusa z carceru liczyliście, że któryś z nas pójdzie jego śladem i wpadnie w pułapkę...?

- Człowieku, nie gadaj tyle, tylko rozbrój to świństwo! - przerwał mu Ammianus.

- Najpierw oddajcie broń!

- Wykluczone! - warknął Flaccus.

- Śmierć po zetknięciu z thanatynem nie jest natychmiastowa - cierpliwie tłumaczył Leo. - Konanie bywa długie i bolesne.

- Łzesz, gnojku!

Gwałtowny wybuch targnął pomieszczeniami officium,

ze ścian i półek posypały się bezcenne bibeloty.

Personel padł na dywan kryjąc głowy w dłoniach.

**- Zdaje się, że nie mamy już windy - zauważył Sclavus
nie ruszając się z fotela. - A nam tu, w tablinum, został
jeszcze jeden pacierz.**

**- Dobra - krzyknął Flaccus, ciskając broń na ziemię. -
Jestem zawodowcem, a nie męczennikiem.**

**- Państwa kolej, moi drodzy - rzekł Leo otwierając
torbę. Odczekał, aż Claudia i Ammianus wykonają
polecenie. Z ulgą przyjęli trzask przełącznika.**

- Wyłączone? - upewniał się asystent.

**Flaccus chciał się schylić po swoją broń, ale Sclavus
kopniakiem wyrzucił ją z tablinum.**

**- Bynajmniej, sprezentowałem wam jedynie następne
pięć pacierzy. - Podniósł porzuconego króciaka
complementarki. - Chciałbym się dowiedzieć, gdzie
Darni.**

**- Zabrali go - mruknął Ammianus. - Uprzedzono nas, że
ktoś może iść jego śladem. Mieliśmy więc poczekać.**

- Rozumiem - Leo bawił się magazynkiem króciaka. -

Jak go zabrano?

**- Wiroplatem. Na dachu jest lądowisko - powiedziała
Claudia.**

- Dawno?

- Dwie godziny temu.

- Kto?

- Nie znamy tych ludzi - powiedział Flaccus. - Wszyscy zostaliśmy tylko wynajęci. Nie wiemy, przez kogo. Nie pytamy, po co.

- Ty musisz wiedzieć! - Leo zwrócił się do wymocзка.

Ten jednak rozłożył ręce.

- Otrzymywałem rozkazy wyłącznie przez pośredników.

Nie interesowałem się, kto za tym stoi. W naszym fachu im mniej się wie, tym dłużej się żyje.

- Jakie to były polecenia?

- No, inwigilacja dottora Darni, kiedy pojechał na Equatorię...

- Dlaczego poszliście z Lucjuszem do Kaliope?

- Powiedziała nam o tobie - Flaccus odpowiadał równie gorliwie jak pozostali, nie przestając zerkać na chronometr. - Poza tym okropnie bała się Januaria i prosiła nas o ochronę.

- Rozumiem, następna sprawa, czy to wasz człowiek śledził mnie w knajpie "Jaja Dinozaura"?

- "Jaja Dinozaura"? - popatrzyli po sobie z autentycznym zdziwieniem.

- A co wiecie o klawiszu z Nadrzecznego Carceru?

- Nie... nie znam sprawy - głos Ammianusa tym razem brzmiał szczerze.

- Dobrze, zatem przejdźmy do najważniejszego. Kto jest waszym zleceniodawcą?

Cisza.

- Cóż, pozostaje mi przeprosić was za zabranie czasu - Leontias pieczołowicie ustawił swoją torbę na stoliku i ruszył ku drzwiom. - Za okno tego nie wyrzucicie, bo szyby pancerne i hermetyczne. Zresztą wystarczy nawet niewielkie poruszenie... A czasu zostało malutko. Trudno... - Tylem wycofał się do drzwi.

- Chwileczkę, zaczekaj - zatrzymał go Ammianus - Chcesz się chyba dogadać. Zatrzymaj więc to paskudztwo.

- Najpierw informacje. Kto jest tym pośrednikiem? I nie próbuj mnie zwodzić, by zyskać na czasie.

- Znam tylko jego pseudonim.

- Jaki?

Wymoczek przelknął ślinę.

- Chciałbym najpierw otrzymać gwarancję, że jeśli powiem...

- W porządku, jeśli powiesz, uratujesz życie. I tak nie będzie ono wiele warte.

- Myli się pan. Ja też kalkuluję. Jeśli pan ich załatwi, to

**mnie to urządzi. Nie będą mogli nic mi zrobić. Przecież
ja jestem tylko wynajęty. Wziąłem zaliczkę. A śmierć
zleceniodawcy rozwiązuje umowę.**

- Dobrze, ale o jakiej gwarancji myślisz, Ammianusie?

- O pańskim słowie honoru.

- Czyżby? Wierzysz w coś takiego jak honor?

- W pana przypadku wierzę - uśmiechnął się blade. -

Różnica generacji. Pan należy do wymierającego

gatunku rycerzy. My nie.

- W porządku, ma pan moje słowo. A więc pośrednik?

- Kazał nazywać się Febus.

- Słoneczko, nieźle! Coś jeszcze?

**- Nigdy nie widziałem go osobiście. Kiedy rozmawiamy
przez fonik, włącza zniekształczacz głosu.**

- Jak się komunikujecie?

**- Gdy ma polecenia, dzwoni. Ja mogę jedynie zostawić
informację z prośbą o kontakt. Lub meldunek.**

- Gdzie?

- W redakcji "Błękitnego Raptularza" u libratorki

Pinetty.

**- Zadzwoń teraz do tego "Raptularza". - Leontias jeszcze raz przestawił zapalnik
wywołując ulgę na**

**twarzach całej trójki. - Miałeś przecież zameldować o
zlikwidowaniu mnie. Jak powinien brzmieć pozytywny**

meldunek?

- Pozew oddalony.

- A hasło?

- Ikar. Odzew Minotaur... Z tym, że te słowa powinny być ukryte wewnątrz wypowiedzianego zdania.

- Doskonale, sprawdzimy. A potem jeszcze trochę poczekamy.

- Na co?

- Na reakcję. Jeśli przybędą tu jacyś goście, znaczy, że skłamałeś. I właśnie umierasz. Dzwon...

Gdy Ammianus trzęsącymi dłońmi wybierał właściwe numery, Sclavus wziął do ręki mównik.

- Pan będzie mówił? - zaniepokoił się asystent.

- Ja. Hasło Ikar. Odzew Minotaur. Nieprawdaż?

- Hasło Dedal, przejęczyłem się - poprawił wymoczek.

Zabrział hymn sztabu wyborczego Cedrusa i odezwał się głęboki alt.

- Słucham, "Błękitny Raptularz".

- Chciałem mówić z libratorką Pinettą.

- Przy słusku.

- Każdy jest Dedalem swojego losu - wycedził wolno.

- Jeśli nie trafi na Minotaura - padła odpowiedź.

- Pozew oddalony.

- Dziękuję, przekażę...

Rozmowa zaabsorbowała nieco Leontiasa, jednak nie do tego stopnia, by nie zauważyć porozumiewawczych spojrzeń między Flaccusem, Ammianusem a Claudią.

Kiedy Leo odkładał mównik, czarnobrewa pochyliła się i gwałtownie szarpnęła za dywanik. Każdy w tej sytuacji musiałby stracić równowagę, atoli Słowianin ułamek sekundy wcześniej podskoczył, a następnie instynktownie przypadł do ziemi. O centymetry minął go dzirynt górali orelskich ciśnięty przez Flaccusa.

Leontias nie miał wyboru. Dwa kłaśnięcia króciaka.

Obaj najemnicy osunęli się jak szmaciane lalki.

- Chciałem dotrzymać słowa - powiedział wpatrując się w gasnące oczy Ammianusa. Claudia, bielsza niż gipsowa Niobe, stała nieruchomo pod ścianą.

Przymknęła oczy, czekając na śmierć.

- Pozwól ze mną, nerito - rzekł Leo pociągając ją w stronę windy. - I nie drzyj. Kobiety zabijam tylko w ostateczności. Nie chciałbym natomiast prowadzić zbędnych dyskusji z waszymi portierami lub parkingowymi...

- Ale bomba? - wykrztusiła. - Przecież zaminowałeś...

- Trochę dymu, trochę huku. Przecież jeśliby doszło do prawdziwej detonacji, mielibyśmy na głowie całą

obsługę wieżowca i połowę służb miejskich Florentyny.

Octavia postawiła tackę z naparem i dyskretnie opuściła zefiriańskie atrium. Cedrus podsunął Ruffixowi czarę ze słodziwem, ale ten podziękował ruchem ręki. Mimo późnej pory szef sztabu miał na policzkach czerstwe rumieńce, a oczy płonęły mu energią. Natomiast Cedrus zapadnięty w niszy fotela wyglądał wręcz staro. Nerwy? Ruffix miał nadzieję, że nie zawiodą w decydującym momencie. Od przejęcia władzy dzieliły ich godziny.

Porozumiewali się wzrokiem. Ruffix wprawdzie przysięgał, że w pomieszczeniu nie może być żadnych podsłuchów, ale czy można mówić o jakiegokolwiek pewności w czasach tryumfującej miniaturyzacji?...

- Widziałem się dziś z Marcellisem i załatwiłem ważną sprawę - powiedział Quintus. - Uzgodniliśmy z prefektissimusem, że od jutra zaczniesz przejmować jego obowiązki.

- Od jutra!? - zielone oczy Ruffixa zwężyły się.

- Konkretnie, jeszcze przez trzy dni Markus zachowa zwierzchnictwo nad manipulami specjalnymi, ale ty już od dziś możesz zapoznawać się z archiwami i strukturą officjów. W końcu idzie o wybór na stanowiska sprawdzonych ludzi.

- Oczywiście.

**- Sam przejrzałem pobieżnie ważniejsze rejestry -
archiwum Penetratoriatu Ekumeńskiego,**

**Wandalijskiego... To fascynujące nawet dla takiego
laika jak ja, a co dopiero dla zawodowca.**

**Ruffix pociągnął naparu i dość nieokrzesanie popłukał
nim zęby.**

**- Ale wszystko idzie zgodnie z harmonogramem? -
spytał wypluwając płyn do alabastrowej konchy.**

- Ani szybciej, ani wolniej. W sam raz.

**Szef sztabu otarł usta i wyszedł, miał jeszcze sporo
spraw do załatwienia.**

Claudia jako zakładniczka nie sprawiała trudności.

**Posłusznie zjechała do podziemi wieżowca, mijając
ochroniarzy posłała czarujący uśmiech i bez słowa
wsiadła do olimpiona.**

**- Co zamierzasz ze mną zrobić? - zapytała, kiedy
znaleźli się już na drodze.**

**- A co proponujesz, miłośnienie czy rozmowę o filozofii
neojońskiej?**

**Zrobiła obrażona minę i zacięła usta. Sclavus dobrze
znał ten typ kobiet, pozornie tajemniczych i równie
pozornie wykształconych. Bardzo szybko oszacował ją
jako profesjonalną agentkę, w dodatku zimną lesbijkę,**

czującą pogardę do całego świata stworzonego przez Boga, podobno mężczyznę. Właściwie powinien ją zabić, jednak ciągle odczuwał skrupuły.

Na wielkim parkingu przy viafaście porzucił zarekwirowany pędnik i uchyliwszy tylną klapę, by zapewnić właścicielowi dopływ powietrza, pożyczył sobie innego nie rzucającego się w oczy grata.

Przez godzinę sunęli zieloną wyżyną, gdzie wśród jezior, gajów owocowych i spływających ze stoków winnic pobłyskiwały białe ściany nobilitackich villi. Później Leontias skręcił w krętą boczną drogę prowadzącą na szczyt wzgórza, za którym rozpościerał się rejon bagien i mokradeł zwany Wielką Ostoją Natury. Ukradzony pędnik zepchnął do jednego z wulkanicznych bajorek mając nadzieję, że przyroda szybko upora się z metalową karoserią. Około milli przeszli pieszo.

Claudia zdjęła koturnowe buciki i szła rzucając na lewo i prawo ponure spojrzenia. Tak dotarli do większego stawu, gdzie w gęstwinie wodnych prętaczy Leo odszukał łódkę... Complementarka pobladła.

- Chcesz mnie utopić, siccaro?

Zignorował pytanie. Dziarsko powiosłował ku wyspie zieleniejącej na środku jeziora. Wnet ukazał się drewniany pomost, a na nim grubasek-okularnik,

łowiący ryby za pomocą sznurka owiniętego wokół ramienia.

- Uważaj, Gurusie, na rybowęże, są bardzo zdradliwe - powiedział Słowianin.

- Ale zjadliwe, dwa już czekają w koszyku na kolację.

Dia strasznie się o pana niepokoiła. - Ech, te baby... -

dopiero teraz spostrzegł Claudię. - A ta domina to kto?

- Nasz więzień - Leo uśmiechnął się. - Zawsze chciałeś mieć jakieś niebezpieczne zadanie. Oto i ono.

- Co mam z nią zrobić? - Gurus z zainteresowaniem oglądał czarnobrewą.

- Pilnować. To żyjątko jest dosyć niebezpieczne.

W domku rybackim znalazł się odpowiedni sprzęt,

Claudia została skuta małymi eleganckimi kajdankami,

a Gurus dostał do obrony jej własnego króciaka.

- Mam nadzieję, że poradzisz sobie z nią do mego

powrotu - powiedział Sclavus kierując się do ukrytego

w szopie omnivanta.

- Już wyjeżdżasz, szefie, nie zobaczysz Dii? Będzie

wściekła i całą złość wyladuje na mnie.

W tej samej chwili sprawa okazała się

bezprzedmiotowa. Rozległ się tupot bosych stóp i

zdyszana Herrianka wpadła w ramiona Leontiasa

pokrywając go pocałunkami.

- Leo, mój Leo, mój Leo!

Gurus zażenowany odwrócił głowę. Complementarka z officium Tarantiona przyglądała się scenie w milczeniu.

Sztab Elekta nadal mieścił się w Hostelu Asilium.

Okolo nony rozpoczęło się tam przyjęcie dla mediaferrantów zjeżdżających już na ceremonię zaprzysiężenia. Poza Cedrussem pojawiła się praktycznie cała śmietanka "Niebieskich":

ProNavigator Longinus, Lucjusz Gnerus, Marek Ursin.

Oczekiwano przybycia Ruffixa z Castrum Goliathum.

Wyposażony w doskonale podrobioną plakietę wandalijskiego correspondansa, przygarbiony Sclavus w siwej peruce nie rzucał się w oczy w tłumie gości. Nie zwrócił nań uwagi Ursin ani żaden z doskonale wyszkolonych agentów ochrony. Popijając gorzkawą winisę i skubiąc najrozmaitsze specjały Leontias bez większego trudu zlokalizował Pinettę. Wielkobiusta complementarka królowała na stoisku "Błękitnego Raptularza". Uśmiechnięta, zerkająca życzliwie spoza grubych szkieł niewiasta wyglądała na istny ekstrakt przychylności dla każdego mężczyzny. Jeśli Claudia kojarzyła się z południowym lądolodem, to Pinetta przypominała raczej rodzinne wczasy na Equatorii.

Leontias zachowywał się jak typowy prowincjonalny pismak, olśniony urodą libratorki. Parokrotnie zaglądał na jej stoisko, wypytywał o detale kampanii, które nie mogłyby zainteresować nawet pracownic wandalijskiej garkuchni. Wypili wspólnie parę czarek winissy i w którymś momencie Sclavus tak zadomowił się w "Błękitnym Raptularzu", że sam zaczął rozdawać materiały medialne.

- To jest miejsce służbowe - usłyszał naraz nieprzyjemne syknięcie poparte mocnym chwytem rosłego ochroniarza w błękitnym uniformie. Leo, choć nie ułomek, na jego tle wydawał się drobniuteńki.

- Ale ja tylko pomagam... - rzekł czując się jak wrywana marchewka.

- Bardzo dziękujemy - warknął osilek. - Wyrażam się chyba jasno?

Słowianin lekko zataczając się opuścił Błękitny Zakątek. Minął perystyl z ognistą fontanną i skręcił do małego barku utrzymanego w stylu żeglarskim.

Zamówił szklaneczkę hiry, najlepszy środek wymiotny.

Nawet markowanie picia ma swoje granice. Sącył wolno napój, gdy nagle kotara zasłaniająca przejście do cubikulów służbowych zafalowała.

- Prima. Casetta 635 - usłyszał zmysłowy szept Pinetty.

Pozostały mu trzy hory. Nie tracąc czasu opuścił

"Asilium" i w pół godziny później znalazł się opodal knajpy "Jaja Dinozaura". Instynkt podpowiedział mu, że musi być to lokal pod specjalnym nadzorem. Z

gazety wiedział już o wyłowieniu z rzeki ciała

gadatliwego włóczęgi, który uraczył go tyloma cennymi informacjami.

Z automatu naprzeciw knajpy wybrał numer 679-22-

354. Gdy ktoś uniósł słuchawkę, rzekł: - Zastąłem

ciotkę Zytę?

- Poszła do apteki po stymulanty - padła odpowiedź.

- Tu C-II-CXI.

- Moment zaskoczenia... Chwila ciszy. Wreszcie

zabrział kobiecy głos: - To pomyłka...

- Słuchaj, malutka - rzucił chrapliwie. - Pogadajmy.

Wiem od kumpla wszystko. - Zlustrował ulicę, zza rogu

wyłonił się facet pękaty jak beka w nieprawdopodobnie

barwnej tunizie. - Za chwilę będę przechodził koło "Jaj

Dinozaura". Noszę krótką tunizę w złoto-czerwone

rosynie. Niech ktoś wyjdzie ze mną pogadać. I żadnych

numerów.

Oparty o szkarpę czekał. Wielokwiatowy grubas minął

wejście do popiny i wolno schodził w stronę portu.

Czyżby prowokacja się nie udała? Ale nie. Już z knajpy

wynurzył się niewielki facet o aparycji szczura i ruszył

w ślad za oddalającą się tuniką... Leontias ruszył za

nim. Gdy mijali ciemną bramę, gwałtownym szarpnięciem wciągnął szczurka w głęboki cień.

Czekała go zajmująca rozmowa.

Minęło pięć pacierzy po primie. Pinetta w cienkim peplum krążyła po casettce (wielopokojowym apartamencie dla nowożeńców) i zerkąła na chronometr.

- Przyjdzie, nie przyjdzie...?

Zadzwęczał fonikon.

- Dobry wieczór, domina, tu twój niezdarny współpracownik ze stolika informacyjnego - wydała czarujące westchnienie ulgi. - Niestety, dziś do ciebie przyjść nie mogę. Ale może jutro wpadniemy gdzieś razem na napar do term?

- Nie wiem, czy jutro będę miała czas - odpowiedziała chłodno. Jej chłód byłby zapewne jeszcze większy, gdyby wiedziała, że niedoszły kochanek, tym razem jako śniady i ciemnowłosy Equatoriańczyk, znajduje się w przezroczystym fonokubiku na patio VI poziomu, z doskonałym widokiem na cały korytarz i dzięki elektronicznej przystawce może podsłuchiwać wszystkie rozmowy wychodzące z jej apartamentu.

Minęły ledwie trzy pacierze, a z casettki Pinetty wysunęło się dwóch drabów, których jako żywo nie

powinno tam być podczas eroschadzki. Minęli

fonokubik nie zwracając uwagi na Equatorianina, żywo gestykulującego podczas rozmowy, z temperamentem właściwym ludziom spod równika.

Tymczasem Pinetta opuszczona przez ochroniarzy sięgnęła po fonikon. Aparatura podsłuchowa wskazała, że zadzwoniła pod numer wewnętrzny 1891. W

małej słuchaweczce w uchu Leontiasa zabrzmiało męskie "Ave" i zaraz potem ciepły głos libratorki.

- Febus? On wycofał się z wizyty. Może to nie ten człowiek.

- Przeciwnie. Fakt, że zrejterował, dowodzi, że jest ostrożny i niebezpieczny. Bądź ostrożna. Czekaj na kontakt.

Leontias uśmiechnął się. Wcześniej pomagając na stoisku znalazł broszurę z wykazem fonikonów hostelowych. Numery powyżej 1500 należały do aparatów przenośnych wypożyczanych gościom.

Zadzwonił do recepcji.

- Jakiś gość zostawił w górnej palarni fonikon numer 1891 - powiedział z lekką pijacką czkawką. - Komu mam to oddać?

Chwilę później znalazł już nazwisko Febusa - Ruffo Ruffix.

XIII CORAZ MNIEJ CZASU

Dziewiętnastego żeńca przygotowania do Inauguracji zostały praktycznie zakończone. Wokół Wielkiej Itinery wzniesiono już dziesiątki trybun. Kolosalne figury poprzedników nowego Navigatora spowijały girlandy kwietne. Na fluiarach wzdłuż rzeki Zielonej lud florentyński zgromadził tony zbędnych sprzętów i makulatury. Sterty te miały zapłonąć o zmierzchu jako symbol odchodzącej epoki. Równocześnie stosy inauguracyjne stwarzały dla Florentyńczyków wyjątkową okazję darmowego pozbycia się rzeczy zbędnych. Do przedmiotów, których najchętniej wyzbywały się officja publiczne i scuole, najczęściej należały podobizny ustępującego Navigatora i kodeksy z jego wystąpieniami. Sic transit gloria mundi!

Przygotowano również tysiące ogni greckich i balonów. W tabernach i mercatoriach ustawiono "żywe wystawy". Na nich urodziwe puellki demonstrowały garderobę w barwach patriotycznych lub pozbawione jej demonstrowały doskonałość fizyczną. Wysprzedano do ostatniego miejsca wejściówki na punkty widokowe na pergulach i menianach wzdłuż trasy przejazdu Navigatora. Równocześnie trwała niesamowita mobilizacja sił sekuryckich i vigilianckich. Zabezpieczano dachy i strychy, studzienki kloaczne i

okienka do cavern, nasilono penetrację FOI wśród grup subkulturowych.

Pełną parą pracowały wytwórnice memuarników, niezliczone matryce powielaly twarz Cedrusa na chitonach i chorągiewkach, czarkach i kraterach, a nawet deskach kuchennych. Zdwojone obroty notowały oficyny wydawnicze. Szczególnym powodzeniem cieszyły się "Wieszczby na nową navigaturę" sporządzane przez rzekomo natchnionych heruspików.

Okolo południa Rufo Ruffix pozbył się wreszcie Kasjusza Longinusa, któremu towarzyszył przy śniadaniu na Wzgórzu Kurialnym. Faktyczny zastępca Cedrusa traktował nominalnego zastępcę przywódcy jako uciążliwy balast, pozbawiony władczych kompetencji. ProNavigator był zawsze figurą trochę śmieszna, musiał kontentować się rolą satelity, świecić światłem odbitym, choć, jak trafnie zauważył jeden z mediaferrantów, każdego ProNavigatora dzieli od głównego stolca co najmniej jedna kadencja lub mały kawałek ołowiu.

Po przybyciu do FOI silny człowiek Cedrusa spożył południowy posiłek z Marcellisem. Później zwiedził cały podziemny kompleks i z gorliwością zeloty

zanurzył się w archiwaliach. Gdyby cokolwiek wymagało dodatkowych wyjaśnień, ustępujący prefectissimus przydzielił mu do pomocy zaprzysiężoną complementarkę, a poza tym dał całkowicie wolną rękę. Rufo jak lis, który znalazł się w kurniku, rzucił się buszować w najgłębszych tajemnicach Archipelagu. Z konieczności przelatywał jedynie sumaryczne regesty, zatrzymując się na dłużej przy indexach dotyczących obronności lub analizach na temat penetracji kraju przez obce agencje.

Z pewnym rozbawieniem przeczytał akta osobowe Cedrusa i własne. Przez wąskie wargi prześlizgnął się uśmiezek.

- O durnie!

I naraz coś go zastanowiło. Jeszcze raz przywołał menscompterowe indexy.

- Brakuje pozycji indexowej między 456 a 458, czyżby błąd w numeracji? - zwrócił się do complementarki.

- Materiał jest niedostępny - odpowiedziała sucho oficjalka.

- Nawet dla mnie? Co to znaczy?

- Jest to zespół, który można odtworzyć wyłącznie na polecenie prefectissimusa i urzędującego Navigatora.

- A co to takiego? Tajemnice łóżkowe członków

Arbitriatu?

- Nie znam szczegółów - odpowiedziała sucho - ale mogę poprosić szefa.

Marcellis zjawił się po paru pacierzach.

- Rasowy fachowiec wszystko zauważy - powiedział poklepując Ruffona. - Ja też bym od tego zaczął. 457 - to operacja "Siatka".

- "Siatka"? Nigdy o tym nie słyszałem, choć od lat śledzę debaty w Kurii dotyczące archipelagiańskiego bezpieczeństwa.

- Poza mną i paroma fachowcami, którzy wycinkowo zajmowali się programowaniem, nikt nie zna całości.

- Nawet Navigatorzy? Oni przecież musieli...

- Z tą pewnością bym nie przesadzał. Owszem, wiedzieli, że coś takiego zostało opracowane, udzielali swojej odgórnej aprobaty, jednak starałem się ich nie wtajemniczać w szczegóły. Tyle dzieje się w naszych niespokojnych czasach, Navigatorzy mogą zostać porwani lub okazać się zbyt rozmowni. Uważam, że pewne sprawy należy pozostawiać fachowcom. Takim jak my.

- Kiedy będę mógł zapoznać się z tą... "Siatką"? Nie ukrywam, że w obliczu aktywizacji służb Ekumeny i

Wandalii powinienem móc szybko.

- Zgoda - przerwał z cichą rezygnacją Marcellis. -

Przekazywanie władzy to okres szczególny, każdemu, nawet mnie, może się coś przytrafić. Powinien pan z grubsza wiedzieć... Oczywiście, bez szczegółów operacyjnych. "Siatka" to stary plan, zaczęto go montować wiele lat temu jeszcze przed Arriandem. Ja też poznałem go dopiero w wigilię swojej inauguracji. Jest to plan na "chwilę rozpaczy", który, mieliśmy nadzieję, nigdy nie zostanie wykorzystany.

- Ale czego dotyczy?

- Przyjaciół wśród wrogów - padła krótka odpowiedź.

Ruffo skinął głową, ale nic nie powiedział. - Jego opracowanie rozpoczęto w czasach, kiedy globalny konflikt wisiał na włosku. U Greków srożył się Periander... Kontynuowaliśmy go potem, przez lata walcząc o każdy grosz z Kurią, ukrywając wydatki w rezerwach na nowe techniki i umundurowanie, ba, nawet ściągając haracz z kaprów i przemytników.

- Ale na czym polega ów awaryjny plan?

- Znasz, Ruffo, dziecianną grę w siatkę?

Któż jej nie znał, bawiono się w nią na każdym podwórku. Należało za pomocą liny upleść maksymalnie dużą siatkę w tak misterny sposób, że rozsypywała się ona za jednym pociągnięciem sznura.

Przegrywał ten, kto na czas nie cofnął ręki.

- Wyobraź sobie, że narasta globalny konflikt, awanturniczy hierarchat nakazuje inwazję którejś z wysp albo wszystkich. I wtedy nasi agenci w Ekumenie otrzymują sygnał. Jest ich wielu, ukrytych przeciwników arymanizmu, zwolenników narodowych separatyzmów czy po prostu ludzi przez nas kupionych. Uruchamiają działania dywersyjne, paraliżują działanie władz Ekumeny, wprowadzają chaos w wojsku, w mediach.

Gdy Marcellis skończył mówić, twarz Ruffixa mieniła się z emocji. W najbardziej fantastycznych snach nie mógł sobie wyobrazić czegoś podobnego.

- Taka siatka w zamkniętym społeczeństwie. Dlaczego jednak, na Jedynego, nie użyto jej... podczas wojny herriańskiej, podczas konfliktu flot na Wielkim Prądzie?!

- Proszę spytać o to polityków. Zawsze uważali, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Że istnieje ryzyko porażki, że trzeba chronić naszych agentów, że destabilizacja Ekumeny grozi konfliktem jądrowym.

Zresztą dziś byłoby to chyba niewykonalne.

- Czemu?

- Kontakty zostały zerwane, łącznicy wycofani. A parę

lat temu ze względów bezpieczeństwa dane operacyjne

zostały zniszczone, wymazano je z pamięci

menscompterów...

- Jednak nasi kolaboranci - "oczka" tej siatki - przecież żyją, czekają. Co byłoby, gdyby dziś ktoś nadał sygnał?

- Prawdopodobnie rozpoczęliby akcję... Oczywiście, bez

precyzyjnej synchronizacji byłoby to szaleństwo. Mimo

to kod sygnałowy otrzyma pan wraz z dostępem do

sejfu głównego po oficjalnej nominacji. Ode mnie lub,

gdyby mi się coś przydarzyło, od mego zastępcy.

Rola uzbrojonego strażnika pięknej i groźnej kobiety to

w grach obraznikowych typu homo ludens jedna z

najlepszych pozycji wyjściowych. Gurus potraktował ją

niesłychanie poważnie. Nie spuszczał oczu z Claudii, a

gdy ta zapytała o toaletę, wysłał razem z nią Dię.

- Czego się boisz, panie mój - uśmiechnęła się

czarnobrewa. - Bezbronna i w dodatku w kajdankach

na rękach i na nogach nie ucieknę wam przecież rurą

kłoczną. Czy szef ci nie mówił, że byłam tylko

przypadkowym uczestnikiem starcia u mecenasa

Tarantiona? Nie mówił?

Gurus postanowił się nie odzywać. W instrukcji gry za

kontakt słowny z więźniem obrywało się punkty karne.

Dia okazała się życzliwsza, nie odpowiadała wprawdzie

na pytania, ale podczas posiłku wyjęła kobiecie ości z ryby, a nawet zgodziła się rozczesać włosy.

- Jesteś dupeczką chłopca czy tego starego? - zapytała w trakcie tego zabiegu Claudia.

- Leo jest równie młody jak pani albo bardziej! -

Wybuchnęła dziewczyna i zła na siebie, że dała się ponieść emocji, opuściła alkowę.

Claudia została sama z Gurusem. Wyrostek zajął stanowisko na siedzisku i nie przeszkadzał ciemnowłosej rozłożyć się na łóżku. Przeciągając się miauknęła jak kotka. Skute ręce odgięła do tyłu ponad głowę, aż wydatne piersi omal nie przebiły materiału albany.

Chłopak udął, że tego nie widzi. Odporność na żeńskie wdzięki nie była jego mocnym punktem. Wprawdzie

Gurus skończył już szesnaście lat i uchodził za

najinteligentniejszego z całej paczki, ale, o hańbo, był męską dziewicą. Całe jego doświadczenie ograniczało

się do podejrzenia paru schadzek w orelskich

zagajnikach i namiętnej lektury "Porno - rulonów", co w jego wieku zdarza się wszystkim kandydatom na

wybitnych intelektualistów. Wprawdzie wyobraźnię

chłopaka pulchną jak jego policzki zaprzętała Dia, nie

znaczy to, że wypełniała ją bez reszty. Wśród tej reszty

kryło się mnóstwo gołych Equatorianek i

bezpruderyjnych gwiazdek z "rulonów dla dorosłych".

W swoich snach z ich udziałem Gurus bywał zazwyczaj

pogromcą dinozaurów, dwumetrowym blondynem o

bezczelnym spojrzeniu i gigantycznych genitaliach.

Poranki, które witał wtulony w poduszkę, niosły z sobą

coś upokarzającego. Szedł do łazienki, spoglądał w

lustro, porównywał marzenia z rzeczywistością i

wzdychał.

Oreelskie księżniczki w typie Claudii znajdowały w

snach miejsce poczesne i wilgotne. Czarnobrewa nie do

końca wydawała się postacią realną. Być może

sprawiało to jej wyzywające spojrzenie, bezczelność

karminowych ust albo drażniąca obecność myszki na

policzku?

- Podobam ci się, strażniku? - zapytała naraz.

Poczerwieniał, ale milczał. - Rozumiem, służba nie

drużba? Szanuję to i podziwiam. A właściwie ile masz

lat? Jeśli nie chcesz mówić, możesz pokazać. Na

palcach.

- Siedemnaście - mruknął, postarzając się o rok.

- Myślałam, że co najmniej osiemnaście, wyglądasz tak

męsko!

Dla kogoś, kogo od paru lat przezywano "bułą" lub

"stekowcem", komu wiecznie pocily się ręce i spadały okulary, komplement, nawet jeśli był trochę na wyrost,

zabrział jak muzyka sfer anielskich.

Tymczasem przez następną horę Claudia nie powiedziała słowa. Nawet na niego nie patrzyła licząc sęki na deskach stropowych. Było to poniekąd wkurzające. I nudne. Ziewnął. Wtedy przemówiła:

- Właściwie mógłbyś położyć się spać, zamkniesz mnie.

W alkowie nie ma okna...

Zdecydowanie pokręcił głową. Myśli, że ma do czynienia z naiwniakiem?

- Jak nie chcesz, będę spać sama. - Przymknęła oczy. Po

chwili jej oddech się wyrównał. Udawała? W każdym razie Gurus mógł się jej wreszcie przyjrzeć dokładniej.

Dotąd rzucał jej ukradkowe spojrzenia. Teraz mógł ją

obserwować niczym żywą rzeźbę, i to z pracowni

mistrza. Dojrzała, lecz niestara. Smukła, choć

niechuda, miała rasowe nogi (połyskliwe kajdanki

tylko podkreślały szczupłość kostek), przechodzące w

piękne uda... Skraj sukni swawolnie zawinał się, toteż

zwiedzający mógł wędrować wzrokiem wysoko ponad

kolano i tylko żałować, że dalej rozpoczyna się strefa

gęstego cienia. Gurus dzięki wyobraźni mógł sobie

tamten rejon doskonale wyobrazić, dalby jednak wiele

mogąc uczestniczyć osobiście w wycieczce w tę cienistość.

Ciekawiło go, jak mocny ma sen. Dia spała zawsze czujnie jak awozaurek budząc się przy najmniejszym szmerze. Ale ta... Podniósł się bezszelestnie.

Czarnobrewa spała dalej, oddychając równo, podszedł tak blisko, że poczuł niepokojący zapach jej potu pomieszany z doskonałymi pachnidłami...

Claudia otworzyła oczy. Błyskawicznie opadł na fotel nie wypuszczając króciaka. Zignorowała te manewry.

- Okropnie niewygodnie spać w ubraniu - rzekła. -

Możesz mi pomóc się rozebrać? Ze skutymi rękami i nogami niewiele mogę... Proszę...

- Jeśli to podstęp, to uprzedzam, umiem strzelać - powiedział, zbliżając się do brunetki.

- Wierzę ci. Rozepnij mi tylko te dwie fibule i agrafę. O,

jeszcze ten zatrzask i ten. Bez albany, jeno z podtrzymującym piersi strofium Claudia wyglądała

jeszcze powabniej. Zwłaszcza że sutki jej piersi

prowokująco prześwitywały przez jedwab. - Teraz

rozluźnij pasek... - poprosiła. - O, jak dobrze. Nakryj

mnie pledem.

Ku jego żalowi cała ceremonia ściągania dolnej

póltuniki odbyła się już pod pledem. A na co liczył?

- Zapewne miałeś dużo kobiet? - zapytała nagle

Claudia.

- Ychy.

- A tak między nami, wolisz brunetki czy blondynki?

Zawahał się. Stwierdzenie, że preferuje brunetki nie przechodziło mu przez usta, z kolei wybór blondynek mógłby być niegrzeczny wobec czarnowłosej.

- A ja ci się podobam?

Przelknął ślinę. Delikatnie podciągnęła koc ku górze.

Najpierw wyjrzały paluszki, piątka różowych kucyków z siodłami pokrytymi perłową farbą. Później wyloniła się cała stopa.... Kostki skute bransoletkami. Koc szedł w górę jak kurtyna w Narodowym Orelskim Odeonie.

Już ujawnił kształtne łydki, minął kolano. Gurus gotów był się założyć, że zatrzyma się na udach, ale proces odsłaniania trwał nadal. I naraz ukazało się to, czego nigdy nie widział z bliska na swobodzie, w stanie można rzec pierwotnym. (Podglądanie w latrynie starej Sesterii nie liczyło się w tej konkurencji, a gdy koledzy hultaje rozebrali Dię, miał przez cały czas zapotniałe okulary). Oto pojawił się włochaty przystrzyżony gazon w kształcie tępego klina, czarny jak futro ultimijskiej wydry. Ale zaraz się zasłonił.

- Usiądź koło mnie, strażniku. Obiecuję, zostanę twym

więźniem, nie będę cię namawiała, żebyś mnie wypuścił. A przeciwnie, gotowa jestem oddać się twym najwymyślniejszym torturom. Boisz się?

- Nie boję - odrzekł cokolwiek chrapliwie - i tak nie mam kluczyka do kajdanek.

- Chcę, żebyś tylko usiadł na łóżku. Broń możesz cały czas trzymać w ręku. Miły chłopiec. Chcesz mnie może dotknąć? Śmiało!

Jej skóra przypominająca najdelikatniejszy jedwab była bardzo ciepła. Zwłaszcza po wewnętrznej stronie ud w porównaniu z zewnętrzną... Poczul, jak ogarnia go dziwny dygot. Nie mógł nawet opanować szczęknięcia zębami.

- Zimno ci? Może wejdiesz pod koc - proponowała kusicielka.

- Nie jest mi zzzimno - wyjąkał. Jej skute ręce dotknęły jego ramion.

- Odpręż się, herosie. Chcę tylko, abyśmy się oboje nie nudzili. Znam mnóstwo doskonałych zabaw. Naraz jej głowa znalazła się w jego kolanach. - Och, twoja męskość, czuję ją... pragnę...

Przymknął oczy, nie chcąc patrzeć, jak manipuluje przy środkowych zapinkach jego kombinezonu. Naraz zatrzymała się.

- Słyszaleś?

- Co?

- Chyba mała chodzi po domu.

Poderwał się i zbliżył do wyjścia z sąsiedniej cubiculi.

Tracił klamkę. Zamknięte.

- Zaryglowała się od zewnątrz.

- No to wracaj do mnie, mój strażniku, mój wielki.

Wrócił. Napięcie ustępowało, a gdy poczuł wargi

kobiety na swoim brzuchu, ogarnęło go niebywale

znieczulenie, napłynęła omdlewająca rozkosz...

I wtedy gwałtownie poderwała głowę. Trafiła go

czaszką prosto w szczękę. Gurus osunął się

zamroczone, króciak wypadł z jego ręki. Claudia

zsunęła się naga z łoża i podniosła broń z podłogi.

Podpełzła ku drzwiom. Zamknięte. Pomyślała o

przerażeniu uwięzionej wewnątrz smarkuli.

Zachichotała. Zemsta to rozkoszna rzecz. Na początek

jednak musiała się uwolnić. Najpierw przestreliła

łańcuszek łączący kajdanki u nóg. Potem

wygimnastykowanymi palcami stóp pociągnęła za

spust uwalniając ręce... Dziecinnie proste! Kopniakiem

wywalila drzwi od alkowy. W słabej smudze światła

ujrzała wybrzuszenie pod kocem. Strzeliła

kilkakrotnie, aż z poduszek posypało się delikatne

siano. Dopadła posłania. Wzniesienie okazało się jedynie fałdą pledu. Dii tam nie było. Szarpnięciami otwierała szafy. Siekając garderobę przestrelila stojącą w kącie skrzynię... Każdą z kul przeznaczała w myśli dla wielkiego Słowianina.

Dziewczyny jednak nigdzie nie było. Alkowa nie miała okna. Pozostawał piec, wielki kominek. Rzut oka na palenisko ujawnił sporo świeżo spadłej sadzy.

A więc tam wlaźła, doskonale, zostawimy twemu panu skwareczkę. Zgarnęła z półek trochę książek, bukiet zeschłych kwiatów, podpaliła - wysoko z przewodu kominowego rozległ się pełen przerażenia krzyk.

- Dobranoc, malutka.

Nie miała czasu czekać na koniec całopalenia.

Przebiegając obok nieprzytomnego Gurusa zastanawiała się, czy nie władować również kulki w chłopaka, ale nieprzytomny Gurus w niczym jej nie przeszkadzał. Poza tym potrzebowała naboju. Dom był pusty i cichy, jeśli nie liczyć syku ognia. Szybko dobiegła do przystani. Kolejną kulą rozwalila kłódkę mocującą łódź do metalowego pacholka... I wtedy coś ciężkiego spadło jej na plecy, wbiło pod wodę. Gurus...?

Tak! Chłopak oprzytomniał i dopadł ją. Przygwoździł pod powierzchnią... Zachłysnęła się. Efekt zaskoczenia

działał jednak krótko. Gdybyż nie była mistrzynią walki

**wręcz? Najpierw pociągnęła go na głębszą wodę, tam,
gdzie przewaga masy nie miała już znaczenia, potem
zadała ciosy. Puścił ją, niezdarnie próbował uciekać.**

Dopadła go na płyciźnie. Jeszcze dwa uderzenia.

Bezwładne ciało osunęło się między prętacze.

Co podkusiło faceta angażować do tej roboty dzieci? -

pomyślała odbijając od przystani.

cdn.

+kwadratura 4+

POWIEŚĆ

MARCIN WOLSKI

kwadratura trójkąta (4)

Pod osłoną gęstej mgły półżywy ze zmęczenia Sclavus

przebył jezioro i opuściwszy omnivanta na podwórko

między dawnymi stajniami wkroczył do domu. Nie

zamierzał budzić swych młodych partnerów. Jednak

złowróźbna cisza panująca wokół atrium zaniepokoiła

go, a rozwalony zamek alkowy przejął grozą... Wpadł

do wnętrza. Ujrzał pościel poszatkowaną kulami,

poprzestrzelane meble, wiszącą w powietrzu zawieszinę

czadu.

- Dia! - ryknął nie ludzkim głosem dopadając posłania. -

Diaaaaaa!

Ale ciała Herrianki nigdzie nie było, nie było też krwi...

Za to wszędzie czuło się spaleniznę... Wtem hurgot rozległ się w kominku wypełnionym niedopalonymi papierzyskami i drewnem. Jeszcze chwila, a na tę ćmiącą się stertę spadł osmolony, półprzytomny i kompletnie goły diabelek.

- Jestem - zawołała dziewczyna.

Padli sobie w ramiona całując oczy, usta, nosy. Leo z rozpędu dotarł wargami do jej okopconej szyi i piersi...

Czuł podnoszącą się falę, która lada moment miała zalać ich oboje. W ostatniej chwili cofnął się...

- Nie uciekaj, najdroższy - szepnęła. - Bądź mój!

- Co tu się stało...? - usiłował nadać głosowi normalne brzmienie. - Gdzie ta...?

- Uciekła. Słyszałam, jak ogłuszyła Gurusa. Zdażyłam schować się do komina. Niestety, po kilku łokciach zrobiło się za wąsko. A ona rozpalila ogień.

- O Jedyny! Mogła cię spalić.

- Nie mogła, moją koszulką zatkałam przewód kominowy. Nie było ciągu. Ogień zaraz zgasł.

- Mogłaś się udusić.

- Poradziłam sobie.

- Jak?

- Tylko się nie śmieję. Nasikałam w majtki i zrobiłam

pochłaniacz, przez który oddychałam. Kiedyś w Herrii

uczono nas, jak przetrwać pożar.

- A co z Gurusem...?

**- Chyba pobiegł za nią... Nie zdążyłam mu powiedzieć,
że żyję. Bardzo się bałam...**

- Dawno?

- Jakieś pół hory temu. Tylko uważaj.

Odbezpieczywszy broń Leo pomknął ku przystani.

**Wystarczył jeden rzut oka. Łódka zniknęła. Dziób
drugiej, zatopionej, ledwie wystawał z wody.**

**- Gurus, Gurus - zawołał, wskoczył w wodę, rozgarniał
prętacze i wreszcie ujrzał nieruchomy kształt pomiędzy
korzeniami modronu.**

**Marcellis nie docenił Ruffixa. Jak mógł przypuszczać,
że Ruffon nie poradzi sobie z istniejącymi
zabezpieczeniami, że nie zechce dowiedzieć się
wszystkiego o operacji "Siatka", i to natychmiast.**

**Oczywiście, na miejscu nawet nie próbował
rozpracowywać kodów dostępu. Był jednak pewien, że
to kwestia czasu. Jego ludzie sobie z tym poradzą...**

**Tyle że z podziemi nie miał szansy się z nimi
porozumieć. Łączność bezprzewodowa była
niemożliwa, linie foniczne i menscompterowe**

kontrolowane. Musiał być jednak sposób... Wychodząc

na krótki posiłek skontaktował się ze swoim szefem techniki. Wróciwszy do podziemi wiedział, jak działać. Complementarkę zajął sprawdzaniem kandydatów na stanowiska w centralnej administracji, sam zaś przystąpił do roboty. Archiwum FOI miało jedno niezależne połączenie ze światem - czujniki termiczne i przeciwdymne połączone z sekcją strażacką. Za chwilę dyżur miał tam objąć jego człowiek. Wystarczyło więc podłączyć przewodem menscompter z czujnikiem, a walizkowy aparat "strażaka" niczym język mrówkozaura wyssał kilkaset najważniejszych plików. Potem już ludzie Ruffixa przystąpili do rozpracowywania zasobów. Rzeczywiście akta "Siatki" przepadły, znalazły się jednak pliki sporządzone kiedyś dla officium obrony. Wyliczały one ludzi, którzy w wypadku zbrojnej operacji przeciw Ekumenie (kryptonim "Dinozaur") winni być chronieni jako swoi. Były to wprawdzie tylko kryptonimy, ale w innych zasobach znalazł wskazówki do programu dekodującego. Jeśli uda się dopasować jednego konfidenta do jednego kryptonimu, rozpoczniemy dekodowanie - powiedział programista Bellox. - Potrzebujemy na to co najmniej trzech dni.

- Daję wam jeden! - rzekł twardo Ruffix.

XIV SŁOWIANIN W AKCJI

Szybkie opuszczenie wysepki na jeziorze stało się dla Sclavusa kwestią życia i śmierci. W każdej chwili mogli nadciągnąć zabójcy zawiadomieni przez Claudię, nadto Gurus wprawdzie odzyskał przytomność, ale wymagał poważniejszych oględzin lekarskich. Leo podejrzewał pęknięcie paru żeber i wstrząs mózgu, nie można było wykluczyć poważniejszych obrażeń wewnętrznych.

Jeszcze raz omnivant, tym razem w roli łódki podwodnej, okazał się nieoceniony. Pod powierzchnią jeziora i szeroko rozlanej po ostatnich ulewach rzeki Zielonej dotarł do przedmieść Florentyny. Tam Słowianin wysłał Gurusa pod opieką Dii do lazaretum, sam zaś, po ukryciu omnivanta w hangarze na łódki jakiegoś podupadającego towarzystwa rybackiego, rozpoczął poszukiwania dottora Darni. Odnalazł wypożyczalnię wiroplatów, z której poprzedniego popołudnia wynajęto niedużą maszynę. Jej pilot pobudzony obfitą gratyfikacją natychmiast przypomniał sobie lot na trasie hostel "Asilium" - wieżowiec Klubu Apollona w Nowym Centrum i magazyny ogni greckich w Portellito. W locie wzięło udział trzech typków o ponurych mordach i pulchna

dziewczyna, którą mężczyźni traktowali jak szefową.

Rysopis wskazywał na Pinettę. Jedynym ich bagażem

był spory kufer zabrany z lądowiska na wieżowcu.

- Tylko błagam, nie mówcie nikomu, że ja was

poinformowałem - prosił pilot.

Leo zdrzemnął się parę godzin, a gdy Dia zadzwoniła z

lazaretum z dobrymi wiadomościami ("Nic Gurusowi

nie będzie"), załatwił jej spanie w tamtejszym hosteliku i prosił o nadzór nad Gurusem.

- Bacz, czy nikt nie zacznie się nim interesować.

Załatwiwszy jeszcze parę drobnych spraw wsiadł do

Szybkiego Tubusu i ruszył w stronę Portellito.

Portellito (porcik) - trudno o bardziej mylącą nazwę.

Kiedyś rzeczywiście była to niewielka osada rybacka

oddalona od Florentyny o wiele dni marszu lub dwie

doby intensywnej wspinaczki. Choć w prostej linii

brzeg morza i metropolia nie leżały dalej od siebie niż

trzydzieści mill, imponującą barierę tworzył masyw

Gaju Florentyńskiego, stosunkowo łagodny od strony

stolicy, ale od morza spadający półtora millowym

urwiskiem na szeroki taras nadbrzeżnej niziny. Ongiś

był to szaniec nie do przebycia i morskimi wrotami

Florentyny musiała być oddalona o 100 mi Lidona.

Obecnie pneumatyczna kolej tunelowa przebywa ten

dystans w quartinę, a pędnik poruszający się starszym

systemem wiaduktów i serpentyn potrzebuje około dwóch godzin. Natomiast dzięki dźwigom i podziemnym śluzownikom możliwy jest transport całkiem sporych barek z morza w dolinę rzeki Zielonej. Toteż senne Portellito przeobraziło się w supernowoczesne centrum mercuralne. Stocznie, doki, lotniska (w znacznej części zajmujące tereny osuszonych polderów) tworzą dziś największy węzeł komunikacyjny Innej.

Leontias wysiadł na stacji "Doki III", tam wynajął małą, motorową łódź (omnivant nazbyt rzucalby się w oczy) i zapuścił się w labirynt wodnych kanałów pomiędzy dźwigami, elewatorami, magazynami niejasnego przeznaczenia, suchymi dokami, remontowniami, siłowniami otaczającymi wąskie dukty wodne na podobieństwo fantastycznych ścian kanionów. Magazyny ogni greckich leżały w zachodniej części labiryntu w dużej mierze wyglądającej na opuszczoną. Wszędzie trwało wyburzanie starych silosów pod nowe nadbrzeże. Leo w słonecznym kapeluszu i kubraku pracownika doków przepłynął obok ceglanych hal z powybijanymi szybami, robiących wrażenie odludnych. Chociaż...W momencie w którym mijał zakręt, zauważył błysk na dachu opuszczonego terminalu po przeciwnej stronie

kanalu. Mógł oczywiście blikować odprysk szkła, ale doświadczenie zawodowca podpowiadało mu, że takie refleksy wywołuje zachodzące słońce, gdy natrafia na optocelnik szybkostrzelnego repetera.

Dalsza obserwacja z poziomu kanału niosła ze sobą zbyt wiele ryzyka. Słowianin postanowił przyjrzeć się terenowi z lotu avozaaura. Idealnym do tego celu wydawał się pozbawiony obsługi dźwig górujący nad całą okolicą. Za następnym zakrętem ukrył łódkę wprowadzając ją pod nieduży mostek. Dozorca budowy okazał się człowiekiem spolegliwym i pazernym na pieniądze, toteż wnet mała winda dostarczyła Leontiasa do kabiny dźwigu. Chyba nikt nie spodziewał się go od tej strony. Widok rzeczywiście był rozległy. Od latarni morskiej na przylądku Ognistym po owalny wysokościowiec Kompanii Wandalijskiej. Znacznie bliżej na szczycie starego terminalu zauważył dwie szare sylwetki niemal wtopione w stropodach. Czubek lufy wзираł również zza komina składnicy ogni sztucznych. Bliżej w głębi zagraconego podwórka dostrzegł zaparkowanego całkiem nowego herakuliona. Nieco dłuższa obserwacja wykryła ruch również za nieszczelnymi żaluzjami przeszklonej mansardy ponad zamkniętym magazynem. Ktoś

spodziewał się gości? Co gorsza, Leo nie miał żadnej pewności, czy Darni - żywy czy martwy - znajdował się w środku... Mógł tylko żywić nadzieję, że tam był. Na tym założeniu oparł swój plan działania. Wyruszając do Portellito na wszelki wypadek zajrzał w mercatorium do działu przeznaczonych dla majsterkowiczów i zakupił tam sporo interesującego sprzętu.

Nie przestając obserwować dachów otworzył swoją walizkę. Szybkimi ruchami złożył dwulufowiec dalekiego zasięgu, wyjął pudełko zdalnego sterowania...

Nadajnik uruchomił motor. Zaparkowana pod mostkiem łódka drgnęła. Nabrała rozpędu. Prując ciemną, pokrytą plamami oleju wodę kierowała się w stronę magazynu. W sterówce było dość ciemno, ale bystre oczy zawodowców musiały wypatrzeć przygarbioną sylwetkę za kołem sterowym. Na manekin sternika składało się kilka kamizelek ratunkowych, melon nadziany na bosak i charakterystyczny kapelusz. Obok do pulpitu Leo przymocował dwa repetery połączone ze sterownikiem dziecinnej kolejki. Jeszcze inna zabawka kierowała sterem. Śledząc ruchy łódki Leontias odczekał, kiedy

mansarda znajdzie się w zasięgu luf automatów. I wysłał impuls... Seria z repetera skosiła żaluzje w oknie.

Modlił się, by przeciwnik dał się nabrać. Przynęta chwyciła! Odezwali się strzelcy z dachów, nagle rozszczękał się repeter ukryty w kępie drzew, dwóch innych siccarów ujawniło się w samym magazynie, jeden wychynął z bramy.

Wszyscy prażyli w kabinę łodzi. Leontias zdalnie zatrzymał silniki, lecz nadbudówka ciągle prażyła ogniem. Najemnicy musieli przypuszczać, że kierujący łódką jest nieśmiertelny. Oberwał parę kilo ołowiu, a mimo to nie zaniechał kanonady. Jednocześnie Sclavus delikatnie manewrując wyciągniętym dźwigiem, powolutku począł go przesuwac, aż ramię z doczepionym potężnym segmentem budowlanym znalazło się dokładnie nad podwórkiem z zaparkowanym pędnikiem.

Wtedy sam otworzył ogień. Strzelał pojedynczo, pneumatyk był cichy i celny. Trafiani nie wiedzieli nawet, skąd przychodzi śmierć.

Pierwsi padli wartownicy z dachu. Następnie zdmuchnął strzelca ze szczytu elewatora. Pozostali nadal koncentrowali swą uwagę na łódce. Tymczasem

dwóch czy trzech najemników wypadło na podwórko.

**Zrywali płótno z naczepy herculiona ujawniając
szybkostrzelne aviorepetery. Czyżby ich celem był
dźwig? Leontias westchnął tylko i nacisnął dźwignię.**

**Wielotonowy ładunek runął w dół, wypełniając
nieomal całe podwórko. Od wstrząsu wyleciały
nieliczne ocalale szyby. Teraz ruszył sam dźwig,
przejechał aż do końca szyn, tak że kabina znalazła się
ponad mansardą. Leo natychmiast cisnął linę
zakończoną małą kotwiczką, zahaczył ją o jakieś anteny
i błyskawicznie opuścił się na stropodach. Ciężko
ranny strzelec leżący obok komina chciał sięgnąć po
broń. Ale Sclavus nie zwalniając biegu przygwoździł go
rzuconym nożem.**

**Przez rozpryskujący się pod jego ciężarem świetlik
wskoczył do wnętrza. Miał przed sobą amfiladę
pokojów dyrektorskich. W ostatnim na miękkiej selli
skrępowany jak mumia siedział dottor Darni. "Idę do
ciebie!" Dottor nie odpowiadał, był zakneblowany. Na
progu Słowianin potknął się o jakieś ciało. To
potknięcie ocaliło mu życie. Obok głowy świsnął pocisk
z króciaka. Znów Pinetta!**

Krótkie przekleństwo wydarło się z pięknych ust.

Libratorka nie wyglądała w tym momencie ani

seksownie, ani dobrodusznie. Złożyła się do
ponownego strzału. Ale Darni, lubo skrępowany,
poderwał się, popchnął ją. Strzał grzmotnął w sufit.

Teraz Sclavus kopniakiem wytrącił jej broń.

Stali twarzą w twarz mierząc się wzrokiem.

- Porozmawiajmy - zaproponował Leo. - Mam parę
pytań na temat Ruffixa. - Zaśmiała się, odwróciła i
skoczyła ku schodom przeciwpożarowym. Czyżby była
pewna, że nie strzeli jej w plecy?

- Wal do niej, wal... - dopingował dottor, wypluwając
knebel.

Ale Leontias, nie tracąc czasu na rozwiązywanie
supłów lekarza, tylko porwał go na ramię jak
zrolowany dywan i rzucił się do tylnego wyjścia.
Pinetta krzycząc "On jest tutaj" zbiegała na nadbrzeże.

Repetyery łódki już nie strzelały. Ocaleli najemnicy
gapili się na biegnącą. Jeszcze nic nie pojowali.

Wtem krzyk zamarł Pinetcie na ustach. Jak urzeczona
wpatrywała się, jak płynąca z rozpędem łódka uderza w
nadbrzeże, przelamuje bariery i wbija się w drewniane
wrota magazynu, opatrzone napisem - "Ostrożnie z
ogniem". Pierwsza eksplozja była w miarę niewielka,
ale potem przyszły następne. Leontias ze swym żywym
ładunkiem padł między betonowe elementy

budowlane. Nad ich głowami przedwieczorny

nieboskłon rozbłysnął milionami ogni greckich. A

potem jakby całe niebo upadło na ziemię.

- Paru drani ma wystrzałową drogę do piekła -

skomentował dottor Darni i dorzucił: - Nic się nie bój,

nic im nie powiedziałem. Dopiero zamierzali mnie

profesjonalnie przesłuchać.

Jak wszystkie rezydencje navigatorskie, również

Castrum Goliathum ma swój "bezpieczny pokój",

bunkier przekornie nazywany "Parthyjską Altaną". Do tej pory Cedrus nie używał jej do rozmów z Ursinem.

Toteż Marek bardzo się zdziwił otrzymując późnym

wieczorem wezwanie do tej caverny zdobionej przez

pyszne reliefy ukazujące walkę smoków z

Amazonkami. W rozsuwanym wejściu minął Ruffixa,

który skłonił się z niezwykłym dla tego człowieka

szacunkiem.

Cedrus blady, przemęczony, miał worki pod oczami,

ale niewątpliwie był trzeźwy.

- Podobno wszystkie przygotowania zapięte na ostatni

guzik? - zapytał.

Marek potwierdził:

- Takiej inauguracji jeszcze nie mieliśmy. Nawet

kablowid ekumeński wykupił całość bezpośrednio

transmisji. Rzecz bez precedensu.

- Wierzę - powiedział elekt i przeszedł do rzeczy. - Ile lat znamy się, Marku? - i kontynuował nie czekając na odpowiedź. - Prawie całe dorosłe życie. Mam nadzieję, że to wystarczy, by mieć odrobinę zaufania? Nie musisz potwierdzać, słuchaj. Doszło do mnie, że działasz na własną rękę, prowadzisz prywatne śledztwo.

- Ja... ale kto? - Przed oczyma stanęła mu twarz Ruffixa.

- Proszę o szczerość, powiedz mi, co się dzieje? Czy to ma związek z tym samobójcą z dnia wyborów... Jak mu...?

- Nazywał się Narens - rzekł Ursin. I opowiedział o wszystkim. O ich podejzeniach związanych z tym zabójstwem. O pomysle Druzzusa wdrożenia prywatnego śledztwa. O akcji dottora Darni i piętrzących się przeszkodach. Wreszcie o Leontiasie i jego pierwszych ruchach. Pomiął jedynie ostrzeżenie Sclavusa przed wtajemniczeniem elekta. Quintus słuchał opowieści w milczeniu, parę razy jego dłonie zaciskały się nerwowo lub szukały szklanki.

- Dzielny człowiek z tego Słowianina - powiedział wreszcie. - Masz z nim stały kontakt?

- Nie. Jest bardzo ostrożny. Jego łącznik ma odezwać

się do mnie wieczorem.

- Zorganizuj mi spotkanie z tym Leontiasem -
powiedział impulsywnie elekt. - Jeszcze przed
inauguracją.

- To przecież pojutrze.

- A zatem zobaczymy się jutro w nocy. I... Nikt nie może
o tym wiedzieć. Ani Ruffix, ani Gnerus, ani nawet
Druzzus... Znaczący, z Druzzusem sam porozmawiam.

- Postaram się, wodzu.

Lazaretum im. Marii i Marty na przedmieściu Viterbo
należało do tych ogromnych nowoczesnych
kombinatów medycznych, w których chorzy, lekarze i
personel bywają tylko elementami wielkiej, nie ma co
kryć, łatwo zacinającej się maszynierii. Wpół do octy
dottor Darni w kitlu znalazł się w poczekalni
lazaretum. Leontias podał mu salę, w której przebywał
Gurus i fałszywe nazwisko, pod którym został
zarejestrowany, zaś dottor już wcześniej dodzwonił się
do swego kolegi, miejscowego starszego chirurga
Manliusa. Ten oczekiwał go już w pokoju recepcyjnym.
Po chwili mieli wszystkie dane pacjenta na wydruku.

- Chłopak będzie zdrów jak ryba - komentował Manlius
- ogólne potłuczenia, silny szok, poza tym nic
poważnego. Możemy go odwiedzić.

Czwarta kondygnacja składa się z rzędu izolatoriów rozmieszczonych wokół szerokiego korytarza. Przy obu końcach galerii czuwają dyżurne curatrony gotowe w każdej chwili śpieszyć pacjentom z pomocą. Obaj medycy weszli do izolatorium nr 432.

- Niemożliwe! Pół godziny temu rozmawiałem z chłopakiem - wykrzyknął Manlius, rozglądając się po pustym pomieszczeniu.

- Gdzie pacjent? - Darni dobiegł do bliższej curatrony. Ta szeroko otworzyła oczy.

- Pięć pacierzy temu zabrano chłopca na reanimację. Stwierdzono nagle pogorszenie jego stanu.

- Kto stwierdził?

- Nie znam jej. Przedstawiła się jako dottor Claudia Dalboni. Chyba nowa, bo jej dotąd nie widziałam.

Miała takie ciemne zrosnięte brwi. Towarzyszyło jej dwóch pielęgniarzy.

- Na którą salkę go zawieźli?

Curatrona przez chwilę posługiwała się menscompterem.

- Dziwne, nigdzie go nie ma... Zabieg nie został w ogóle zgłoszony, a ta... dottor Dalboni nie pracuje w naszym szpitalu.

Nogi ugięły się pod Darnim. W tym samym jednak

momencie brzęknęły drzwi windy.

**- Są w podziemiach, dottorze - wołała pobladła Dia,
załadowali Gurusa do viviarki. Nie pozwólcie im
wyjechać.**

**- Porwanie w naszym lazarecie?! - zdumiał się
Manlius. - Nigdy do tego nie dopuszczę.**

**Widok opadających wrót parkingu wprowadził Claudię w
konsternację. Widziała zaniepokojone spojrzenia
wspólników. Pozbawionych polotu facetów od brudnej
roboty.**

**- Wiejmy stąd, szefowo - zaproponował jeden z nich. -
Zanim pułapka zatrzaśnie się na dobre.**

- Milcz.

**Wyskoczyła z viviarki i dobiegła do stanowiska
strażnika.**

**- Co to znaczy? Jesteśmy z gwardii navigatoriańskiej -
machnęła plakieta służbową. - Bardzo mi się śpieszy.**

Otwieraj!

**- Proszę poczekać - odparł służbiście. - Zaraz
przybędzie tu mój szef. Ja dostałem polecenie...**

**- Reno - syknęła wymownie do najwyższego ze swych
pomocników.**

**Falszywy sanitariusz zbliżył się nieśpiesznym
flegmatycznym krokiem i wypalił strażnikowi prosto w**

pierś. Potem zaczął szukać przycisku od bramy. Ale w tym momencie drzwi z tyłu viviarki otwarły się i wyskoczył z nich Gurus. Najpierw runął jak długi, ale natychmiast podniósł się i utykając rzucił do ucieczki. Reno uniósł repeter.

- Zostaw - powstrzymała go Claudia - to nasz zakładnik.

- I sama pobięła w ślad za Gurusem. Biegła jak lania, równym krokiem mistrzyni średnich dystansów.

Grubasek nie miał szans.

- To ona - rozległ się nagle głos. Odwróciła głowę, po schodach zbiegała Dia. Fala wściekłości zalała czarnobrewą. Ta mała suczka żyła i w dodatku towarzyszył jej Darni, jeszcze jeden lekarz, trzech sekuryci... Uniosła broń i strzeliła w biegu.

Nie mogła chybić. Nie mogła. Ale w ostatniej chwili dottor Darni przeciął trajektorię lotu pocisku.

Uderzenie w pierś rzuciło go na ziemię. Padając pociągnął Dię i nakrył ją swym ciałem. Sekuryci dobyli króciaków. Jeden z pocisków drasnął Claudię w udo.

Uskoczyła za filar. Zrezygnowała z pościgu za chłopakiem. Kryjąc się między kolumnami pobięła w stronę viviarki. Brama wyjazdowa już stała otworem. Kierowca musiał ją widzieć we wsteczniku, niemniej nagle wyprysnął do przodu. Puściła się za nim

wykrzykując klątwy. Z przeciwka narastało wycie karetki. Kobieta biegła skosem, przesadzając rozjazdy, coraz bliższa nie zamkniętych drzwiczek. Przecięła jeden podjazd, drugi... Z zaskoczeniem przyjęła jaskrawą eksplozję światła w twarz, rozdzierający skowyt syreny, pisk hamulców... Poczuli uderzenie w pierś, zdawała sobie sprawę, że wpada pod koła. A potem ogarnął ją mrok i cisza.

Dopiero po jakiejś kwartynie, po stwierdzeniu zgonu dottora Darniego i Claudii Manlius mógł zainteresować się Gurusem i Dią. Ale oboje zniknęli.

- Co ja robię, co ja tu robię? - denerwował się Ursin klucząc po zatłoczonych uliczkach starej Florentyny. W popinie wyznaczonej na miejsce spotkania z Dią otrzymał od kelnerki fonikon, przez który nieznany głos polecił mu jazdę na zachód. Zdenerwowanie powiększał fakt, że wedle ostatnich wiadomości, których wysłuchał w swoim dionisionie, współpracował z kryminalistą. Rysopis Leontiasa jako nieznanego z nazwiska sprawcy rzezi w Portellito podawały wszystkie media. Lista oskarżeń była spora: od brutalnego napadu na grupkę straży obywatelskiej przygotowującej się do zabezpieczenia inauguracji po wysadzenie wytwórni ogni greckich. Był na czołówkach

wiadomości. Na głowę Słowianina wyznaczono nagrodę tysiąca aureusów, a ścigali go pospołu i sekuryci, i vigilianci, i pretorianie z FOI, nie licząc rzeszy patriotycznie usposobionych obywateli. A Ursin miał umówić tego terrorystę z przyszłym SuperNavigatorem.

Paranoja!

Fonikon osobisty zadzwonił, gdy wjeżdżał na most

Syren.

- Wsiadaj - usłyszał głos Dii - natychmiast. O nic nie pytaj, zostaw pędnik na trotuarze i zsuń się po nasypie.

Jestem pod mostem.

Wykonał polecenie. Zsuwając się po mokrej trawie widział, jak z piskiem tuż za jego dionisionem hamują dwa pędniki i wysypuje się czwórka facetów.

- Nie ucieknę im. Nie ma szans.

Pod filarem czekała Dia.

- Do łodzi - zakomenderowała wskazując lupinkę kołyszącą się w cieniu filaru. Odbili błyskawicznie.

Rozlana rzeka Zielona niosła brunatny szlam, kawałki gałęzi, zerwane pędy winorośli. Ursin zaśmiał się widząc, jak paru facetów kręci się bezradnie nad wodą.

Dia była ubrana na czarno. Twarz pomazała również sadzą.

- Panienska wstąpiła do sił specjalnych? - chciał
zażartować, gdy z góry doszedł go terkot wirowca. -
Mają nas! - jęknął.

Pokręciła główką, kierując się ku rozwidlonemu
filarowi, gdzie cień był największy. Na powierzchni
wody widać było nieruchomy kształt przypominający
śpiącego aquazaura. Cóż to było, na Boga...?

Naraz rozchyliły się "skrzela" potwora i silne ramię pociągnęło Marka do wnętrza. Za nim
skoczyła Dia.

- Cieszę się, że mogę wreszcie cię poznać - powiedział
Leontias. - Gurusku, szybko, zanurzenie na pięć łokci i
naprzód.

Nie oddalili się zbyt daleko. Sclavus przeprowadził
omnivanta krytym kanałem łączącym główny bieg rzeki
z drugim korytem Zielonej i tam osiadł na dnie
niedaleko hostelu "Asilium"...

- Tu nas nie znajdą - oświadczył. - Nawet jeśli im
strzeliło do łba, że dysponujemy kieszonkową łodzią
podwodną, jesteśmy nie do namierzenia. Mamy
ochronę termiczną, akustyczną i magnetyczną.

- Ale na brzeg nie wyjdziecie, wszyscy was ścigają -
wykrztusił Ursin. - Zabił pan dzisiaj kilkunastu ludzi.

- W samoobronie - uściślił Leo i w paru słowach streścił
dotychczasowy przebieg wydarzeń.

- A wnioski? - dopytywał się consulantor. - Wiecie już,

kto za tym stoi?

- Czy jest pan pewien, że chce to wiedzieć?

- Przecież w tym celu zatrudniliśmy pana.

- Wiem, ale czego oczekujecie?

- Prawdy!

- A jeśli będzie bolesna?

- Tym bardziej jej pragniemy.

- Nawet gdyby miało się okazać, że zdrajcą jest ktoś z kręgu pana najbliższych przyjaciół?

- Liczyłem się z taką możliwością. Tylko kto? Ja podejrzewam Ruffixa.

- Mam dowody, że Ruffix stał za zamachami na dottora Darni i mnie. Czy jednak działa na własną rękę?

- Nie sugeruje pan chyba, że Cedrus?... - Ursin spurpurowiał. - Absurd! Gotów jestem dać głowę za tego człowieka. Poza tym co pan sobie wyobraża? Elekt miałby być inspiratorem zamachu na samego siebie?

Przecież Narens zginął właśnie dlatego, że chciał ostrzec Quintusa!...

- Albo chciał go szantażować. Ale niczego nie przesądzam. Rozumiem, że pana zdaniem Cedrus jest poza wszelkimi podejrzeniami. Może. Ale proszę się zastanowić, czy w jego życiu nie ma jakichś

podejrzanych spraw, niewyjaśnionych incydentów?

Czegoś, co mogłoby być pożywką dla szantażysty.

- Wykluczone. Znam go od dwudziestu lat. Wiem o nim wszystko, zwierzał mi się nawet ze swoich miłostek.

Zawsze bogaty, niezależny. Zakochany w żonie. Od urodzenia był obiektem zainteresowania mediów...

- Wspominał pan o dwudziestu latach, a wcześniej?

- Wcześniej był młodzieńcem. Synem superbogatego senatora. Wychowywanym dość surowo. Prasa nie spuszczała go z oczu. Nie było tygodnia, aby kronika towarzyska nie donosiła o rodzinnych wjazdach, wjazdach czy dobroczynnych kwestach. A jak się rozpisywano, kiedy doszło do tej tragedii w Górach Gadzich... Nie, panie Leontiasie, podejrzewanie Elekta to poroniona hipoteza!

Leo kiwa głową. Właściwie przez chwilę myślał o wyciągnięciu kartki, na której spisał wszystkie zbyt korzystne zbiegi okoliczności w życiu Cedrusa Szczęściarza, poczynając od cudownego ocalenia z katastrofy rodzicielskiego pędnika. Było tam i nieoczekiwane przyjęcie do Akademii po niespodziewanej rezygnacji konkurenta i śmierci niechętnego mu profesora, objęcie przewodnictwa korporacji Młodych "Niebieskich", gdy

dotychczasowego lidera oskarżono o pedofilię. A parę innych zdarzeń w szeregach Faksji, które przyspieszały karierę młodego senatora? Czy los może być aż tak życzliwy? Przecież gdyby nie szaleniec z nożem, który zaatakował procuratora Vaninusa, wejście do Arbitriatu odsunęłoby się o lata.

O tym wszystkim jednak Leo nie wspomina. Słucha, kiedy Ursin opowiada o swym ukochanym wodzu. Pyta o stany psychiczne elekta. Te nagłe depresje, nadużywanie trunków.

- Powiedział pan mu o mnie? - pyta w końcu.

- Wiedział i bez mojej informacji. - Consulantor skręca się jak robak na haczyku. - Co więcej, uważa, że powinniście się spotkać jeszcze przed jego inauguracją.

Czyli jutro. Nikt nie powinien o tym wiedzieć. Na pewno nie Ruffix. Czy to nie najlepszy dowód jego uczciwości?...

- Może.

- Jaka jest pańska odpowiedź?

- Pójdę na to. Ale mam parę żądań. Potrzebuję trochę pieniędzy. Na wypadek, gdyby coś mi się przydarzyło, muszę zabezpieczyć przyszłość dwójki młodych ludzi.

- Nie ma problemu. Ale podobno panu nic nigdy się nie przytrafia...

- Zawsze może być ten pierwszy raz. Widzi pan, Marku, ze zwycięstwem w walce jest jak ze zdobywaniem kobiety. Nie można wygrać, kiedy się tego nie chce.

- Czy pan nie ma żadnych pragnień? - Ursin łypie okiem na Dię, która usnęła oparta o ramię swego opiekuna.

- Zdążyłem się przyzwyczać, że zawsze tracę to, co kocham. Moi ojcowie utracili swą słowiańską ojczyznę. Dziś jestem blisko zwątpienia w nieskazitelność tej przybranej. Ale pomówmy lepiej o szczegółach spotkania z Quintusem Cedrussem.

XV OSTATNIA SZANSA EKUMENY

Od spotkania z Antygonem Argon Georgiasz nie mógł spać. Przetawiał chronometr w swej sypialni, tak by odliczał coraz krótszy czas pozostały do momentu rozpoczęcia wielkiego planu. O Arymanie! - Zdobycie Federacji. Opanowanie od wewnątrz największego mocarstwa Innej. Czyż nie było to marzeniem wszystkich pokoleń arymanistów? Chociaż... Uczucia Ekumeńczyków wobec Archipelagu składały się z przedziwnie splecionej miłości i nienawiści, pogardy i zachwytu. Dzieci hierarchów uczyły się na archipelagiańskich uczelniach, żony jeździły do Florentyny na zakupy. Obrażniki odbierały

niedostępne pospólstwu programy orbitalne.

Zamknięte lokale dla wybranych oferowały smakołyki z

Ultimy czy Zefirii... Im bliżej kluczowej daty, większy w

Argonie narastał niepokój. Nie chodziło o techniczną

stronę przedsięwzięcia. Ta wyglądała dość prosto. Na

obiekcie, czy ich człowiek nie może już po paru

posunięciach zostać zdemaskowany, Leartonik tylko

chichotał.

- Od dwudziestu paru lat nasi agenci jako zbiegowie,

azyłanci lub po prostu "ludzie znikąd" przenikali na wyspy Archipelagu, zakorzeniaли się w tamtejszym

społeczeństwie. Awansowali w strukturach faksji

"Błękitnych" i w uśpieniu czekali. Nawet jeśli

sporadycznie kimś z nich interesowało się FOI, nikt z

uśpionych nie znał istoty planu. Nie znał głównego

wykonawcy. Mieli czekać, aż "Ojczyzna wezwie".

Czasem tylko dyskretnie przypominano, że są

kontrolowani, aby nie przyszło im do głowy

zapomnieć, komu służą. Nikt z nich nie wstępował do

trynitatystów, tych werbowaly inne komórki. Ci

durnie służyli tylko odwróceniu uwagi. Za parę dni,

kiedy "Febus" będzie decydował o kadrach, nasze

śpiochy zajmą kluczowe stanowiska w Federacji. Nie

pierwsze - wystarczy drugie, trzecie! Czasem dla

wykonania zadań lepsza jest funkcja zastępcy szefa
sztabu, sekretarza senatora. W każdym razie w ciągu
tygodnia dwa tysiące naszych agentów przejmie
upatrzone pozycje i wówczas rozpocznie się drugie
stadium planu. Trynityści wywołają zamieszki.

Navigator wprowadzi stan wyjątkowy - jego głównym
realizatorem będzie FOI... Nieuchronnie poleje się
krew. I wtedy nasz desant przyjdzie z bratnią pomocą
społeczeństwu Archipelagu w jego buncie przeciw
władzy nieludzkiej soldateski. Gwarantuję ci,
federacyjne balisty nie drgną nawet w swych silosach.

Obrona zostanie sparaliżowana sprzecznymi
komendami. Środki przekazu zamilkną lub nas
poprą... Podobnie będzie z ciałami
przedstawicielskimi. Do czasu.

Brzmiało to przekonująco. I dlatego lęki Argona nie
były przedpremierową tremą - hierarcha
paradoksalnie bał się sukcesu. Jego marzeniem było
stopniowe otwieranie Ekumeny, przyswajanie
federacyjnych zdobyczy. Reformy. Czyż podbój nie
przekreślał tych planów? Czy nie oznaczał
przypadkiem roztoczenia szatańskich mroków nad całą
planetą, zakucia Archipelagian w kajdany? Antygon
uważał, że tylko przejściowo. Podbita Federacja miała

dostarczyć środków na reformę Ekumeny, na jej modernizację, odnowę.

- Wszystko zależy, kto będzie prowadził defiladę - szeptał Leartonik z dobrotliwym uśmiechem starego Mefista. My czy taki ultras Tajgenis...

Spotkanie Leartonika z Georgiaszem nie uszło, rzecz jasna, uwagi Achila Tajgenisa, który kontrolę nad innymi hierarchami doprowadził do perfekcji.

Wywołało ono niezwykłą wściekłość u tego chuderławego, wiecznie skrzywionego facecika, wskutek wrodzonej wady kręgosłupa lekko skrzywionego w lewo. U szefa Szarej Straży wszystko było szare: cera, mysie włosy, uniform.

Normalnie mówił półgłosem, na jednym tonie i przerażał zimnym spokojem, ale będąc u siebie, jedynie w towarzystwie heterarki Sofii, pozwalał sobie na wybuchy furii.

- Argon i Antygon - co oni knują?!

Nigdy dotąd nie spotykali się tak często i w tak izolowanych warunkach. Wyglądało dotąd, że stary pierdziel nie cierpi młodego oekonomikosa. Ale kiedy ważyły się losy przywódców, którzy podczas obalania Eumentesa zachowali się biernie lub bronili detronizowanego przywódcy, nie kto inny jak

Learnonik, sporządzający wspólnie z Achilem listy proskrypcyjne, zatrzymał się przy nazwisku Argona.

- Tego zostawić, fachowiec!

Tylko co się zmieniło?! Wybrał sobie następcę? Od lat Tajgenis uważany był za faworyta Archiwariusza. Jego syn poślubił wnuczkę starego hierarchy, wspólnie polowali na tigrozaury w rezerwacie.

Dreszcz przebiega po plecach Achila. Wie, co to znaczy być Wielkim Eforem. Największa władza i największe ryzyko. W historii Ekumeny w momentach kryzysowych trzykroć poświęcono głowę szefa Szarej Straży, rzucając ją tłumom.

- Na Belzebuba. Nie będę czwartym martwym eforem, choćbym miał całą Ekumenę wywrócić do góry nogami.

Późny wieczór 19 zeńca (na Florentynie zaczął się już następny dzień) zastał Argona Georgiasza w Dolnej Akropolii. Jako jedyny z hierarchów lubił w przebraniu parthyjskiego kupca oglądać nieoficjalną stronę podziemnego życia. Ot, choćby Odos

Arymaneos. Kiedy przemierzał tę aleję luxpędnikiem, wyglądała jak Promenada Florentyńska. Teraz w porze nocnej zmiany nie uświadczylbyś tu pół afegasty.

Wygazzone iluminacje na tympanonach, pilastrach zastąpił codzienny brudnawy półmrok. Jezdnię

zaludniał tłum złożony z pieszych, rowerzystów i najfantastyczniejszych pędników mechanicznych będących mieszaniną ekumeńskiej pomysłowości oraz sprzętu z przemytu, demobilu lub Aryman wie skąd.

Zaroilo się od przekupniów, sprzedawców stymulantów i amuletów, wróżbitów i handlarzy butli z czystym powietrzem, które cieszyły się wielkim powodzeniem, zwłaszcza u zamożniejszych mieszkańców najniższych dzielnic. Inna sprawa, że to rzekomo czyste powietrze śmierdziało zwykle jak wandalijska onuca.

Argon przeszedł na drugą stronę arterii, cudem unikając zmiżdżenia w potoku hulajdesek, mechariksz czy współniaków, jak nazywano wielkie odkryte lory komunikacji masowej, obrosłe ze wszystkich stron winogronami pasażerów.

Przepychając się obok namolnej wróżbiarki, zlorzeczającej jego obojętności i przepowiadającej jak najgorsze nieszczęścia, jeśli nie da choćby obola, oraz między dwoma karłowatymi żebrakami, czepiającymi się jego nogawek, skręcił do Czarnej Świątyni. Był w niej umówiony z kuzynem z rodzinnej Apollonii pilnie pragnącym się spotkać. Fronton Thanathejonu zdobyły sylwetki dwóch gigantów, Czarnego i Białego,

splecionych w śmiertelnych zapasach.

Szaro odziani augurzy pobieżnie zrewidowali go przy wejściu i przyjęli ćwierć talenta na ofiarę. Wewnątrz, wokół ognia dobywającego się z podziemnej rozpadliny, znajdowało się medytacyjne kolisko, w którym należało usiąść celem koncentracji. W centrum wokół zalatującego siarką płomienia czółgały się nagie czarne porneidy, kapłanki rytualnej orgii. Z pobliskiego zoolis dolatywało beczenie zwierząt.

Wielki kamień ofiary, pokryty skorupą zakrzepłej krwi, przypominał plecy wysmaganego niewolnika. Krąg ofiarników gęstniał. Przeważali drobni, pospolici ludzie, dla których comiesięczna ofiara stanowiła rodzaj daniny. Zamożniejsi musieli składać ją częściej. Przy okazji spadków, podróży, narodzin, zamażpójścia lub zgonu. Istniały również ofiary jubileuszowe i okolicznościowe. Zaś cynicy twierdzili, że ubój zwierzątek na chwałę Pana Ciemności jest jedynie pretekstem do wyciągnięcia pieniędzy dla Organizacji. Kiedy po świątyniach składano ofiary z ludzi, Eumentes zniósł tę praktykę. I słusznie. Nowoczesne środki dostarczały skutecznych a mniej spektakularnych środków utylizacji niepożądanych elementów.

Georgiasz rozejrział się. Ani śladu Zenosa. Naraz rozległa się muzyka, głucha, dojmująca, tak straszna, jakby z samego piekła dochodziła... Snop światła z reflektora wyłowił białego kozłogona dostarczanego właśnie przez ruchomy chodnik. Drobnny stekowiec płynął mechaniczną ścieżką ku ołtarzowi. Wydawał się być zahipnotyzowany, a może tylko odpowiednio uświadomiony, co do swojej odpowiedzialności w akcie ofiarnym... Dziarsko wskoczył na płytę. Spotęgowała się wibracja i zmieniło światło. Trupi poblask wydobył z mroku oblicza widzów z pierwszego kręgu - twarze różne: skupione i stężałe, zawzięte i przerażone.

Drgnęła olbrzymia zwisająca nad kamiennym ołtarzem łapa gigantozaura.

- Krew łączy, krew żywi, krew oczyszcza! - zabrzmiał wszechogarniający głos; automatyczny, pozbawiony emocji, nieludzki... Gadzie ramię opuszczało się majestatycznie. Naraz niczym kocie pazury wyskoczyły ruchome ostrza i równocześnie zatopily się w ciałku kozłogona. Żaloszny bek, krótki jak podmuch detonacji.

Jucha zbryzgała kamień, pociekła ku rynienkom.

Kapłanki zbierały ją łyżeczkami podając ofiarnikom jako antykomunię. Co pewien czas polewały sobie piersi i brzuchy. Muzyka ścichła, slychać było tylko

mlaskanie i granie grdyk. Okrąg pogrążał się w mroku,
za to snop światła skierował się w górę, ujawniając
postać Pana - zakręcone rogi i demonicznie
zakończona kozia bródka. Belzebub szerzył kły w
tryumfującym uśmiechu. Jednocześnie w słabej
poświacie ukazała się postać leżąca u jego kopyt -
figura starszego mężczyzny z siwą brodą i zdruzgotaną
aureolą.

Argon stłumił mdłości. Wiele lat upłynęło od czasów,
gdy musiał uczestniczyć w podobnych misteriach dla
pospólstwa. Zabawy hierarchów z czartem były o wiele
przyjemniejsze i subtelniejsze. Gdzie ten Zenos? Naraz
sucha ręka dotknęła jego łokcia. Zadygotał. Jakaś
starowina wyszczerzyła ku niemu zakrwawione zęby.
Chciał cofnąć się, ale przytrzymała go swymi palcami
przypominającymi szpony.

- Zenos zatrzymany, uciekaj - syknęła.

Cofnął się ku wejściu. Starał się za bardzo nie
przyśpieszać, kątem oka zobaczył dwóch strażników
świętynnych ruszających, by zagrozić mu drogę.
Zrównali się z nim na placyku... Machnął im złotą
mandorlą hierarchy. Nie wywołało to na nich żadnego
wrażenia.

- Pójdiesz z nami - warknął wyższy. - Szara Straż!

**- Idioci, jestem honorowym... - umilkł. Obok nich
wyrosło naraz czterech rosłych tumanantów dotąd
gnuśnie wypoczywających pod świątynnym murem.**

**- Puście go, braciszkanie - powiedział lysoń z
patriarchalną brodą.**

- Precz, lachmyty - huknął kryptejak.

**Błysnęły sztylety. Z ust strażników wydarły się jęki
podobne agonalnemu bekowi kozłogona. Georgiasz
stał osłupiały.**

**- Idziemy - rzucił lysoń. Pozostali tumananci otoczyli
ocalonego hierarchę tworząc niby eskortę.**

**Wyparowały z nich jakiegokolwiek ślady zażywania
środków stymulacyjnych. W zaułku czekał kryty pędnik
z napisem "chleb".**

- Wsiadaj!

**Opór wydawał się bezcelowy. Mały, pozbawiony okien
wehikuł pomknął, niczym kapsuła poczty**

**pneumatycznej, ciasnymi tunelami gospodarczymi, co
chwila przemieszczając się w pionie i poziomie, tak że**

Georgiasz nie mógł odgadnąć kierunku. Bał się. Czy

przed chwilą uszedł ludziom Tajgenisa? Kim mieli

okazać się przebrani wybawcy?

**Naraz pędnik zahamował gwałtownie, Argon wysiadł,
a pojazd wraz z eskortą znikł, jakby go nigdy nie było.**

Hierarcha został sam w olbrzymiej cavernie z nieobrobionego kamienia.

- Witaj - zabrzmiał znajomy głos Antygona... - Wybacz

nietypowe zaproszenie, ale musiałem się spotkać z

tobą jeszcze przed posiedzeniem. Masz podobno

predylekcje do odwiedzania nieprzyjemnych miejsc.

- Czy coś się stało? - zapytał Georgiasz ściskając starego

Antykwariusza.

- Za pół hory mamy posiedzenie.

- Nic nie wiedziałem.

- Hipparch, który je zwołuje, też dowiedział się

quartinę temu.

- Co jest powodem tak pośpiesznego trybu?

- Zdrada - mruknął Archiwariusz i pociągnął go do

własnego luxpędnika zabezpieczonego pancernymi

osłonami. - Porozmawiamy w drodze.

Pojazd nabrał prędkości. Georgiasz zauważył, że

posuwają się nieuczęszczanymi sztolniami w

towarzystwie paru pojazdów bojowych.

- A więc co się stało?

- Dostałem najnowszy raport z Florentyny od

"Febusa". To geniusz, dotarł do matecznika

sekretnych danych FOI i natrafił tam na program

"Dinozaur". Początkowo były to informacje

fragmentaryczne. Ale kiedy jego deszyfratorzy

zakończyli prace, ujawnił się cały ogrom spisku.

- Spisku?

- Tak. Wyobraź sobie, że kochana demokratyczna

Federacja planowała operację podobną do naszego

"Planu Nr 1". Od lat jej agenci przygotowywali

antyarymańskie sprzysiężenie, przeniknęli do naszych

struktur.

- Jakże to możliwe? Reglamentujemy wyjazdy

zagraniczne, kontrolujemy życie obywateli w

najdrobniejszych szczegółach...

- Tylko kto to nadzoruje, Szara Straż? Wystarczyło

przekupić paru wyższych dostojników eforiatu. Nie

brak tam kreatur pozujących na nadgorliwców. To oni

zniszczyli Eumentesa, bojąc się, że jego reformy mogą

zagrozić hegemonii Archipelagu. Szczęście, że "Febus"

to rozgryzł. Masz pojęcie, co mogłoby się zdarzyć?

- Nie bardzo wiem.

- No to wyobraź sobie - rusza nasza operacja w

Archipelagu, a tymczasem z kwatery FOI wybiega

impuls nakazujący uruchomić "Siatkę".

Kontrarymański przewrót ogarnia Dolną Akropolię.

My giniemy w ciągu kwadransa. A co dalej? Agenci

Ekumeny opanowują Federację, zaś konfidenci

Federacji Ekumenę. Czy można wyobrazić sobie większy lupanar? Na szczęście, mamy dosyć czasu, aby temu zapobiec.

- Wstrzymać "Plan Nr 1"?

- Absolutnie nie, musimy jedynie wcześniej uderzyć w naszych rodzimych spiskowców. Posiadamy na szczęście listę tych zdrajców. Mamy numery ich kont w bankach na Caldii. Nie uwierzysz, są tacy, którzy uciulali tam po milionie aureusów. Trzeba wytluc ich jak robactwo jeszcze dziś. Najpierw obowiązek, a potem przyjemność! A szefa zdrajców osobiście ukrzyżuję...

- Kto zacz?

Oczy Leartonika przypominają teraz wyloty luf.

- Tajgenis! - cedzi.

Zanim przybyli do sali obrad, Antygon wręczył Argonowi niewinnie wyglądający wrylec piśmienny.

- Usiądziesz obok Tajgenisa... I w odpowiednim momencie... - Georgiasza przeszedł dreszcz. - A przy okazji, wiesz, jaki powód nadzwyczajnego spotkania podałem Hipparchowi?

- Rozpoczęcie operacji "Archipelag"?

- Oczywiście. Opowiadałem mu o projekcie dzisiaj podczas obiadu. Osłupiał z zachwyty.

Dokonywanie zamachów stanu jest sztuką trudną i niebezpieczną. Archont Archiwariusz posiadał doświadczenie uczestnika paru z nich. W odróżnieniu od amatorów wiedział też, że władza leży często nie tam, gdzie błyszczy. Jądrym Ekumeny był węzeł informatyczny, tam gdzie zbiegały się wszystkie nici. Dysponowanie nim oznaczało kontrolę mediów, środków łączności, sił szybkiego reagowania. Czyje polecenie wypełniał komendant Pokoju Informatycznego, ten miał praktyczną władzę. Oczywiście centrum wymagało odpowiedniego zabezpieczenia, gdyż inaczej byle menscompterowiec mógłby opanować centralę. Stąd wielka rola naczelnika Ochrony Zewnętrznej, szefowej Wewnętrznego Kręgu, dyżurnego nadinżyniera od zasilania oświetlenia i dotleniania, oficera szyfrowego znającego dzienne kody. Kolejną kluczową personą był strateg dyżurujący nad łącznością z wyrzutniami balistycznymi. Wreszcie Efor Foniki, który kontrolował centralne studio dźwięku i obrazu, za pośrednictwem których można było w każdej chwili przemówić do narodu. Pragmatyka władzy ustalona po obaleniu Eumentesa, nie dopuszczająca do kumulacji wszystkich sił w jednym ręku, podporządkowywała każdego z tych

funkcjonariuszy innemu hierarsze. Nadinżynier od zasilania był człowiekiem Georgiasza i to pozwalało liczyć na jego lojalność; informatyczny węzeł był obsadzony przez szwagra Antygona; oficer szyfrowy podlegał Hipparchowi; szef Ochrony Zewnętrznej, niestety, Pauzaniaszowi; zaś przełożona falangierek - Tajgenisowi. Te dwa ostatnie stanowiska należały do szczególnie newralgicznych. Toteż Argon odetchnął, widząc na małych propylejach Kreosa, zastępcę dowódcy Zewnętrznej Ochrony. Zawdzięczał on osobistą karierę Antygonowi, zaś Tajgenis daremnie parokrotnie próbował go usunąć proponując mu dużo wyższe stanowiska.

- Gdzie twój zwierzchnik? - spytał Archiwariusz.

- Nie dojechał, od paru godzin nie miałem z nim łączności - odparł Kreos.

Pozostawał główny problem: Wielka Falangierka

Helena. Wchodząc do sali zwanej tolosem

Archiwariusz przywitał się z nią wylewnie, obdarzając rosłe babsko o twarzy starego tigozaura obfitą dawką komplementów. Na koniec dorzucił:

- Za parę minut oczekujemy wicestratega Leofora. Na moje wezwanie proszę go wpuścić.

- Czy efor Tajgenis wie o sprawie? - zapytała zimno.

- Zaraz się dowie.

Antygon przeszedł przez komorę wentylową (choć między hierarchami panowało wzajemne zaufanie, to jednak na wszelki wypadek wykrywacze sprawdzały, czy nikt przez zapomnienie nie wziął z sobą broni) i wszedł do Sali Hierarchatu. Georgiasz po drodze skręcił do toalety. Miał wkroczyć po dobrej chwili unikając wrażenia, iż przybyli razem.

Na powitanie Leartonika wszyscy zgromadzeni wokół owalnego stołu powstali - Pauzaniasz, Ksantyppos, Arystobulos i inni. Tylko Hipparch uniósł się nieznacznie (korzonki dokuczały mu coraz mocniej) i szybko opadł na brokatową poduchę. Archiwariusz zlustrował salę. Brakowało Tajgenisa... Żle! Nie dał jednak po sobie poznać niepokoju.

- Masz podobno dla nas prawdziwe rewelacje, więc mów - powiedział Arystobulos znany z niecierpliwości.

- Jeszcze nie jesteśmy w komplecie - Antygon spokojnie zajął swoje miejsce i skubnął z przepyszego grona cynobrową kulkę ambrozjonu rozmiarów kurzego jaja.

Wejście Georgiasza nie wywołało większego wrażenia na hierarchach.

- A gdzie nasz kochany Tajgenis? - zaskrzypiał głos

Hipparcha.

Wszyscy popatrzyli po sobie.

- Rozmawiałem z nim przed kwadransem, był w drodze

- rzekł Pauzaniasz. - Podobno też ma dla nas

interesujące informacje.

Georgiasz poczuł na plecach kropelki potu. Tymczasem

na ikonoskopie ukazującym obraz zza ostatnich drzwi

ukazała się twarz Wielkiej Falangierki.

- Przybył wicestrateg Leofor. Czy mam go wpuścić?

- Przyniósł specjalne materiały dla mnie -

poinformował Antygon. - Szczegóły techniczne operacji

Numer 1.

- Niech wejdzie - mruknął Hipparch. Helena jednak

była służbistką.

- Wejście przedstawiciela armii wymaga akceptacji

efora Tajgenisa.

- Bądź zgody przewodniczącego... - biegły w

regulaminie Antygon rzucił przynaglające spojrzenie

Hipparchowi.

- Powiedziałem wpuścić - potwierdził starzec.

Zabręczały sygnały, szcęknięły pancerne drzwi.

Leofor wszedł do propylei falangierek. Oprócz

merytorycznych heterarek ekipa Heleny - ostatnie

zabezpieczenie Hierarchatu - składała się z sześciu

rosłych niewiast zaprawionych do walki wręcz.

- Wszedł do tolosu - zameldowała Helena. - Co teraz?

- Ma zaczekać, aż będzie potrzebny.

Na chronometrze Georgiasza była nona 05.

- Uważam, że powinniśmy zaczynać nawet bez

Tajgenisa. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi -

powiedział Ksantyppos. Poparł go Tulen. Inni nie

oponowali.

Antygon pomyślał o grupie swych hoplitów wysłanych

do zajęcia biur Wielkiego Efora. Wciąż nie miał

potwierdzenia, że im się udało.

Chrząknął. Nastąpiła cisza.

- Zaczę od informacji niesłychanie pomyslniej. Tajna

operacja, którą rozpocząłem przed wielu laty, zbliża się

do finału. W ciągu kilku dni poczynając od jutra

Archipelag znajdzie się w naszych rękach...

Opowiadał. Słuchali jak urzeczeni. Czasem z

półotwartych ust wyrywał się okrzyk niedowierzania,

niekiedy histeryczny śmiech. Kiedy zaś Leartonik

skończył, zerwały się spontaniczne oklaski, a zebrani

powstali. Tylko puste miejsce Tajgenisa zrobiło się

jeszcze bardziej wymowne.

- Rozumiem, że musimy ci podziękować, Leartoniku, a

następnie postawić w stan pogotowia wszystkie nasze

siły zdolne do desantu na Federację - zauważył

Hipparch. - Jeszcze dziś...

- Bez pośpiechu! - powstrzymał go Antygon. - Wywiad

wroga nie śpi. Przedwczesna mobilizacja u nas

mogłaby zaszkodzić całej operacji. Dopiero kiedy nasi

ludzie obejmą tam wszystkie newralgiczne stanowiska,

przystąpimy do drugiej fazy.

Rozległ się brzęczyk Specjalnej Linii Hierarchatu do

Spraw Nadzwyczajnych.

Bezpośredni fonikon omijający sekretariat falangierek

odzywał się nader rzadko. I przeważnie nie wróżył nic

dobrego. Najbliżej siedział Pauzanasz, ale nim zdołał

unieść swoje tłuste cielsko, Antygon zerwał się ze

zręcznością młodego chłopaka.

- To do mnie - stwierdził bez cienia wątpliwości. Kątem

oka zauważył, jak stężały rysy Pauzanasza, a twarz

Argona zrobiła się blada jak ściana.

- Leartonik - rzucił do aparatu.

- Dzwoni Serdek - usłyszał głos swojego wierneho

falangiera. - Jesteśmy na miejscu.

- Brawo.

- Lisa nie ma w norze. Dokumenty zniszczone i śladu

człowieka.

- Wracaj natychmiast!

Grzmot eksplozji urwał rozmowę. Nie ulegało wątpliwości, że Serdek wpadł w pułapkę, zaś absencja Tajgenisa nie była przypadkowa. Jakimś sposobem przejrzał ich plan. Antygon popatrzył na pozostałych hierarchów. Spokojnie! Nic jeszcze nie wiedzieli. W trakcie rozmowy z podkomendnym nie drgnął mu ani jeden mięsień. Co miał jednak zrobić? Mosty zostały spalone.

- Tak, wracaj, jak skończysz. Trzymaj się - zakończył ciepło, jakby dusza Serdeka mogła to słyszeć. - Są nowe ważne szczegóły - zwrócił się do zebranych. - Muszę was z nimi jak najrychlej zapoznać. W tym celu pozwoliłem sobie zaprosić tu naszego drogiego Leoforosa.

- Niech wejdzie - skinął głową Hipparch.

- A co to był za fonik? - czujnie zapytał Pauzanasz.

Antygon zignorował pytanie.

Rozsunęły się drzwi i ukazała się w nich Wielka Falangierka, a tuż za nią wicestrateg.

- Czas! - powiedział ochryple Archiwariusz.

Błyskawiczny cios Leofora pozbawił tchu potężne babsko. Chwilę później drucziana pętla zarzucona na jej szyję dokonała reszty, a ciało osunęło się.

- Co to znaczy? - zawołał po chwili osłupienia

Hipparch.

- Zdrada! - Krzyknął Pauzaniasz.

Jego ręce usiłowały wykonać jakiś ruch, ale Antygon przytknął do jego karku małego wrylca, z którego na kształt języka węża wyskoczyło podwójne ostrze.

- Nie ruszaj się, to jest zatrute - uprzedził Leartonik.

Mimo to Pauzaniasz chciał się poderwać. Wrylec

"ukąsił". Reakcja była natychmiastowa. Tłusta twarz hierarchy zsiniała, oczy wyszły z orbit, usta próżno

usiłowały zaczerpnąć tchu. Potem zwiotczał.

Tymczasem Leoforos nie zwlekając dopadł awaryjnej

dźwigni propylejskich wrót wejściowych. Siedmiu ludzi

na czele z Kreosem wtargnęło do Wewnętrznego

Kręgu. Już wcześniej z kuluarów wymieciono kreatury

Tajgenisa. Większość falangierek nie stawiała oporu,

dwie próbujące zastąpić im drogę Kreos ściał serią z

repetera. Po paru sekundach pięciu funkcjonariuszy

zabezpieczało Wewnętrzny Krąg. A pozostała dwójka i

Leofor stali w trzech rogach Sali Hierarchów

wycelowawszy broń w Najwyższe Gremium.

Dygnitarze trwali jak sparaliżowani. Georgiasz zdołał

tylko mruknać do Ksantypposa:

- Wszystko jest w porządku.

- Co to znaczy? Zamach? Na mnie?!- charczał

Hipparch.

**- Nie, to jedynie konieczna obrona, czcigodny -
odezwał się Antygon Leartonik i rozwinął zwój dobyty z
sakwy: "Bracia, żądam natychmiastowego wyjęcia spod
prawa efora Tajgenisa; strategów: Spirosa, Fryzza,
Edeksosa; podeforów Lenesa, Lernes, Likaona,
Karmida, Hareksa; satrapów: Natora, Eliriona,
Wersa". Każdy z was otrzyma pełną listę
proskrybowanych.**

**- Ale dlaczego, to dobrzy arymaniści - wybąkał
Arystobulos.**

**- Mam dowody, które za chwilę przedstawię, że są to
uczestnicy zbrodniczej operacji "Siatka"
zorganizowanej przez wywiad Archipelagu celem
obalenia arymanizmu w naszym kraju i
podporządkowania go hegemonii Federacji.**

Rozległ się szmer niedowierzania.

**- To brzmi jak rojenie szaleńca... - zaczął Tulen. -
Potrzebujemy dowodów.**

**- Otrzymacie je we właściwym czasie. Teraz nade
wszystko należy działać. Zdrajcy zechcą się bronić.**

Leoforosie, zajmiesz się ochroną Hierarchatu.

**Wicestrateg szedł ku wyjściu, gdy pomimo grubych
murów dobiegł ich wstrząs i zgasło światło. Oczywiście**

natychmiast włączyło się zasilanie awaryjne. Chwilę później znowu odezwał się bezpośredni fonik. Argon podjął go nie tracąc z oczu hierarchów. Dzwonił dyżurny nadinżynier z Centrum Zasilania.

- Potrzebuję posiłków - wołał. - Niezidentyfikowana grupa uzbrojonych osobników szturmuje Bramę Eleuzyjską.

- Otrzymasz wsparcie, panujemy nad sytuacją. Aryman z tobą! - Antygon odwrócił się do sali:

- Jesteśmy atakowani - rzucił. - Jeśli nie chcemy zginąć jak opasowe stekowce, trzeba wprowadzić hoplitów.

Potrzebuję twego upoważnienia, Czcigodny Hipparchu. Rozumiem, że je mam - nie czekając, aż archont otworzy usta przypominające dziób starego żółwia, kontynuował: - Ksantypoosie bezzwłocznie zajmiesz się ochroną nadajników i przygotujesz oświadczenie dla ludności. A ty, Georgiaszu, będziesz moim zastępcą. O reszcie pomówimy później. Aha, chyba powinniśmy jeszcze to formalnie przegłosować.

- Konkretnie co? - zapytał ociążały jak zwykle Tulen.

- Stan najwyższego zagrożenia państwa, przekazanie pełni władzy w moje ręce, zastępstwo dla Georgiasza, nominację na pełnego stratega dla Leofora, no i wyjęcie spod prawa zdrajców...

**- Czyli mamy wojnę domową? - odezwał się nieśmiało
przewodniczący przenosząc wzrok z jednego
uzbrojonego hoplity na drugiego.**

- Ty to powiedziałaś, Wielki Hipparchu. Kto jest za?

Wszystkie ręce bez ociągania podniosły się do góry.

**- Teraz przejdziecie do bunkra sztabowego. Będziecie
tam informowani o rozwoju wydarzeń. Hoplici zawiozą
was na poziom 666.**

**Grupka przerażonych starców dała się potulnie
zaprowadzić do windy. Niektórzy zastanawiali się, czy
jeszcze kiedykolwiek tu wrócą.**

Jeszcze chwila, a za wielkim stołem oprócz trupa

**Pauzantiasza pozostali jedynie Archiwariusz i
oekonomikos.**

- Nie mam pojęcia, jak to mogło się stać - mrucał

Antygon. - Kto uprzedził Tajgenisa?

- Jakie mamy szanse zapanować nad sytuacją?

- Duże. Dysponujemy armią szczerze nie nawiązującą

Szarej Straży, dzierzymy media, mamy... - przerwał. Z

głębi korytarzy i sztolni przybliżał się odgłos strzałów.

Leartonik przekręcił liczbę Pi zdobiącą brązowy

pilaster. Usunęła się część ściany ukazująca przejście.

Jeszcze dwukrotnie pokonywać musieli tajne zapory,

nim wreszcie znaleźli się w malej windzie.

- Na powierzchnię - powiedział Antygon do mównika

- A co będzie teraz z operacją Nr 1? Wstrzymasz ją? -

pytał Georgiasz, gdy sunęli w górę.

- W żadnym wypadku. Dziś nasze zwycięstwo w

Federacji może mieć decydujące znaczenie!

Winda zatrzymała się. Parę kroków, a stanęli pod

rozgwieżdżonym niebem. Dookoła ciągnęły się ruiny

starej Akropolii i wkomponowane w nie współczesne

stanowiska arkebuzyjne. Znajdowali się w

Gwardyjskiej Jednostce Hoplitów.

Niewiele brakowało, by Tajgenis podzielił los

Pauzanasza. Docierał już do placu Periandra, gdy

otrzymał zaskakujący fonikon. W pierwszej chwili nie

mógł uwierzyć. Wiadomość była zbyt

nieprawdopodobna, a dzwoniący... Zatrzymał się

jednak i zaczął sprawdzać doniesienie z innych źródeł.

Georgiasz umknął z zasadzki w Czarnej Świątyni. Coś

działo się w Strategejonie... Na kopyta Arymana! Nie

wyglądało to jedynie na osłonę Planu Numer 1, o

którym po południu poinformował go Antygon.

Podczas rozmowy Leartonik był wylewny, przekazał

pozdrowienia dla rodziny. Aliści Achil doskonale znał

wszystkie kruczki starego gada. Zawracając sprzed

placu Periandra natychmiast kazał ewakuować eforiat.

Miał rację. Nie minęła quartina, a Szary Kompleks otoczyli hoplici Antygona.

- A więc zamach stanu! - na moment przebiegła mu myśl ucieczki na powierzchnię. I dalej... W sekretnym miejscu czekał miniwiropląt, dwie rozkoszne heterarki, komplety dokumentów, precjoza... Nowe życie.

Ale czy można wyobrazić sobie życie bez władzy?

Szary efor wydał niezbędne rozkazy. Zamierzał walczyć.

XVI NOC I MOC

Po wysadzeniu Ursina na tyłach hostelu "Asilium", gdzie natychmiast przejęli go ludzie Druzzusa, Leontias skierował omnivanta ku morzu. Posuwał się blisko dna, unikając namierzenia. Wreszcie znalazł zaciszną zatoczkę pokrytą rzęsą i wielkimi liśćmi królewskiej helonii i tam pięć łokci pod powierzchnią postanowił spędzić noc. Wnętrze pojazdu było ciasne jak kapsuła kosmiczna. Gurus z obandażowaną głową rozciągnął się na przednich siedzeniach, natomiast Leontias z Dią rozłożyli koce w luku bagażowym. Miejsca starczało tam ledwie dla dwóch szczupłych osób. Sclavus strudzony zasnął natychmiast. Przyśniło mu się dzieciństwo na wsi, drewniany dom,

wyciszony o szarej godzinie, pelzające kwiaty
teobiscusów na ścianach atrium. I babcia, która
zaciągając z wenedzka, deklamująca mu,
usypiającemu na ławeczce szkrabowi, stary wiersz
napisany w wymierającym języku ginącego narodu.

Niebo ponad Wenedią jest jak bluzka błękitna
za dnia czyste i jasne, i bliskie,
nocą gwiazdy - guziki i fibula księżycy
rozwieszają je ponad ogniskiem...

Wyschnie niebo od rosy, pojaśnieje znów bluzka
kołnierzyka wesołym karminem,
pocałuje poranek, w którym słońce ma usta
twojej matki, staruszki jedynej.

Idą starzy Wenedzi, kosze ryb niosąc wolno,
a kobiety już ziarno utarły
i smakuje im placek wyrośnięty jak wolność,
choć dżdże podobno umarły...

I ten obraz w nas żyje, póki ludzkiej pamięci,
Choć rozlega się w krąg chichot czarta,
choć matka zabita, choć bluzka podarta,
choć Inna w złą stronę się kręci...

Dlaczego właśnie przypomniał mu się wiersz? Dlaczego
babcia? Zmarła rodzina śniła mu się rzadko. Tak jak od
lat nie wspominał Pertesa i jego siepaczy. Jak wyrzucił

z pamięci dziesiątki scen strasznych i ponurych. Cóż

więc miał oznaczać ten sen? Że tam w zaświatach

czekali na niego?

- Wkrótce do was dołączę? - pytał, ale babcia oddalała

się, coraz mniejsza i mniejsza, aż stała się maleńka jak

gluszczyk - maleńki stekowiec hodowany w domowych

vivariach ku uciechu dzieci. Gluszczyk pokryty

jedwabistym futerkiem, o szypułkowatych oczach w

błękitnych obwódkach, ze śmiesznymi pazurkami i

długim ruchliwym ryjkiem...

Obudziło go delikatne dotknięcie, jakieś zwierzątko

dobierało się do jego ucha. Czuł gorąco warg,

delikatność języka. Chciał się cofnąć. Nie miał dokąd.

- Dia - szepnął - co ty robisz?

- Cicho, bo obudzisz Gurusa. - Była całkowicie naga,

gorąca, pachniała miodem i mlekiem...

- Jesteś szalona, dziewczyno!!!

- Kocham cię, Leo. Chcę być twoją żoną! Lecz jeśli

mnie nie kochasz, powiedz to. Zrozumiem, odejdę....

Mów!

Nie mógł tego powiedzieć. Czyż jednak mógł pozwolić,

by drobna, na wpół dziecięca rączka głaskała jego

kosmatą pierś nieśmiało podążając ku bardziej

niebezpiecznym rubieżom, by całowały go te

niedoświadczone usta?

**- Nie możesz poczekać? - prosił. - Jesteś bardzo młoda,
nie znasz świata, nie miałaś wyboru.**

**- Ty jesteś moim wyborem. A jeśli - zawahała się na
moment - jeśli jutro zginie? I nagle zaczęła mu
szeptać wiersz Scribonii, wieki całe pozostający na
indexie:**

**Chcę zapamiętać w drodze do Tartaru
smak zespolenia.**

**I ową zwyczajność, co nadzwyczajna,
ciebie w każdym ruchu.**

**Ciebie, któryś we mnie,
i mnie w twoim sercu.**

**A jeśli sen nas czeka, nieprzespany
chcę śnić o tobie.**

**Jeździec o rumaku, rumak o jeźdźcu,
strzała o kolczanie
w wiecznym dopełnieniu.**

**Niech więc Jedyny nas pobłogosławi,
bo będziem nawet wbrew Jedynej woli
w szaleństwie szczęścia i w rozkosznym bólu
rozdierać jękiem nagą ciemność nocy,
po rosę potu, czerwien ściętej róży,
gdy dzwony naszych serc**

zagrają ave

ślubom wieczystym

i latom powszednim,

mój ukochany.

Mój ukochany.

**I cóż miał jej powiedzieć. Że świat nie jest poezją. Że
cięte róże więdną. Że nie ma nic prócz złudzeń i
samotności. A za czarę nektaru przychodzi latami pić
piołun. Że dziewczyny, które kochał przed laty, są już
tylko cieniami na polach elizejskich lub więdną w
domowych niemodnych wazonach... Ale jej tego nie
powiedział.**

**Może rzeczywiście należy dawać ludziom to, czego
pragną, bez zastanawiania się, dlaczego?**

Więc zrobił to, o co prosiła.

**I omnivant pomknął w gwiazdy. Tam, gdzie ryczał Lew
i Niedźwiedź, gdzie warkocz Bereniki połyskiwał
złociście, gdzie kaskadą brylantów spadała Mleczna
Droga w rozchyloną pułapkę Oriona. A oni wspinali się
poza progi kolejnych nieb. I rozbrzmiewała im muzyka
sfer. Concerto jęków, oddechów, monosylab,
pocałunków. I byli już jedną zespoloną kometą, która
naraz znalazła się po drugiej stronie galaktyki.**

A we własnych szeroko rozwartych oczach widzieli

obracający się glob jednego księżycy, złocistość pustyń,
szmaragd oceanów, zieleń dżungli, biel lodów. I we
wspólnym spazmie wydarło się im jedno słowo -

Ziemia.

I wylądowali.

**Na przednich siedzeniach Gurus wbił zęby w swoje
przedramię. Dygotał, klął w myśli i modlił się o własną
śmierć, bo wiedział, że taka miłość jest jak dotknięcie
Boga i zwykłym ludziom może nigdy się nie zdarzyć.**

**Po każdej kampanii dzień Inauguracji był zawsze na
Archipelagu świętem pojednania. Już w wigilię
Zaprzysiężenia, wieczorem 20 żeńca, w całej Federacji
zapanował nastrój świąteczny. Dla czołówki politycznej
był to czas wypoczynku, nabierania oddechu przed
diabelskim młynem, który miały rozkręcić dni
następne. Nie dziw, że bohaterowie spędzali ów**

**"kawalerski wieczór" ukryci przed mediaferrantami, w gronie najbliższych. Kasjusz Longinus
zaszył się na wsi**

**w otoczeniu swoich sześciorga dzieci, Quintus Cedrus
odwiedził teściów, poczciwych weteranów, którzy
niedawno nabyli stary dom koło Avillei, Marek Ursin
spotkał się na winie w gronie szkolnych przyjaciół, a
Druzzus wespół z dowództwem gwardii na zamkniętym
wieczorku w Starych Koszarach Pretorianów. Nawet**

prefectissimus Marcellis opuścił swój matecznik i wirowcem udał się do sanktuarium św. Zenobii w Górach Florentyńskich, aby się zrelaksować polując na grubego gada.

Wszystkie przygotowania zostały zakończone. Lśniły wypucowane itinery, pyszniły się świeżymi tynkami frontony insul i mercatoriów. Akcja vigiliancka pod kryptonimem "elementy" wymiotła z centrum tumanantów i trynitatystów. Szybko zapomniano o niefortunnej wypowiedzi wieszczki Nerinii, która w programie "Auspicje" zapytana o prognozy dla nowej navigatury zaczęła zawodzić nad czarą z magiczną breją: "Widzę krew, widzę krew..." - ale szybko po maleńkiej pauzie przyprawiającej wielomilionowe spectatorium o skurcz serca dorzuciła - "krew z mlekiem, toż to cera naszego Cedrusa".

Nastroju nie zmąciły doniesienia agencyjne o nagłym urwaniu łączności z Ekumeną - wyłączenia fonikonów w kontynentalnym imperium zdarzały się często, przynajmniej raz na miesiąc. Wystarczyło, aby jakiś Ekumeńczyk podpałił się pod Wielką Świątynią Arymana albo ktoś rzucił jajkiem stekowca w luxpędnik hierarchy, a już sturęka, niewidzialna siła przerywała programy, zagłuszała łączność orbitalną,

skazując resztę Innej na domysły i spekulacje.

Oczywiście przygotowani na taką okoliczność czolowi rezydenci medialni hodowali (w tajemnicy, proceder bowiem był zakazany) awozaury pocztowe. I jeśli tym bystrolotnym szybownikom udawało się ominąć wszystkie zasadzki i pułapki, już po kilku dniach świat dostawał porcję prawie prawdziwych informacji.

Tym razem jednak nawet ci, którzy powinni być najlepiej poinformowani, nie mieli pojęcia o wojnie domowej ogarniającej Dolną Akropolię. Jak było do przewidzenia, armia opowiedziała się za legalną władzą, a Szara Straż za Tajgenisem. Oczywiście społeczeństwo rozległej Ekumeny dobrą dobę nie będzie miało pojęcia, co się dzieje. Części prawdy dowie się dopiero za kilkanaście godzin z dramatycznego apelu Ksantypposa, który razem z Georgiaszem postanowi odwołać się do narodu.

Poinformuje o zgonie, z powodu niewydolności krążenia, Antygona Leartonika. Będzie to tylko w połowie prawdą. Antygon przestanie krążyć po kabinie orbitowca, na który przeniósł się wraz ze swym sztabem, jednak niedokrwistość mięśnia sercowego nie będzie miała z tym nic wspólnego.

Bardziej desperackie będzie zagranie Tajgenisa. Efor

po opanowaniu Dolnej Akropolii wyda bowiem manifest "Do Calej Ekumeny". Ogłosi w nim wolność wszystkich kultów religijnych, prawo każdego z ludów Ekumeny do decydowania o własnym losie, zgodę na dobrowolne opuszczenie podziemnych miast, otwarcie granic i natychmiastowe negocjacje z Federacją na temat pomocy żywnościowej.

- Zwariował, zwariował - zaryczy słuchający tego orędzia Antygon.

- Zachowajmy spokój - odezwie się na to Ksantyppos. -

Ten apel nie ma szans wydostać się z Akropolii.

Najwyżej przedłuży opór buntowników.

- Zatem nie mamy wyjścia. Należy uderzyć balistą w górny zbiornik.

- Zatopić stolicę? A 3 miliony ludzi, a elita, a internowani hierarchowie?... - zakrzyknie Georgiasz. -

Na Arymana, Antygonie!...

- Wykonać... Albo każę przywiązać cię do czubka pierwszego pocisku. Niech pilot włączy odliczanie.

I wówczas dobry, miły Argon, ucieleśniający rozsądek

i umiarkowanie, użyje noża, jednym cięciem

poderżnie suchą szyję hierarchy, aż czarna jucha

splami delikatne dłonie oekonomikosa.

Obiekt FLX położony w najwyższej partii Lasu

Florentyńskiego pozostawał nie wykorzystywany od lat wojny herriańskiej. Przez jakiś czas baraki z szarej ilowej cegły stanowiły ostoję tumanantów i trójczubów, zanim nie przegnali ich sekuryci miejscowego rezerwatu. Projekt przekazania koszar i bunkrów na magazyny pasz upadł z powodu braku łatwego dojazdu.

Biła decyma, gdy prywatny nośnik Elekta, pomalowany w faliste pasy symbolizujące dwadzieścia jeden diecezji Federacji, zawisł nad spękanym pasem startowym. Terkot płatów zmącił ciszę zakątka, a tumany kurzu na moment przysłoniły niebo.

Cedrus wyskoczył energicznie z kabiny, pozostawiając pilota na zewnątrz wiroplata. Postąpił parę kroków w stronę bunkra "A", otoczonego gęstwą iglaków.

Owionęło go nocne powietrze przesycone żywicznym zapachem ziół. Silniki umilkły i znów rozbrzmiewało jedynie granie cykad i szmer nieodległego strumyka.

Quintus przybył sam, wymknął się swoim ochroniarzom, a o wycieczce wiedziała jedynie żona, pozostająca u teściów w Avillei.

- Jesteś - z cienia wychylił się kędzierzawy Ruffix. - A gdzie ten Słowianin?

- Ursin sprowadzi go swoim nośnikiem. Wystarczy ci ludzi?

**Rufo cicho zagwizdał. Spod baraków odezwał się
zawodzący głos avozaura, z drugiej strony w rowie
zakumkała żaba, skrzypnęła jakaś framuga na
wieżyczce dawnego stanowiska kontroli lotów...**

Quintus doliczył się co najmniej dziesięciu odpowiedzi.

**- Doskonała robota - pochwalił. - Mam nadzieję, że nic
z dzisiejszych wydarzeń nie przeniknie na zewnątrz.**

Ruffix wykrzywił mięsiste wargi.

**- Gwarantuję to. Nie można było wybrać lepszego
miejsca na załatwienie sprawy: blisko stolicy, lecz
spokojnie, żadnych zbędnych świadków. Nie podoba
mi się jedynie, że przybyłeś tu osobiście. To człowiek
niebezpieczny.**

- Dlatego muszę z nim porozmawiać przed waszą akcją.

**Jestem pewien, że nie da się wziąć żywcem. Muszę się
dowiedzieć, kto jeszcze jest w to zamieszany.**

- Rozumiem. Pozostaje jeszcze jedna drobna kwestia...

- Słucham? - Cedrus odwrócił się do szefa sztabu. Na tle

rozwieżdżonego nieba ich sylwetki wyglądały wręcz

bliźniaczo. Rozpoznać ich można było tylko po

kędzierzawej czuprynie Rufona i kapturze, który

naciągnął na głowę elekt.

- Chodzi o Ursina.

- Nie rozumiem. To mój najlepszy przyjaciel. I niczego

nie podejrzewa.

- Właśnie. Jest wierny, ale nie nasz. Nie możemy pozwolić sobie na dyskomfort istnienia świadka.

Przez chwilę Quintus milczał, wreszcie rzekł bardzo powoli.

- Nie chcę znać szczegółów, Rufo. Ty nadzorujesz operację.

Bunkier wybrany na spotkanie ze Słowianinem wyglądał solidnie. Wyglądał na nietknięty zębem czasu.

Głęboko wkopany w ziemię, dość przestronny, oświetlony i hermetyczny, znakomicie nadawał się na miejsce poufnej rozmowy.

Może zresztą używano go od czasu do czasu przy podobnych okazjach. Z salą operacyjną sąsiadowała niewielka zamaskowana caverna, w której miał się ukryć Ruffix.

- Doskonale wybrałeś ten obiekt - w głosie rudzielca zabrzmiało uznanie.

- Kiedyś odbywałem tutaj szkolenie wojskowe - powiedział Cedrus.

- Mam nadzieję, że ten pieprzony Sclavus nie uznał spotkania na takim odludziu za coś podejrzanego?

- A gdzie mielibyśmy się spotkać kilkanaście godzin przed Inauguracją, kiedy mediaferranci czyhają za

każdym węglem? Zresztą sam życzył sobie, aby jego usługi pozostały poufne.

Mgła leżała płatami w dolinach niczym strzępki waty.

Jednak sam płaskowyż powinien być od niej wolny.

Omnivant sunął ponad koronami drzew na podobieństwo szybującej harpii, cichy, niewidoczny.

Skończyły się perelki światel wzdłuż viafastów, coraz rzadsze świetliki wskazywały ludzkie sadyby na stokach gór. Skupiony Ursin milczał. Leo też nie palił się do rozmowy. Czuł jeszcze słodycz ciała Dii i lęk o nią, lęk o przyszłość niepewną...

Nośnik prześlizgnął się ponad linią zasieków, prawie je muskając, czujniki termiczne wykazały podłużne ciepłe bryły przyczajone wokół bunkra. Ponad dwudziestu... Lekko drgnęły zuchwy Leontiasa, nie rzekł jednak nic, szerokim łukiem okrążył dawną komendanturę i usiadł maszyną obok wiroplata elekta, ustawionego w cieniu gigantycznego szpilkowca.

Mężczyzna w skórzanym kombinezonie, zaufany pilot Cedrusa, pokiwał im na powitanie.

- Czy będzie tu ktoś poza nim i Cedrusem? - zapytał Leo.

- Umówiliśmy się, że nikt - zapewnił consulantor. -

Trzymaliśmy całą akcję w tajemnicy. Nawet ten pilot do

ostatniej chwili nie wiedział, dokąd leci.

Pomiędzy nośnikiem a włazem do bunkra

rozpościerała się otwarta przestrzeń. Dzięki

reflektorom teren ten mógłby w mgnieniu oka

zamienić się w rzęsiście oświetloną scenę. Leontias

niezadowolony pokręcił głową.

Zeszli schodami, mechanizm hydrauliczny zamknął za

nimi pancerne drzwi.

Umeblowaniem wewnątrz przypominało ubogą popinę.

Światło paliło się jedynie nad żelaznym stołem, dawną

mapmensą. Na pustym blacie stał otwarty termos i

szklanka z niedopitą kawą. Jeden z trzech prostych

zydli zajmował mężczyzna z głową ukrytą w dłoniach.

Spał?

Kroki najwyraźniej go obudziły. Wstał i mrugając jak

człowiek wyrwany z głębokiego snu wyciągnął dłoń do

Leontiasa.

- Witaj, herosie - rzekł.

Leo uścisnął rękę Navigatora z szacunkiem, wydawał

się trochę onieśmielony. Ursin tymczasem zamknął

drzwi. Rozległ się cichy syk uszczelniaczy. Od tej chwili

byli odcięci od świata, z kapsuły nie mógł wydobyć się

żaden dźwięk.

- Proszę usiąść - powiedział Quintus. - Spotykamy się

na quartinę przed północą, ale chyba nie za późno.

Marek opowiadał mi trochę o pańskim śledztwie.

Chyba pora, abym poznał jego rezultaty.

- Otrzymałem zadanie wyjaśnienia śmierci

pseudotrynitasty Narensa, zgładzonego w dniu 7

żeńca bieżącego roku - referuje Leo. - Miałem

wyjaśnić, co ów młody człowiek chciał przekazać wam,

Quintusie, i jakimi motywami kierowali się mordercy

oraz ich ewentualni mocodawcy. Jak podejrzewałem,

zakres śledztwa przekroczył zakreślone zadanie.

- Zatem wie pan wszystko?

- Wiem dużo. Wiem, co chciał przekazać Narens i kto

go zabił. Grupa ochroniarzy z "Błękitnego Raptularza"

kierowana przez libratorkę Pinettę - z ust Cedrusa

omal nie wyrwał się okrzyk zdumienia. - Ustaliłem też,

kto kierował zabójcą, a następnie nieskutecznie

zacierał ślady, co kilkunastu ludzi przyplaciło życiem.

- Kto to zrobił? - wyrwało się Cedrusowi.

- Jeden z pańskich najbliższych współpracowników.

Człowiek obdarzony wielkim, jeśli nie największym

zaufaniem. A zarazem pozbawiony skrupułów agent

Ekumeny, kupiony jeszcze piętnaście lat temu podczas

misji rozjemczej w Herrii. Szef Sztabu wyborczego -

electorius Ruffo Ruffix.

Ursin skurczył się na swoim zydlu. Jednak elekt

skomentował tę rewelację krótko:

- Wiem!

Leontias nie wyraził zdziwienia i mówił dalej.

- Ten niewątpliwie zdolny agent popełnił jednak duży

błąd, nie zainteresował się tym, co miał do

powiedzenia Narens. Założył, że trynitatysta jakimś

sposobem dowiedział się o jego zdradzie, bo cóż

innego mogłoby "zatrząść całym Archipelagiem". A

wystarczyło dopuścić do waszej rozmowy, by

dowiedzieć się, że Narensowi chodziło o co innego.

- A o co?

- Zanim odpowiem, muszę niestety postawić pytanie o

pańską rolę. Jest pan marionetką lub zakładnikiem

Ruffixa czy też jego mocodawcą? A może o niczym pan

nie wie? Muszę zadać pytanie, kim pan jest, Quintusie?

- Po pierwsze, nie jestem Quintusem Cedrusiem -

odparł elekt.

Ruffix nadsluchujący rozmowy i przypatrujący się im

przez jednostronne lustro z wrażenia upuścił repetera.

Brzęk dotarł do nich przez otwór wentylacyjny i nie

uszedł uwagi Leontiasa. Jego źrenice zwęziły się jak u

atakującego drapieżcy.

- Proszę się nie denerwować, to tylko Ruffix - wyjaśnił

spokojnie Cedrus. - Cieszy się, że tyle o nim mówimy.

- Ruffix tutaj? - Ursin aż podskoczył.

- Nie denerwuj się, Marku. Jego uczestnictwo w naszym spotkaniu będzie dość bierne. Znajduje się za tą pancerną szybą. Widzi nas, ale nic nie może zrobić...

- w tym momencie Ruffo zaklął i unosząc broń szarpnął za klapę wejściową. Ani drgnęła. - Cóż, może jedynie

przysłuchiwać się naszej rozmowie, albowiem

zablokowałem właz. - Zastawiliśmy wspólnie pułapkę

na pana, ale wpadł w nią sam nasz przyjaciel. Teraz,

jeśli wściekłość nie pozbawiła go możliwości

logicznego myślenia, zapewne zastanawia się, jak z

tego wybrnąć. Niestety, jego radiostacja, przez którą

mógłby poderwać swych siccarów czuwających wokół

bunkra, nie może przekazać sygnału. A poza tym we

właściwym czasie rozwiążemy i ten problem. A teraz co

do sprawy mojej tożsamości, przypomina mi się

rozmowa, jaką odbyłem z szefem FOI Marcellisem dwa

dni temu. Powiedziałem mu wprost: "Sądzę, drogi

prefectissimusi, że powinien pan wiedzieć, iż nie

nazywam się Quintus Cedrus tylko Hektor Talsus i

jestem, czy raczej byłem, oficerem Ekumeńskiej Szarej

Straży..."

- Co... takiego? - jęknął pobladły Ursin.

- Marcellis był niemniej zaskoczony niż ty, Marku. A ja kontynuowałem: "Prawdziwy Cedrus zginął wraz z całą rodziną w wypadku zaaranżowanym przez naszą grupę operacyjną..." - po twarzy Słowianina można było poznać, że wyznanie nie zaskoczyło go aż tak jak Ursina. - Nie miałem w tym udziału, choć oczywiście wykonałbym wówczas każdy rozkaz pochodzący od sług Arymana. Fakt, że zostałem wyznaczony na głównego realizatora Planu Nr 1 Mateczki Ekumeny był powodem mej dumy i zapału. Byłem do szpiku kości przekonany o słuszności mej misji. Akceptowałem jej koszty. Cóż zresztą wiedziałem o świecie? Ekumena stanowiła o jego sensie. Byłem sierotą. Nie znałem swych rodziców, dziś mogę tylko przypuszczać, że pochłonęła ich któraś z czystek wielkiego Periandra. Zresztą wówczas, gdyby zaszła potrzeba, osobiście wykonałbym na nich wyrok. Wychowywano mnie na żołnierza, na posłuszną, choć inteligentną maszynkę do zabijania. Ktoś chyba zorientował się, że jestem lepszy od mych rówieśników. Że mam małpią zdolność do języków, jestem niezłym matematykiem, dobrym mówcą, potencjalnie sprawnym aktorem. Zainwestowano w mój umysł. Nawet w despotyzmie potrzeba niekiedy ludzi mądrzejszych od innych. Lud

może być trzymany w tępotcie, ale nadzorcy powinni

być inteligentni. Wysłano mnie więc do szkoły

geniuszy. Nie zawiodłem oczekiwań Arymantei.

Przeskakiwałem po trzy stadia w ciągu roku. Miałem

rekordowe wskaźniki inteligencji. Sprawdziłem się też

psychologicznie - mając 16 lat zadenuncjowałem

najlepszego przyjaciela jako wyznawcę Jedynego,

wydałem własną kochankę dowiedziawszy się od niej,

że współpracowała z federacyjnymi mediaferrantami.

Później miałem się przekonać, że oboje donieśli

wcześniej na mnie i to przyniosło mi ulgę.

Mając siedemnaście lat płynnie posługiwałem się

neolacina i powandalszczyzną, znałem też bardziej

popularne dialekty Archipelagu. Chyba wtedy wybrano

dla mnie rolę. Rolę gwiazdy pierwszej wielkości.

Operacja chirurgiczna zmieniła mi twarz, środki

farmakologiczne pigment. Barwę głosu i sposób

mówienia dopracowałem sam. Dostarczano mi stosy

taśm z nagraniami Quintusa (wybrano go spośród

innych optymalnych kandydatów do podmiany). Nasi

agenci, w tym pokojówka zatrudniona w domu

senatora, relacjonowali mi co do pacierza życie

młodego Cedrusa, poznawałem jego zabawy, ulubione

gry, obrażniki i książki, flirty i przyjaźnie. Przez dwa

lata stawalem się nim. I chyba stalem. Nawet udało mi się odmłodzić o 3 lata. Wreszcie łódź podmorska przewiozła mnie na Nową Istrię, gdzie w pustym eremie rozpocząłem trening praktyczny. Sam wypadek w Górach Gadzich był majstersztykiem dywersji, zamiast Quintusa, którego trupa usunięto, ja sam pokaleczony i pokrwawiony odnalazłem się na dnie wąwozu (Przewidziano nawet, że dostanę twoją krew, Ursinie.). Co było dalej, chyba wiecie. Mogę tylko dodać, że agenci Ekumeny zadbali, aby wszystko mi się w życiu udawało. W odpowiednich momentach znikali moi rywale i konkurenci. A ja piąłem się w górę. Na szczyt! Realizowałem plan.

Atoli moi przełożeni nie przewidzieli jednego.

Pogrążeni w mrokach Dolnej Akropolii nie brali pod uwagę możliwości odtrucia organizmu zaczadzonego fanatyzmem. Nie wiedzieli, co spowoduje długoletnie przebywanie w odmiennym środowisku. Wierzyli w nieodwracalność tresury, a jako arymaniści byli pewni przewagi ciemnej strony ludzkiego charakteru.

Zresztą, co ich obchodził człowiek? Liczyła się jedynie władza. Ludzie dzielą się wedle nich na dwie kategorie - do kupienia i do zastraszenia. A na wszelki wypadek wszystkich trzeba pilnować. I tak w moim

**towarzystwie znalazł się ten cerber, który teraz tam za
lustrem bezsilnie zgrzyta zębami. Jak powiedziałem,
moje odtruwanie trwało latami, najpierw
niepostrzeżenie, potem coraz silniej. Pamiętasz,
Ursinie, moje depresje sprzed poznania Octavii. Moja
misja zaczęła mnie męczyć. Przerażać. Wiesz, że
myślałem nawet o samobójstwie. Pobyt u ciebie,
małżeństwo z Octavią stały się moją drogą do
Damaszku. Przejrzałem na oczy, nagle ujrzałem
arymanizm w całym jego turpizmie, jako paranoiczny
sen starych schizofreników, wielką pomyłkę
eksperymentatorów, antyreligię opartą na najgorszych
ludzkich kompleksach. Po prostu obudziłem się.**

**Po przebudzeniu zrazu ogarnął mnie strach. Uciec nie
mogłem, bo za dobrze znałem potęgę szarych macek.**

**Udać się do FOI - cóż, mogłem donieść na siebie, na
Ruffixa, lecz na nikogo więcej, zresztą nie miałem
żadnych dowodów. Zresztą czy poświęcenie siebie
zniszczyłoby "Plan Nr 1"? Czy nie mieli w zapasie
innych "Cedrusów"?**

**W ten sposób nie mogłem pomóc Federacji. Zresztą,
nie zrozumcie mnie źle, kochając Octavię, ustrój
Archipelagu i wierząc w Jedyne, w głębi serca
pozostałem Grekiem, współczującym moim rodakom**

zepchniętym w podziemia.

Po paru miesiącach rozterek znalazłem odpowiedź.

"Muszę doprowadzić Plan Nr 1 do końca. Zostać

Navigatorem. I wykorzystać swoją pozycję do celu

odwrotnego niż zamiary Antygona i jego kliki". Tyle

mniej więcej opowiedziałem Marcellisowi.

Do tego momentu prefectissimus słuchał mnie

spokojnie, wybierając zapewne już miejsce mego

odosobnienia i główkując, jak uzasadni w mediach

moją eliminację. Ja tymczasem ciągnąłem dalej: - "Nie

mam zamiaru poprzestać na planie minimum.

Gdybym zamierzał tylko ujawnić siebie i agentów

przewidzianych na kluczowe stanowiska w państwie

(tu podałem listę), nie składałbym panu tej wizyty.

Chcę dać wolność moim rodakom. Dać szansę

Ekumenie, tak by jej społeczeństwo samo zdecydowało

o swym losie. I w tym dziele liczę na pańską pomoc,

prefectissimusie".

Marcellis chyba uwierzył mi, zrozumiał istotę mego

pomysłu i obiecał pomoc. W ciągu jednej nocy jego

ludzie zdołali sporządzić dokumentację planu "Siatka", tajnej, nigdy nieplanowanej operacji przeciwko

Ekumenie. Dokumenty zostały ukryte, ale tak, aby

Ruffix w ramach przejmowania FOI trafił na ich ślad,

dogrzebał się do nazwisk prominentów ekumeńskich, rzekomo współpracujących z nami i bezzwłocznie przekazał do Dolnej Akropolii. Listę zdrajców na naszym żoldzie (zadbaliśmy nawet, aby otworzyć im antydatowane konta w bankach) opracowaliśmy tak, aby umieścić na niej możliwie jak najwięcej kreatur z Tajgenisem i Pauzaniem na czele. Marcellis wykazał w tym względzie wyjątkową pomysłowość. Nie poprzestaliśmy na tym. Kiedy dokumentacja zdobyta przez Ruffixa dotarła do Archiwariusza, równocześnie inny nasz agent ostrzegł Tajgenisa. Rozumiecie, rzeź jednej frakcji arymanistów przez drugą nie zniszczyłaby systemu, który odrósłby jak ogon jaszczurki. Różnice między Pauzaniem a Ksantyposem dotyczą środków i stylu władzy, obie koncepcje jednak mają na celu wyłącznie usprawnienie imperialnego arymanizmu. Natomiast walka hierarchów... Ta, wraz z kompromitacją Planu Nr 1 może nadwerężyć przegniły system, obudzić aspiracje uśpionego społeczeństwa.

Ruffix z bezsilnej wściekłości zaczął tłuc kolbą w szybę.

Ale pancerne szkło spokojnie znosiło wszystkie ciosy.

- Daj sobie spokój, Ruffo - Cedrus zwrócił twarz w stronę lustra. - Jesteś zwolniony ze służby.

**Bezrobotny! I osamotniony. Ludzie Marcellisa już
pewno zajęli się ekumeńskimi śpiochami. W końcu
przygotowywałem z tobą ich nominacje. Znam
wszystkich. Nikt ci nie pomoże. Twój mocodawca też
mają wielkie kłopoty. Ale nie bój się, nie spróbujemy
inwazji na Ekumenę. Po co nam brać na garnuszek taki
ogromny, zrujnowany kraj... Będziemy się tylko
życzliwie przyglądać postępom demokracji, wspierać
reformy, zapobiegać klęsce głodu. Tobą zajmie się sąd,
jak wiesz, nie zapadła jeszcze decyzja o zniesieniu kary
śmierci.**

**- Ja ze swojej strony mógłbym zaproponować jeszcze
inne rozwiązanie - odzywa się Leontias. - Będziesz miał
pięć minut na decyzję, Ruffonie...**

**Oglupiały Ursin popija kawę wprost z termosu. W
gardle mu zaschło, a wyznania Cedrusa po wielokroć
przerosły jego wyobraźnię.**

**Tymczasem Quintus zwraca się do Słowianina. - Pan
naturalnie przewidział tę pułapkę?**

- Brałem ją pod uwagę.

- A gdybym jednak to ja był szefem spisku?

**- I na to byłem przygotowany - tu Leontias wyciąga nóż
i wyluskuje ze szwów kombinezonu osiem
niewielkich kapsulek. - Stłuczenie choćby jednej z nich**

poprzez mój upadek na ziemię - mówi, starannie chowając je do metalowego pojemnika - spowodowałoby uwolnienie toksycznego gazu i natychmiastową śmierć nas wszystkich. Teraz nie będą już potrzebne, chyba że pan Ruffix reflektuje na odrobinę thanatonu. - Uchyła klapy. - Bądź uprzejmy wyrzucić na zewnątrz swoją broń, potem wyjść z podniesionymi rękami.

I szef sztabu spełnia polecenie Słowianina.

Poddając się Sclavusovi Ruffix nie przestawał liczyć na odwrócenie biegu wydarzeń. Wierzył w swoich ludzi, nade wszystko zaś w umiejętności Aulusa, którymi wykazał się choćby podczas likwidacji Narensa. Krępy osilek cieszył się opinią profesjonalisty w każdym calu. W sprawach zawodowych był arcypedantem. Na akcję każdy posiadacz repetera zabierał dwa magazynki. Aulus trzy. Nadto o ile większość sekurytów minimalizowała bagaż, on nie rozstawał się nigdy z długą linką, zestawem kotwiczek, składanym pontonem czy maską przeciwgazową.

A co mógł wymyślić Sclavus? Ściągnąć ludzi Druzzusa.

Na dwudziestkę Ruffixa potrzeba by było ze trzy centurie sekurytów gotowych na bitwę. A w górach czekał przecież elitarny odwód ekumeńskich

desantowców...

Słowianin doszedł tymczasem do pancernych drzwi.

Wyjął z kieszeni mały nadajnik, dotknął nim szyby.

Mimo warstw izolacyjnych dotarł do nich grzmot
wybuchu.

- Co to było? - zawołał Cedrus.

- Wysadziłem w powietrze pański nośnik. Ściślej
mówiąc eksplodowała wewnątrz niego bania z gazem
paraliżującym. W promieniu milli wszystko, co żyje,
straciło na dwie hory przytomność. Bunkier na
szczęście jest hermetyczny.

- Będziemy musieli tkwić tu dwie hory? - zaniepokoił
się Ursin.

- Wieje wietrzyk, za quartinę będziemy mogli wyjść -
uspokaja Leo. A za pół godziny powitamy tu Druzzusa.

Plan był niezły. Choć nie dość dobry jak na Aulusa. W
momencie detonacji znajdował się na tylnej czujce,
czteryście łokci od bunkra. Wybuch wiroplata zaskoczył
go tylko na mgnienie oka. Gdy dojrzał, jak podrywający
się wokół pasa startowego strzelcy z trzepotem rąk
osuwają się na ziemię, zareagował błyskawicznie,
wstrzymał oddech i zanim fala gazu, poruszająca się
znacznie wolniej niż dźwięk, dotarła do niego, miał już
na twarzy maskę przeciwgazową, a w ręku

odbezpieczonego repetera. Przetrwał. Szybko

rozpoznał rodzaj gazu.

- Nervitol - mruknął do siebie. - Krótki i nietrwały.

Działa jak cięcie kosy, ale nie zabija. Tyle że kiedy

koledzy oprzytomnieją, będzie już po sprawie.

Musiał działać sam. Okrążył obiekt, minął uśpionego

pilota. Stał za omnivantem mając na wprost

oświetlony właz do bunkra. Pogłaskał karbowaną lufę i

przestawił na ogień pojedynczy.

- Mamy robótkę, malutka.

Czas dłużyl się, powietrze z wolna oczyszczało.

Wreszcie z gardzieli bunkra dobiegł zgrzyt. Aulus

uniósł broń koncentrując się na celmierz. Jako

pierwsza pojawiła się niewysoka sylwetka Ursina,

potem kapelusz Navigatora, wreszcie kędzierzawy łeb

Ruffixa. Całość zamykał potężnie zbudowany

mężczyzna. Niewątpliwie główny przeciwnik. Głowę

miał niedużą, inteligentką. Strzelec wycelował w rejon

splotu słonecznego. Musiał trafić. Koncentracja...

Spust

Uderzenie rzuciło Leontiasa na mur, zwinął się i

pociągnął Cedrusa ku ziemi. Drugi strzał. Marek Ursin

runął jak szmaciana lalka. Ruffix chciał uciekać, ale

ręka Leo jak stalowe imadło przygięła go w dół.

- Każ mu, żeby przestał - warknął, popierając swą prośbę trójkątnym ostrzem gladiola. - Natychmiast! -
Był tylko lekko ogłuszony. Pocisk wprawdzie nie przebił kuloodpornego chitonu, ale odebrał na dobrą chwilę dech.

- Przerwać ogień, nie strzelać - zawołał Ruffo. Aulus usłuchał. Nie miał wielkiego wyboru.

Tymczasem Cedrus klęczał nad bezwładnym ciałem Marka nakrytym navigatorską pallą.

- On jeszcze żyje, on jeszcze żyje - powtarzał. - Gdzie salvatorianie? Traci mnóstwo krwi. Mogą wziąć moją. Mamy identyczny rodzaj...

Na rozgwieżdżonym niebie pojawiły się już stalowe wiroplaty ludzi Druzzusa.

W przedinauguracyjną noc w dwóch tysiącach domów na całym Archipelagu, których mieszkańcy fetowali sukces Błękitnych i rychły awans, dokładnie z uderzeniem primy zjawili się nieoczekiwani goście.

Przeważnie byli to dwaj mężczyźni odziani po cywilnemu. Pokazywali odznaki FOI i prosili o chwilę rozmowy. Reakcje były różne, od drwiącej nonszalancji do furii. Jednak po każdej rozmowie niedoszli prominenci wyglądali jak panienki po spotkaniu z upiorem. Paruset upiło się tej nocy, kilkudziesięciu

popelniło samobójstwo, dziesiątka przepadła gdzieś bez wieści. Ale wszyscy, którzy przeżyli, jak jeden mąż oznajmili, że rezygnują z kariery politycznej, nie przyjmują nominacji, idą na emeryturę, postanawiają się leczyć... Nie było rzezi ani masowych zatrzymań. W Federacji wobec zdemaskowanych szpiegów stosowano subtelne środki polityczne. Agenci zostali odkryci, wciągnięci do kartotek, a tym samym "rozbrojeni". Mogli być pewni dyskretnej kontroli do końca życia, bez żadnych szans na awans. Tylko nieliczni wyrazili ochotę powrotu do Ekumeny.

XVII INAUGURACJA

Jedyny mówi głosem ludu
głosem dwudziestu jeden wysp
więc wybór jest
spełnieniem cudu
splotem stu dążeń w jedną myśl...
Śpiewa tak cała Florentyna, przy dźwiękach
połączonych orchestr salvatoriańskich. Ogromne,
ozdobione kwiatami rotony suną wolno Wielką Itinerą.
Na platformach roześmiane dziewczyny ze wszystkich
prowincji odgrywają "żywe obrazy z historii
Archipelagu", tańcząc regionalne tańce przy dźwiękach
lir, fletni, drumli, aulusów, piszczałek, kithar i harf.

Oto nadciąga kołysząca się jak suknia na obręczach
"Barka Westalek", pełna dziewczątek różowych jak
poranny świt, wypuszczających w pogodne niebo białe
avozaury, za Barką suną w Pieczarze na Kólkach

"Babki Założycielki" z Ultimy z pierwszym
udomowionym stekowcem. Dalej pędzą
jedenastowieczni rycerze na rudych hipposaurach,
rywalizujący ze współczesnymi jeźdźcami na latających
jednośladach. Nim oko zdąży to zarejestrować, już od
strony placu Ludu nadciągają obrotowe giptejony i
przypominające jeże nośniki naszpikowane znakami
wszystkich legionów.

Przy skrzyżowaniu z Aleją Girlandów tłum staje się
gęstszy od ziaren w ogromnym orelskim słoneczniku.
Dia wraz z Gurusem przeciskają się pod ścianami,
kierują w stronę Trybuny C, na którą wejściówki
otrzymali artyści, naukowcy i ich rodziny. Herrianka
jest wściekła. Wydarzenia ostatnich dni udaremniły jej
udział w próbach - nie zagra więc roli małej westalki, a
podczas następnej inauguracji będzie za stara.

Denerwuje ją brak Leontiasa, który jak znikł koło
południa, dotąd nie powrócił. Gurus też zachowuje się
głupio, choć ledwie żywy uparł się, by zamiast oglądać
ceremonię z okna gošnicy obok Panteonu przedzierać

się przez połowę trasy. Na dodatek młody Wened jest
dziwnie milczący, pochłania go najwyraźniej jakiś
skomplikowany problem. A może jest obrażony? Dii
przypomina się noc spędzona w ramionach Leo i
jeszcze czuje rozkoszny dreszcz. Na rogu Promenady
Matron vigilianci na parę pacierzy zatrzymują ruch
przepuszczając kolumnę sportowców. Maszerują
mocarni, piękni, półnaczy, w przezroczystrych
himationach, bohaterowie igrzysk za życia ubóstwiani,
po śmierci nagradzani posągami w portykach zasług.

- Nad czym myślisz? - pyta Dia chłopaka.

- Coś mi tu nie pasuje. To wszystko nie tak.

- Co nie tak? Leo opowiedział ci przecież o
zdemaskowaniu Ruffixa, o zatrzymaniu zabójcy
Narensa, o ekumeńskim spisku. Wszystko jest jasne!

- Nic nie jest jasne. Posłuchaj. Ruffix kazał zabić
Narensa, bo myślał, że wie o spisku. Ale było to tylko
przypuszczenie. Nadal nie wiemy, o co naprawdę
chodziło temu trynitytyście. Poza tym łatwo zauważyć,
że w całej sprawie działała jeszcze inna struktura. Ktoś
zabił tego najemnika w więzieniu, starego więźnia,
klawisza Ogniopióra. Ruffix upierał się, że to nie jego
sprawka. I trzeba mu wierzyć. Odpowiada za tyle
zbrodni, że przyznanie się do jednej więcej nie

sprawiałoby różnicy.

- Leo na pewno zna odpowiedź.

- Czy przypadkiem nie przesadzasz ze ślełą wiarą w jego intelekt? To wojownik, świetnie zabija, zwycięża i chędoży, ale co do myślenia...

- Puścili ruch - przerywa mu oburzona Herrianka. -

Idziemy!

Muzyka dochodzi do potężnego crescendo. Dlaczego jeszcze nie spotkali Leontiasa? Dia dochodzi do środka promenady. I nagle przelatuje ją dziwny skurcz strachu. Nic nie uzasadnia lęku. A jednak. Rozgląda się dookoła. Same radosne twarze. Widzi jednak, że Gurus również przystanął. Uniósł piegowatą twarz ku dachom, wśród sterczyn i monumentów rozpoznaje sylwetki sekurytów Druzzusa, przemieszane z pretorianami FOI. Jeszcze wyżej czuwa wirowiec sił specjalnych. Wszystko pod kontrolą. Nawet jej bukciek hermionów, który zamierza rzucić Cedrusowi, trzykroć sprawdzali vigillianci, pretorianie i straż fakcyjna.

W perspektywie Itinery gęstnieje las sztandarów i feretronów.

- Cedrus! Cedrus! - skanduje tłum.

Gurus nadal rozgląda się po domach. Widzi tłumy

**dzieci na pergulach i menianach, okna wypełnione
przez promenerów i servitów. Obok insul
mieszkalnych, na koronie ośmiopiętrowego
mercatorium przysyłając ślepe glify i zamurwane
okienka strychowe pyszni się ogromny transparent:**

**"Niech ci fortuna sprzyja, Cedrusie!" Niżej pulsuje wielki świetlon reklamujący dom handlowy
JANUS.**

Janus...?!

**Cichy brzęczyk. Wykonawca obudził się. Otaczał go
kompletny mrok. Podświetlił chronometr, nona 45.**

**Uśmiech przemknął po wąskich wargach. Wziął
pastylkę stymulu. Ani ciasnota pomieszczenia, ani
panujący zaduch (ekipa zamurująca go przed
trzema dniami zostawiła tylko maleńki otwór
wentylacyjny) nie robiły na nim wrażenia. Kryjówkę
skonstruowano tak chytrze, że jego istnienie mogłoby
zostać wykryte dopiero po dokładnych pomiarach
strychu lub przez zburzenie ścian działowych. Jeszcze
raz sprawdził broń, długi celmierz z optykalem,
arcydzieło sztuki rusznikarskiej. Skontrolował
miętkość spustu. Załadował jeden wielkokalibrowy
nabój. Nigdy nie potrzebował dwóch. Uruchomił
fonion. Mikroodbiornik umieszczony w uchu zaczął
przekazywać transmisję z ceremonii.**

Gurus ze zdenerwowania stracił zwykłą swadę i precyzję wypowiedzi. Dwa razy musiał opowiadać o swych podejrzaniach napotkanemu vigilantowi. Ten przekazał chłopaka pretorianinowi w cywilu. Agent FOI wysłuchał go znacznie uważniej, nie dał poznać, czy uważa go za szaleńca czy proroka, zaproponował natomiast, żeby Gurus powtórzył wszystko pierwszemu zastępcy samego Marcellisa. Wybrał numer jego osobistego fonikonu.

- Czcigodny, mam tu chłopaka, który twierdzi, że pod mercatorium Janusa może być zorganizowana zasadzka na "Ofiarnika".

- Dawaj mi go.

Gurus jeszcze raz opowiedział o swych o podejrzaniach. O Narensie, o facecie z więzienia. O jego ostatnich słowach.

- Czy mogę porozmawiać z twoim opiekunem, chłopcze, - spytał niski głos po wysłuchaniu zdyszanych wynurzeń.

- Nie ma go tutaj. Ale ja się boję... Navigator za chwilę będzie przejeżdżał przed mercatorium.

- Nie martw się, chłopcze, zdążymy sprawdzić gmach od piwnic po strychy. Ty zaś zgłoś się zaraz do najbliższego stanowiska FOI. Dostaniesz nagrodę za

obywatelską postawę. Pretor Noniusz cię zaprowadzi,

daj mi go do aparatu.

Gurus pokraśniał z dumy. Oddając fonikon odruchowo

popatrzył na wyświetlony numer. 679-22-354...

"Wykonawca" odczekał jeszcze chwilę i zbliżył się do frontowej ściany. Wyjęcie obluzowanych wcześniej

cegieł nie sprawiło mu żadnego wysiłku. Teraz od

Itinery dzieliło go jedynie pół cala porowatego tynku.

Wcześniej sprawdził, że okruchy spadną najwyżej do

rynny biegnącej skrajem nad gzymsem. Snop

dziennego światła wpadł do kryjówki, oświetlając

wielkiego pająka, który szybko znikł w cieniu.

Transparent "Niech ci fortuna sprzyja, Cedrusie!"

doskonale maskował otwór. Zawodowiec wysunął

celmierz, na końcu lufy umieścił kropelkę kwasu.

Czekał.

Dwadzieścia jeden pocztów poprzedzało rydwan

Cedrusa ciągniony przez cztery mlecznobiałe

hippozaury. Wokół rydwanu na elektrowrotkach

sunęła dziesiątka najlepszych ludzi Druzzusa. Ich szef

w zbroi centuriona unosił się bezpośrednio przed

zaprzęgiem na latającym jednoślądzie

przypominającym morskiego konika. Rydwanem

powoził osobiście nowy Navigator. Dzięki panovidom

ustawionym wzdłuż Itinerary wszyscy mogli śledzić całą trasę Quintusa. W czerwonej todze, z głową ozdobioną prostym wieńcem z wawrzynu, jedną ręką trzymał lejce, a drugą pozdrawiał tłumy. Jego twarz pojawiająca się co chwila na panoramach była piękna, acz dziwnie nieruchoma, spięta. Emocje? Niepokój? Przeczucia?

Potem obraz się zmieniał, pokazywano bowiem kroczącego elefantozaura, na którego grzbiecie wśród kwiatów i winnych gron siedziała Octavia w białej kobiecej todze ozdobionej złotymi liśćmi akantu.

Uśmiechnięta i piękna jak sama bogini Flora, która w dobie chrześcijaństwa jako św. Flora patronowała ogrodnikom podczas święta plonów. Czemu jednak nie towarzyszyła mężowi podtrzymując obok niego trójząb Neptuna? Na to odstępstwo od rytuału wskazywali wszyscy sprawozdawcy dopatrując się w tym fakcie poparcia ruchów emancypacji kobiet.

Rydwan zbliżył się do fontanny Rusalek, oblepionej przez prymusów stołecznych gimnazjonów. Radosna wrzawa na moment zagłuszyła rozstawione wokół trasy orchestry.

Hippozaury drobnym truchtem przeszły pod łukiem Garmanusza i zagłębiły się w dużo węższy odcinek

Itinery obramowany przez trzynastowieczne insule. Z okien i perguli sywał się nieustający deszcz kwiatów i pachnących astrinetek.

- Ave, Cedrus! Ave, Cedrus!

Gurus ociekał potem i co chwila się odwracał podążając za torującym mu drogę pretorianinem. W oknach mercatorium Janusa nie widział najmniejszego ruchu. Nie wkroczyli tam żadni pretorianie. Cały czas zastanawiał się, skąd zna numer fonikonu zastępcy szefa FOI.

- Pośpiesz się, grubasku - funkcjonariusz szarpnął go za rękaw.

679-22-354...? Naraz przypomniało mu się. Pod ten numer dzwonił Ogniopiór z fonokubika!!! O Jedyny! Tuż obok nich jakiś fanatyczny wielbiciel Błękitnych przeraźliwie zadał w róg.

Pretorianin puścił rękaw chłopaka, a ten jak pies urwany z łańcucha rzucił się z powrotem.

- Stój, szczeniaku - wrzasnął funkcjonariusz. Mógł sobie wołać. Z szybkością, o jaką nikt by go nie posądził, Gurus wyprysnął na pustawą jezdnię i popędził na spotkanie rydwanu. Pretorianin sapiąc wściekle biegł za nim, wzywając, by się zatrzymał.

Vigilanci pilnujący ruchu tradycyjnie niechętni FOI

nie zamierzali mu pomagać.

Mimo to po przebiegnięciu stu stóp Gurus spuchł,

Noniusz go dopędzał. I naraz z tłumu wysunęła się

szczupła nóżka. Funkcjonariusz potknął się i runął na

bruk.

Dia pociągnęła Gurusa w stronę trybuny.

- To wszystko spisek, oni są w zмовie, gdzie Leo...?

Trzeba ostrzec... - dyszał grubasek.

Po pokonaniu niewielkiego pagórka Apostołów Itinera

zakręcała. Powożący rydwanem widział już zamykającą

perspektywę Białą Bazylikę o Stu Schodach, na których

wzniesiono Ołtarz Zaprzysiężenia. Na panovidach

pojawiła się co i rusz rozłożona księga i dobrotliwa

twarz sędziwego archipatriarchy.

Strzelec zdjął kubrak i złożył go starannie w kostkę na

pokrywie wiadra od trzech dni zastępującego latrynę.

Lubił porządek. Potem zbliżył czubek lufy do tkaniny.

Kwas błyskawicznie wypalił otworek w transparencie

w środku litery E.

Dla obserwatora mogło to wyglądać, jakby jakiś

avozaur narobił.

Sprawozdawca, mocno już zachrypnięty, recytował

optymistyczne prognozy dla nowej navigatury.

Przypominał również najświeższe wiadomości z

Ekumeny, gdzie zamieszki w Dolnej Akropolii zmieniły się w prawdziwą rewoltę.

Zawodowiec niczym pianista przebierał palcami.

Potem pochylił się nad celmierzem.

Rydwan minął przepyszną kolumnadę hostelu

Pompejańskiego. Cedrus pozdrowił sporą rzeszę recepcjonistów i chłopców hostelowych tworzących amarantową wyspę na trotuarze.

Gadorumaki przyśpieszyły. Minęły wciśniętą między siedzibę koncernu medialnego a Theatrum Arleatum kaplicę Bożej Przeworności, nie zatrzymał ich też wspierany przez cztery tłuste kariatydy szeroki tympanon Banku Federacyjnego. Na prawo załśniły witryny Forum Witruwiusza, na lewo pojawił się kanciasty "Dom Janusa".

- Ave, Cedrus! Ave, Cedrus!

Na panovidzie znów szeroka perspektywa, najazd na grupę półnagich łowców equatoriańskich w naszymi naszyjnikach z zębów tigrozaurów.

- Czymże jednak są największe nawet gady wobec potęgi naszej demokracji! - woła spiker.

Dia i Gurus w tłumie usiłują ściągnąć wzrokiem lecącego Druzzusa. O Jedyny! I naraz wyrasta obok nich Noniusz, jego czerwona twarz przypomina maskę

diabła.

**- Nie warto było uciekać - syczy. I zgina się we dwoje
powalony lekkim ruchem muskularnej ręki.**

**- Leo! - woła Dia. Gurus nie pozwala jej na czułości -
"Janus" - krzyczy wskazując mercatorium - spisek,
zamach... - zadziera głowę do góry i zauważa ciemną
plamę wewnątrz litery E. - Tam, tam.**

**Rydwan jest już naprzeciw nich. Navigator unosi rękę
pozdrowiając tłum.**

**Gurus rzuca się w jego stronę. - Padnij! - woła. Ale
wiewaty zagłuszają wszystko.**

**Dia patrzy na Sclavusa. Słowianin przytrzymujący
rozhisteryzowanego chłopaka wydaje się nieobecny.**

Nic nie robi.

**W pierwszej chwili nikt nie usłyszał strzału. Tym, co
stali najbliżej, zdało się, że poniosły hippozaury.**

**Navigator zachwiał się. Na panovidzie natychmiast
pojawiła się jego postać. Wszyscy mogli zobaczyć
wielką czerwoną różę wykwitającą na jego piersi.**

**Krótki krzyk wydiera się z tysięcy gardel, a potem na
moment tłumy cichną jak złapane za gardło. "Konik"**

**Druzzusa opada na ziemię. Sekuryci tworzą żywy mur
wokół rydwanu. Panovidy gasną. Rozlega się wycie
viviarek salvatoriańskich. Drugiego strzału nie ma.**

Tłum stoi niemy. Wielu płacze.

- Dlaczego, dlaczego nie uratowałeś go? - Gurus wlepia oskarżający wzrok w smutną twarz Leontiasa.

Ustępujący prefectissimus ściszył obraźnik. Właśnie podano, że Quintus Cedrus zmarł nie odzyskawszy przytomności w salvatoriańskim wirowcu mimo rozpaczliwych wysiłków lekarzy. Marcellis nalał kieliszek wzmocnionej winissy. Zadzwoił prywatny fonikon. Uniósł słuchawkę.

- Nie, to nie galeria, pomyłka! - rzekł zgodnie z umówionym hasłem. Zatarł ręce. Jeszcze przez chwilę obserwował chaos panujący na ulicy. Za kwadrans w atrium obok miał spotkać się ze swym sztabem.

Spodziewał się również wizyty Longinusa. Cicho otworzyły się drzwi od terasy.

- Kto, u diabła, cię tu wpuścił?

Przybysz, potężne chłopisko, trzymał w ręku odbezpieczonego króciaka, a jego twarz nie ujawniała najmniejszej skłonności do żartów.

- Kim jesteś, do licha? - powtórzył Marcellis. - Nie próbuj mnie straszyć, bo nie wyjdiesz stąd żywy.

- "Kto wszedł, ten wyjdzie", powiada Pismo - odparł przybysz. - A przybyłem tu, aby podziękować. Bardzo nam pan pomógł, prefectissimusi.

- Ja?

- Nie muszę tłumaczyć fachowcowi, że zarejestrowane połączenie foniczne stanowi niezły dowód... Zwłaszcza gdy rozmówcą jest rezydent wandalijskiego wywiadu, dla którego pracuje pan od dawna.

- To, to są jakieś podle insynuacje! - cała krew odpłynęła z twarzy Marcellisa. - Zaraz, zaraz. Czy ty nie jesteś ten... no... Leontias?

- Zgadza się.

- Niepokonany Słowianin! - Prefectissimus odprężył się. - Rozumiem, że upatrzyłeś sobie mnie jako nagrodę pocieszenia? Bo co tu ukrywać, osiągnięcia masz kiepskie. Wódz nie żyje, zleceniodawca w szpitalu. W obecnej sytuacji to raczej ja mogę ci stawiać warunki, ba, gotów jestem nawet zapewnić interesującą pracę. Sądzę, że Kasjusz Longinus po objęciu navigatury pozostawi mnie na stanowisku.

- Czyżby też był człowiekiem Wandalii?

- On? - roześmiał się szef FOI. - Po co? Longinus to polityk uczciwy, ale słaby, idealny do poprowadzenia przez zdolnych doradców. Proszę odłożyć króciaka.

Porozmawiamy o twojej karierze.

- Dziękuję za ofertę. Niestety, nie przyjmę. I proszę nie liczyć na swoich współpracowników. Tam już nikt nie

został. - Podszedł do obitych gadzią skórą drzwi i otworzył je. Nie licząc wartownika w mundurze ochrony navigatorskiej nie było tam nikogo. Marcellis zbladł.

- Niczego mi nie udowodnicie.

- A musimy? Istnieje cała gama rozwiązań pośrednich.

Sądziłeś zapewne, o czcigodny, że trop ekumeński i spisek Ruffixa zajmą mnie do reszty. Zajęły i owszem, ale w wolnych chwilach szedłem drugim tropem.

Mylisz się więc sądząc, że nie rozgryzłem i waszego spisku. Znalezienie powiązań nie było takie trudne: zawodowy zabójca z Wandalii, Narens przypadkowo asystujący przy jego agonii, klawisz z ogniopiórem na twarzy...W momencie gdy ustaliłem, że dzwonił do twego zastępcy, byłem w domu. W międzyczasie zidentyfikowałem zabitego więźnia, sprawdziłem przypisywane mu zabójstwa. Sądzę, że miał kontrakt na Cedrusa i wygadał się o tym Narensowi. Nie mogliście ryzykować wpadki przed wynajęciem następnego... Więc... Właściwie brakowało mi tylko dowodu na twoją osobistą współpracę z Wandalią. Ale tego dostarczyłeś mi, prefectissimusi, przed chwilą. Jeśli się mylę, proszę prostować.

- Dlaczego więc nie udaremnileś dzisiejszego

zamachu?

- Czy wolno było mi dopuścić, by najwyższy urząd objął

Ekumeńczyk? Nawet nawrócony.

- Jesteś większym lajdakiem ode mnie! - maska

obojętności spadła z twarzy Marcellisa.

- Niech to zostanie między nami! Oczywiście, zgadzam

się z opinią, że Longinus z dobrymi doradcami może

być świetnym Navigatorem. Zwłaszcza w chwili gdy

rozpada się Ekumena, a i Wandalia dojrzewa do

reform. Postaramy się, aby ProNavigatorem został

ktoś, kto będzie go uzupełniać. Ktoś inteligentny,

lojalny...

- Kto?

- Choćby Korneliusz Gnerus. Pracowity, zdecydowany,

bardzo antywandalijski.

- A ty? Przyjdiesz na moje miejsce?

- Jestem tylko nauczycielem. Wracam do mojej

młodzieży, może się ożenię.

- A co ze mną? Zabijesz mnie? - pyta Marcellis.

- Nie, sam to zrobisz. Za pięć pacierzy przybędzie tu

centurion od Druzzusa. Proszę pomyśleć o swojej

rodzinie, o synach. Lepiej oszczędzić im

kompromitacji. Kiedyś historycy docenią twoją rolę w

rozpracowaniu agentów Ekumeny. Dane o nie

istniejącej operacji "Siatka" podrzuconej naszym

wrogom zostały spreparowane doskonale. A

ostrzegawczy fonik do Tajgenisa wpędzający greckie

imperium w wojnę domową, to pociągnięcie zaiste

genialne. Potrzebujesz właściwej kapsułki? Mogę

pożyczyć.

- Jestem przygotowany! - Ręka prefectissimusa nie

drży, gdy nalewa sobie trzeci tego dnia kieliszek

winissy. - Napijesz się, Leontiasie?

- Nie, dziękuję.

Kieruje się do wyjścia, gdy Marcellis powstał z

wysiłkiem.

- Nie jesteś ciekaw dlaczego? Jak to się stało, że

zacząłem pracować dla tych barbarzyńców, tych Huno-

Parthów udających Wandalów w rzymskich

kostiumach? Szantaż, pieniądze - to nie wyczerpuje

zagadnienia. A może miałem własną koncepcję

rozwiązania kwadratury globalnego trójkąta? Dwóch

przeciw trzeciemu... A może wierzę, że nasz libertyński

świat gnije, że wyczerpał już swoje możliwości i

przyszłość Innej wykluwa się nad Zewnętrznym

Oceanem.

- Proszę wybaczyć, ale nie interesują mnie motywy

zdrady.

**Za Słowianinem zamykają się drzwi. Oczy
perfectissimusa są zgaszone, puste. Słysząc komendy
sekurytów zajmujących kolejne skrzydła rezydencji.
W prosektorium hospicjum św. Łazarza leżą nagie
zwłoki zastrzelonego mężczyzny. Za chwilę zaufani
wizażyści przywrócą Navigatorowi wszelkie pozory
życia, uróżwią policzki, zamkną oczy. Naprawy
wymaga też peruka. Padając Navigator rozdarł ją o
krawędź rydwanu i teraz wylażą rude kędziory...**

EPILOG

**Trzy lata później podczas składania wizyty w
Niepodległej Republice Wenedów szef Oficjum
Exteriorijnego dostojny Marek Ursin zażyczył sobie,
mimo napiętego programu, dnia wolnego, w trakcie
którego chciał odwiedzić starych przyjaciół. Władze
republiki przystały na to chętnie i zapewniły pełną
dyskrecję. Przyjaźń Wenedów z Federacją stanowiła
rękojmię świeżo odzyskanej wolności. Wbrew
oczekiwaniom po wojnie domowej Ekumena, lubo
utraciła szereg ziem podbitych, nie wstąpiła na drogę
pełnej demokracji. Ani wysiłki Argona Georgiasza, ani
powrót z wygnania Eumentesa niewiele pomogły.
Zniesiony oficjalnie kult Arymana trwał po domach.
Starsi wzdychali do porządków Periandra. A większość**

mieszkańców Dolnej Akropolii po prostu odmówiła wyjścia na powierzchnię. Wszechwładzę Szarej Straży zastąpiły bractwa przestępcze, składające się często z tych samych ludzi co Arymanteja.

Ursin z dużym trudem odnalazł dom Dii i Leontiasa.

Położony w lesie na skraju Polanowa, niedaleko dawnych koszar, w których Słowianin i jego młoda małżonka prowadzili obecnie dom dla sierot. Młodzi wychowankowie rozpalili ognisko. Dia mimo zaawansowanej ciąży sięgnęła po forminę. Z miasteczka na dwukole dojechał Gurus. Ursin ledwie go poznał. Piegus wyrósł, zeszcupłał i zmienił oprawkę okularów. Był teraz bardzo interesującym młodym intelektualistą. Nie dziw, że niejedna ze starszych uczennic wodziła za nim zakochanym wzrokiem.

Dia trąca struny. Tańczą płomienie, a żywiczny zapach płonących szpilek niesie się aż ku odbudowanej kapliczce Madonny. Co jakiś czas z położonych niżej sadów dolatują odgłosy spadających dojrzałych owoców.

Tego wieczoru nie rozmawiają o polityce, w dyskusji wraca znów sprawa Transferu i nieodgadnionych zamiarów Jedynego.

- Jeśli Stwórca chciał, by Inna była inną, czemu dopuścił do odrodzenia nieprawości, do ekspansji zła?

- pyta Ursin.

- Sądzę, że zło jest po prostu szczególnym przypadkiem

braku dobra - przekonuje Gurus. - Moc, która

przeniosła naszych przodków na drugą stronę

Mlecznej Drogi, nie zmieniła zasad rządzących

wszechświatem. Nie odebrała ludziom wolnej woli, bo

tylko ona, podobnie jak śmierć, nadaje sens życiu i

człowieczeństwu. Bez tego byłibyśmy tylko

doskonałymi cyborgami. Nasze rozdarcie i

jednorazowość sprawia, że egzystencja posiada

wartość bezgraniczną.

Ursin kiwa głową. Sam otarł się o śmierć, stracił

najbliższych. Po tragedii na Wielkiej Itinerze miał

nadzieję, że on i Octavia... Wdowa po Navigatorze

odwiedzała go w lazarecie prawie codziennie. Ale

gdzieś po miesiącu, gdy kryzys minął, przestała. Kiedy

opuścił lecznicę, daremnie szukał jej śladów.

- Wyjechała - odpowiedzieli znajomi.

- Nie zostawiła nam adresu - twierdziła rodzina.

Nawet prefectissimus Druzzus bezradnie rozkładał

ręce.

- Zniknęła.

Kiedy Gurus kończy swój wywód, Leontias podchodzi do Ursina.

- Dziś noc cudów - mówi. - Czy masz, Marku, jakieś szalone życzenie, które uważasz, że jest nie do spełnienia?

- Jest wiele rzeczy, wiele słów, które tak chciałbym powiedzieć Octavii i Cedrusowi.

- Zatem powiedz nam - rozlega się znajomy głos. Ursin zaczyna dygotać, a do ogniska podchodzi dwójka pospolicie ubranych ludzi.

- Moi najlepsi pracownicy - przedstawia Sclavus. - Ale, chyba się znacie.

Szloch wstrząsa drobnym dygnitarzem, gdy rzuca się w ramiona Cedrusa. - Ty żyjesz, ty żyjesz?!

- Podziękuj Leontiasowi. Tamtej nocy, gdyś leżał bez życia, opowiedział mi o spisku wandalijskim i zaproponował zamianę ról. Przekonał mnie, że moje ekumeńskie pochodzenie wyszłoby kiedyś na jaw. Tak mogłem odejść w chwale. Ruffix ucharakteryzowany na mnie miał przejechać Wielką Itinerą. Gdyby nie doszło do zamachu, zamienilibyśmy się rolami znów w bazylice.

- I Ruffo to zaakceptował?

- Potraktował to jak jedyną szansę. Zamiana nie była

trudna. Sylwetkami byliśmy podobni. Moją maskę
plastyczną już wcześniej Druzzus znalazł w jego sejfie.

Ruffo nie powiedział nam, po co jej potrzebował.

Można się tylko domyślać, że jego ekumeńscy
mocodawcy przewidywali różne warianty. Electorius
odegrał swoją rolę do końca. Zaimponował mi swoją
determinacją. Odmówił włożenia kuloodpornego
chitonu. Zresztą przy kalibrze pocisku z celmierza nie
miałoby to większego znaczenia. Umarł za mnie. A ja
mogłem zostać prywatnym człowiekiem. Wrócić na
kontynent, z którego pochodzę. Nie uwierzysz,
urodziłem się 25 mill stąd.

- Ale twoje ambicje... Twoje talenty?

- Bez przesady. Nie każdy musi być Navigatorem. Czy
wiesz, jak wspaniale jest pracować z tymi dziećmi?

Cieszyć się ich szansami, zwracać im dzieciństwo,
leczyć psychiczne rany? A poza tym mam Octavię...

- Chyba mnie rozumiesz, Marku... - szepce niedoszła
pierwsza matrona. - Musiałam... gdzie Cajus, tam Caja.

Ogień strzela wysoko. Snopy iskier lecą w górę, jak
gdyby chciały się upodobnić do gwiazd, wtopić w

bezkres wiecznego nieba, gdzieś w poszukiwaniu

Starej Ziemi. Co prawda w postępowych kołach na

Florentynie szerzy się opinia, że nigdy nie było żadnej

Starej Ziemi, Transfer jest wymysłem bazarzy i kapłanów, a ludzie mieszkający na Innej od niepamiętnych czasów pochodzą w istocie od stekowców.

Ale to - jak powiada Gurus - jest materiałem na całkiem inne małe opowiadanie.

1988-1999

KONIEC

Dwanaście lat później

**Całe życie chciałem napisać tę powieść. Baśń o upadku
komunizmu i Imperium Zła.**

Wielokrotnie w latach sześćdziesiątych -

**osiemdziesiątych zastanawiałem się, jak to się
odbędzie i czy wolności dożyję. Zachodni politolodzy
prognozowali nieuniknioną wojnę - ograniczony
konflikt nuklearny, starcie z Chinami i dopiero potem,
ewentualnie... Zajdel wizjonersko przewidział siłę
sprawczą korozji. Lem święto, w którym spadną maski.
Cóż z tego, w 1980 maski pospadały, a potem znów je
przyspawano.**

Moja prywatna wersja zakładała silne tarcia wewnątrz

rządzącej elity - równoczesną elekcję dwóch

Pierwszych Sekretarzy, może też zbrojny konflikt

między Armią i Bezpieką. Nie przypuszczałem, że

Imperium rozpadnie się samo, w chwili kiedy ostatni

czerwony car spróbuje zacząć nieśmiało reformy. Ani

że pucz bolszewickich Tajgenisów potrwa wszystkiego

3 dni.

"Kwadraturę trójkąta" zacząłem pisać w 1988 roku,

skończyłem przed "okrągłym stołem". Po napisaniu książka leżakowała parę lat. Padały kolejne zainteresowane nią wydawnictwa, wycofywano się z umów. Później nowe tematy i nowe pomysły (także możliwość pisania i drukowania bez żadnych mylących cenzurę kamuflaży) sprawiły, że straciłem ją z oczu. Z ostatniego z wydawnictw upadłych dostałem dyskietkę, którą przerzuciłem na twardy dysk i zapomniałem.

Gdy przy końcu 1999 roku Maciej Parowski pytał, czy nie mam czegoś większego do druku, w pierwszej chwili powiedziałem, że nie. Zaraz jednak przypomniałem sobie o znalezisku podczas porządkowania komputera.

Wydrukowałem tekst (po drodze zgubiły się polskie litery) i zacząłem się zastanawiać, co z nim zrobić. Zdeszyfrować aluzje, przenieść akcję do naszego świata i zamienić fantastyczną opowieść na historię senatora z Arkansas podstawionego przez KGB do Białego Domu...? Oparłem się pokusie. Dokonując drobnych korekt stylistycznych pozostawiłem "Kwadraturę" w starych dekoracjach. Przecież w ciągu 12 lat i świat dobra jakoś nam spisał i spowszedniał, zaś imperium zła też nie do końca zdechło. Może antybaśnie nie muszą umierać, nawet jeśli tworzą je w ostatnim

**roku zniewolenia? Żyjąc w rzeczywistości telenowel,
sitkomów i talk showów warto chyba uciec czasem na
drugą stronę Mlecznej Drogi, nawet jeśli jest tam
prawie tak samo jak tu?**

Marcin Wolski

+słowniczek+

**W wyniku wielowiekowego odosobnienia Innej
ewolucja języka, mimo greckorzymskiej podstawy,
przyniosła duże zmiany w stosunku do antycznych
wzorów. Dlatego też słowniczek pomoże w pełniejszym
zrozumieniu tekstu. Wenedyjskie odpowiedniki
wyrazów greckich i łacińskich są przytoczone w wersji
słowiańskiej, dopasowane do współczesnej
polszczyzny, np. nie zmgłk, lecz zamglik (jeden z
jesiennych miesięcy)**

SŁOWNICZEK

**afegasta - funkcjonariusz zmotoryzowanej rezerwy
straży wewnętrzzkorytarzowej w podziemnej Dolnej
Akropolii. Afegaści poruszali się na wrotkach i byli
używani do pacyfikowania wszelkich przejawów buntu.**

Również strażnik pogranicza

agricola - farmer, agricolia - farma

albana - bluzka, koszulka kobieca

ambrozion - smakolyk ekumeński

androzaury - inteligentne gady latające, pierwotni

włodarze Innej

antykwitaci i voluminiści - sprzedawcy książek i

handlarze starociami

Arbitriat - Trzecia Kontrolna Izba Parlamentu

Federacji Archipelagiańskiej

archont - tytularny członek najwyższych władz

Ekumeny, a zarazem jeden z kapłanów Arymana

armiony - rodzaj wonnych kwiatów

charakterystycznych dla Florentyny; podobnie jak

heliony, rosynie

Arymanteja - pełna nazwa: Zjednoczona Arymanteja

Robotniczo-Chłopska - monopartia czcicieli szatana

as - drobna moneta metalowa na Archipelagu

astrinetki - małe wirujące gwiazdki (confetti)

augurzy - niżsi kapłani świątyni Arymana, zarazem

funkcjonariusze Szarej Straży

aureus - dawna złota, ciężka moneta a Archipelagu,

odpowiadająca n 0,5 ekumeńskiego talenta. Aktualnie

używana jedynie jako jednostka obliczeniowa w

eleganckich transakcjach, podobnie jak w Anglii

gwinea

auriga - reprezentacyjny szofer, potocznie zawodowy

kierowca

autodansbuda - lokal służący bezgotówkowej wymianie

usług seksualnych

autorydwan - pędnik zdobny, którego pasażer

(pasażerowie) poruszają się w pozycji pionowej

avion, hydravion - powietrzne pojazdy pasażerskie

avozaur - latający gad, najmniejsze avozurki miały

wielkość gołębia; inne znane gady: tigozaur,

elefentozur czy hippozaur (używany jako zwierzę

pociągowe)

balisty - rakiety międzykontynentalne

Bardosa skala temperatury - stosowana od XIV w.,

temperatura wrzenia 1000 stopni, marznięcia 0

basileus - w Ekumenie król lub dożywotni wódz

dysponujący również władzą religijną

bożydar - trzynasty miesiąc (święteczny) na Innej

według terminologii słowiańskiej (inne: śniegul,

zmieniec, siejbak, zamglik, żeniec, owocniak)

bullla - uroczyste pismo dyplomatyczne

campanilla - początkowo dzwonnica, później wieża i

wieżowiec

caldarium, frigidarium, sudarium - gorące, zimne i

wypoczynkowe pomieszczenia w termach

carcer - areszt

casetta - apartament, mieszkanie

caupona - zajazd, tanie hostellum z popiną

caverna - piwnica (latynizm przyjęty przez Greków) -

izba mieszkalna wyrębana w skale, w niższych

poziomach mieszkalnych dolnych miast

celmierz (zwykle z optykalem) - broń strzelca

wyborowego

cenacula - wielofunkcyjna izba mieszkalna

chiton - koszulobluzka używana przez biedniejsze

warstwy Ekumeny; również koszulka kuloodporna

chlamida - szata wierzchnia, tylko z nazwy

przypominająca strój antyczny

cingulum - pas, pasek

cognomiak - przezwisko, ksywa

complementarka - rodzaj wielofunkcyjnej pomocy

biurowej będącej zarazem damą do towarzystwa.

Warto tu wspomnieć o specyfice obyczajowej Innej, na

której przykazanie "nie cudzołóż" dotyczy wyłącznie wierności małżeńskiej, zresztą przysięga ta może być

łamana za obopólną zgodą małżonków

consulantor - sekretarz, doradca

correspondansi, mediaferranci - dziennikarze,

reporterzy

corridor - korytarz wewnątrz budynku

cubiculum - apartament hostelowy, również wynajęty

lokal mieszkalny

curatrona - pielęgniarka

delator - płatny donosiciel w Ekumenie

demos - lud, Zgromadzenie Demosu, fasadowa izba

ludowa w Ekumenie wylaniana przez losowanie

(oczywiście bez żadnego elementu przypadkowego)

deviantissimusi, fabulanci - chorzy umysłowo, często

na tle politycznym

diecezje - samodzielne, składowe części Federacji

Archipelagiańskiej, wyspy lub grupy wysp (Zefiria,

Orelia, Equatoria, Istria, Nowa Istria, Superiora,

Minoryty itp.)

dionision, appolion, galeriettkka, olimpion, raketka,

dianka itp. - marki pędników, drogowych środków

komunikacyjnych

dormitorium - sypialnia

drakonia - drzewo smocze, rodzaj rośliny o grubym

pniu i płomykowatych listkogałkach

dwukół - pojazd niezwykle podobny do roweru

edylat - niższy, od dawna czysto tytularny urząd

państwowy w Federacji

efet - (efeci, tesmoteci) - obrońcy i sędziowie w

Ekumenie. W istocie bierne narzędzia reżimu

eforia - Szara Straż, tajna policja Arymana kierowana

przez eforów

electorius - członek sztabu wyborczego, lobbysta

extraordynariat - eufemistyczna nazwa służb

specjalnych

fakcje - partie polityczne wywodzące się ze

starożytnych bractw sportowych przypisane zarazem

tradycyjnie określonym grupom kibiców ze stadionów i

hippodromów, o ogromnym poczuciu wspólnoty

("Niebiescy", "Pomarańczowi")

fakcjony - lokale partyjne, często łączone z termami

falangierki - członkinie ochrony osobistej hierarchów

ekumeńskich

Federacyjne Oficjum Inwigilacyjne (FOI) - Służba

Bezpieczeństwa i Ochrony Federacji, również o

uprawnieniach kontrwywiadowczych

Florentyna - miasto położone na Florentynie, w

meandrach rzeki Zielonej; stolica Federacji

Archipelagiańskiej

floria - florentynka, silny napój stymulujący,

produkowany z kwiatów

fluviary - drogi na tarasach nadrzecznych

fonik, fonikon (sam aparat) - środek łączności

dźwiękowej. Składał się zazwyczaj z mównika i słuszka.

fonokubik = budka telefoniczna

fonopędnik = radiotaxi

forminga - instrument strunowy z elektronicznym

wspomaganiem, ale o dźwięku łagodnym

gimnazjon - szkoła średnia o zindywidualizowanym

trybie nauczania, polegającym na stałym i

bezpośrednim kontakcie uczniów z pedagogami

ginna - średnio mocny narkotyk przeznaczony do żucia

giptejony - platformy obrotowe z rzeźbami i żywymi

piramidami z ludzi

gluszczyk - mały, domowy stekowiec wielkości świnki

morskiej

herculion - pędnik ciężarowy

heruspicy - zawodowi przepowiadacze przyszłości

heterarka - skrzyżowanie sekretarki z damą do

towarzystwa w Ekumenie; por. complementarka w

Federacji

hierarcha - nieoficjalna nazwa członków kierownictwa

Arymantei

himation - rodzaj płaszczka

hiperiozaur (imperiozaur) - największy, już wymarły

gad z Innej

hoplici - żołnierze sił specjalnych w Ekumenie

hora - krótsza doba na Innej składała się z 10 hor

(prima, sekunda, tercja...)

hostel (gostnica), hostellum - dom noclegowy

hulajdeski - płaskie pojazdy wykonywane domowym sposobem

impluvium - basen, najczęściej odkryty

insula - kamienica wielorodzinna

itineraria - piesza promenada, aleja

iudex elementaris - sędzia wstępny

Koine - wspólnota (w przenośni stara Ziemia)

komicje wyborcze - pośrednie zebranie elektorów w

diecezjach Federacji, wylaniane przez określone

warstwy (tribus) społeczne, z zachowaniem zasady, że

w zależności od poziomu wykształcenia i rangi

społecznej wyborcy dysponują w głosowaniu od

jednego do pięciu głosami. Ongiś rodowe, później

człowiek, wreszcie terytorialne

króciak - ręczna, pneumatyczna broń osobista

Kuria Maxima - Senat. Wyższa Izba Ciała

Ustawodawczego Federacji. Kurie - nazwa rad

wszelkiego szczebla

lavatornia - łazienka

lazaretum - szpital

legatura - poselstwo, ambasada

libratorka - w hierarchii biurowej wyższy stopień od

complementarki, charakteryzujący się większym

zakresem samodzielności. Pożądane wyższe

wykształcenie

librettka - panienka do towarzystwa

luposkop - przyrząd optyczny

luxpednik - ekskluzywny nośnik bezspalinowy do

poruszania się w podziemnych korytarzach

ekumeńskich miast

macellum - targ, bazar

mandorla - owalna plakieta indentyfikacyjna w

Ekumenie

mapmensa - na statku stół do map lub ekran

nawigacyjny

mecharyksza - pojazd Akropolijczyków domowej

konstrukcji; symbol biedy i tandety

meniany, pergule - rodzaje balkonów, loggii i krytych

tarasów charakterystyczne dla architektury ciepłych

wysp Archipelagu

menscompter (myślak, zlicznik) - pospolite określenie

maszyn liczących różnych generacji

mercatorium - duży dom handlowy w Archipelagu

mercurs - akwizytor, komiwojazer

milla - tysiąc skoków, miara długości (około 2000

metrów) równa sześciu ekumeńskim stadionom i

czterem tysiącom stóp

miłośnienie - dokonywanie aktu seksualnego

moluscolog - specjalista od mięczaków

multin - odmiana niedużego repetera,

samopowtarzalnej broni automatycznej, często na

zatrute pociski igłowe

napar - gorący napój z kwiatów (armionów), lekko

narkotyzowany

nerita - brunetka , bionka - blondynka

nomy - administracyjne okręgi w Ekumenie,

kierowane przez nomarchę (część składowa satrapii)

nul - zero, na Innej oznaczane jako gwiazdka

obol - najniższa moneta w Ekumenie; najwyższa -

talent

obraźnik, wizyjnik - urzędnicy odbierające obraz i

dźwięk

odos - w Ekumenie droga bądź podziemna aleja

oeconomicos - archont odpowiedzialny za gospodarkę

ekumeńską

officium - urząd, biuro

offle - popularne placki

oleandriny, teobiscusy - krzewy ozdobne

oligarchat - naukowa nazwa systemu panującego w

Ekumenie; zarazem określenie rady archontów (po

wyjściu z użycia terminu Areopag)

omnivant - uniwersalny pojazd na wszystkie okazje

orbitowiec - pojazd pasażerski na orbicie około Innej

Ormuzd i Aryman (Bóg i Szatan) - również nazwa

dwóch księżyców Innej

pacierz - 1/100 hory (godziny)

padlinogad - inna nazwa hienozaura

palestrony - kompleksy jurysdyczopenitencjarne

połączone ze szkołami retoryki i resocjalizacji

palla - płaszcz, palia - elegancki płaszcz, którego

noszenie było przywilejem i symbolem władzy

panovid - ekran panoramiczny

parochie (parafie) - gminy, najniższe jednostki

terytorialne w Archipelagu

pedagogiat (nonium) - półwyższe studia kształcenia

nauczycieli najnowszej rangi

perystyl - w rezydencjach i budowlach

reprezentacyjnych, przeszklony hall centralny z wielką

ilością światła i roślinności

piątnik - podoficer służb policyjnych (vigiliantów,

viapretorianów); oficer nosił miano centuriona

(setnika), najniższy podoficer - vicepiątnik

pontifex - jeden z tytułów SuperNavigatora

nawiązujący do rzymskiej tradycji budowniczego

mostów

popina - knajpa, lokal z wyszynkiem

prefectissimus - najwyższy zwierzchnik tajnych służb

prędkochodnik - mechaniczne ciągi komunikacji

poziomej w dolnych miastach Ekumeny

prętacz - wodna roślina, elastyczna trzcina zakończona

barwnym pióropuszem

promenerzy - turyści

ProNavigator - wiceprzewodniczący federacji.

SuperNavigator - szef państwa, tytuł wywodzący się z

epoki przejściowej. Oznaczał szefa flot paru wysp

sprzymierzonych podczas wspólnej wyprawy

puellka - dziewczyna

quatrina - ćwiartka godziny (25 pacierzy)

repeter - broń automatyczna

roton - bojowy poduszkowiec

salvatoria - pogotowie ratunkowe

sekuryci - ochroniarze, również funkcjonariusze

tajnych służb

sella - krzesło, także składane

separatorium - dawniej miejsce kontemplacji, obecnie

w każdej autodansbudzie alkowa do konsumpcji

doraźnej miłości

servici - służba

siccaro - najemny zabójca

skoki (jeden skok - sześć stóp) - stara miara długości w

Federacji

strateg - nazwa dowódców wojskowych w Ekumenie

(13 rang)

strophium (strofium) - pas podtrzymujący biust

stymulanty (stymule) - narkotyki, najczęściej

wchłaniane przez skórę za pomocą wcierania;

zażywane również jako wabiki erotyczne. Istniały także

w formie napojów (floria) i pastylek doustnych

symbolon - medalik magiczny używany również jako

znak rozpoznawczy bractw i rodzin

szybkogon - opancerzony pędnik bojowy

ślizgopław (szybkopław) - rodzaj małej, szybkiej łódki

pościgowej

taberny - sklepy, często z wyszynkiem

tablinum (cabinet) - gabinet, pokój do pracy

togant - gwarowe określenie dostojnika, wyższego

urzędnika

tonser - w antyku wytworny fryzjer, później również

pospolity golibroda

tribus - kiedyś szczep, później kasta, warstwa

społeczna (patrz facje)

triclinum - jadalnia

trójczób (trójróg) - rodzaj sztywnej fryzury

charakteryzującej strażników Arymana, a także

kontestującej młodzieży w Federacji

trybunat - urząd łączący funkcję prokuratora, a

zarazem strażnika praw obywatelskich

tumanant - człowiek znajdujący się pod wpływem

silnej dawki środka stymulacyjnego

tuniza - koszula męska

viafasta - rodzaj autostrady

viapretorianin - policjant drogowy

vigiliani - strażnicy, funkcjonariusze straży miejskiej

w odróżnieniu od ogólnopaństwowych pretorianów

bądź sekurytów

vinissa - silny napój alkoholowy (ok. 50%)

viviarka - karetka, ambulans używany przez salvatorię

wirowiec, wiropląt - rodzaje nośników powietrznych

wrylec - uniwersalny pisak

wspólniak - komunalny środek komunikacji w Dolnej

Akropolii, rodzaj wieloosobowej platformy na pedały

Wściekli (Agressores); (trynitytyści) - przeciwnicy

oficjalnego kultu Jedynego Boga (unodeizmu);

początkowo wyznawcy Trójcy Świętej. W XV w.

czciciele triady ChaosBógSzatan

wtornica - drugi dzień tygodnia. Nazwy innych:

poświętnik, trzeciak, czwartak, piątek, przedświęt,

spoczynek

**zimnica - rodzaj głębokiej piwnicy, w której
mieszkańcy strefy równikowej, pozbawieni urządzeń
klimatycznych, chronili się przed upałem
zwije - liście drakonii używane do żucia lub palenia**

**Słowniczek nie zawiera wyrazów, których używamy do
dziś w znaczeniu pierwotnym oraz terminów
dostatecznie wytłumaczonych w tekście.**

**Marcin Wolski, znany poeta, radiowiec, autor
telewizyjny, satyryk i fantasta, zaprasza do aluzyjnego
barwnego świata powieści wymyślonej i sporządzonej
w pierwszej wersji przed 11 laty. Rozpoznamy w
"Kwadraturze trójkąta" fabularny chwyt zastosowany
już przez Wolskiego w radiowych i literackich
"Antybaśniach" (1991). Leżąca w równoległej
rzeczywistości Amiranda, z którą łączą nas czasowe
kanały czy przebiecia, także posłużyła autorowi do
satyrycznych alterhistoriozoficznych eksperymentów i
do snucia marzeń o wyzwoleniu świata.**

**W kilkanaście miesięcy po Okrągłym Stole, w maju '90,
zastanawialiśmy się w doborowym gronie (Jęczmyk,
Hollanek, Wnuk-Lipiński, Oramus, Ingot,
Malinowska, Parowski) nad statusem fantastyki w
sytuacji odzyskanej wolności. Powiedział wtedy Wolski**

o swej "Kwadraturze..." i o roli gatunku, co następuje: Fantastyka umożliwia stawianie bohaterów w tak

ekstremalnych sytuacjach, daje takie stężenie zdarzeń,

że dla autora, który nie ma temperamentu małego

realisty, wydaje się wyjściem jedynym. Metoda daje

bowiem nie tylko możliwość wykonania kroku do

przodu, ale i ukazania rzeczywistości modelowo i

skonstruowania publicystycznego skrótu czy spięcia w

rzeczywistości znacznie bardziej zaciemnionego. I to

jest niezłe, co stwierdziłem po sobie, bo w nowej

sytuacji, która rzeczywiście niesie nowe wyzwania,

otarłem się o pokusę, by w jednej z moich książek

czekających na druk zamienić nazwy wymyślonych

krain (Wandalia, Ekumena, Federacja) na ZSRR, USA,

Chiny. Oczywiście, zrezygnowałem. To natychmiast

przestawało być zabawne i jakoś tam uniwersalne, a

stawało się nieścisle i małostkowe. Tak więc metoda

raczej uskrzydla niż ogranicza. ("Na wirażu", "NF"

4/90).

Dopiero szła do nas fala wywiedzionych bezpośrednio

z rzeczywistości, ale w mniejszym stopniu

politycznych, opowiadań i powieści Ziemkiewicza,

Oramusa, Inglota, Dukaja, Cyrana. Znacznie bliżsi

byliśmy wówczas pomyślanych podobnie jak

"Antybaśnie" i "Kwadratura..." poszukiwań Janusza A.

Zajdła, zwłaszcza konspektów powieści "Macki" i

"Residuum" ("NF" 2/86). Dlatego we wspomnianej dyskusji konstatację Wolskiego wsparł Wnuk-Lipiński: Przeżyłem podobną przygodę, ale w drugą

stronę. Pierwsza wersja "Wiru pamięci" działa się w Warszawie w nieodległej przyszłości. Teraz ze

zdumieniem stwierdzam - chyba dobrze się stało, że

jednak ustąpiłem przed cenzurą wewnętrzną

wydawnictwa, stwierdzając jako warunek druku, by

rzecz działa się na wyspie i nie było w książce żadnego

polskiego nazwiska.

Dziś książki socjologicznego nurtu aluzyjnego (np.

wznowiony trójksiąg Lipińskiego "Wir pamięci.

Rozpad polowiczny. Mord założycielski") spotykają się

na ładach ze współczesną fantastyką rzeczywistości. Na

przykład z powieściami "Krawędź snu" czy "Według świętego Malachiasza" Marcina. Albo z fantazją

historii-rzeczywistości, jak mamy w najnowszym "Psie

w studni" tegoż Wolskiego. Jest w czym wybierać.

Zwracam uwagę na obszerny i zabawny słowniczek

niezbędny do pełnego smakowania hybrydowego

(antyczno-współczesnego) świata "Kwadratury...".

Ostatni odcinek powieści zamkniemy, współczesnym

już komentarzem autora.

(mp)